

1

ROMANS

GAIL DOUGLAS

*Milosc
w cieniu
zagli*



Gail Douglas

Miłość w
cieniu żagli

Rozdział 1

Cole Jameson miał wrażenie, jakby cofnął się w czasie.

W niesamowitej ciszy, otaczającej jego zepsutą łódź, łatwo było sobie wyobrazić, że zbliżanie się brygantyny, która rozcina tafłę wody i śmiało powiewa na lekkim wietrze trupią czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami, zwiastuje atak osiemnastowiecznego okrętu piratów. Przez moment czuł, że włosy jeżą mu się na karku, zarówno z nagłej emocji, jak i od podmuchu łagodnego zatokowego wiatru.

Szybko jednak roześmiał się z chwilowego złudzenia, stwierdzając, że zbliżający się okręt to jeszcze jeden bajer dla turystów w Key West.

Cole przesunął na tył głowy wytarty płócienny kapelusz, opuścił nieco okulary słoneczne i rzucił ponad nimi uważne spojrzenie, dziękując w milczeniu kapitanowi brygantyny za przybycie na pomoc. Dowódcy kilku innych statków, przepływających wcześniej obok, całkowicie zlekceważyli jego próby dawania sygnałów, próby robione, co Cole przyznawał, bez pełnego przekonania. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała mu się upokarzająca. Ucząc się czegoś, nienawidził stadium, w którym jego wiedza równała się zeru, a właśnie o swojej nowej łodzi nie wiedział prawie nic.

W miarę jak piracki okręt podchodził od strony nawietrznej, Cole mógł dojrzeć coraz wyraźniej ozdobne pozłacane litery na błyszczącym czarnym kadłubie. Jego pływający wybawiciel nazywał się „Ann Indyjska”. Ktokolwiek wymyślił tę nazwę, musiał wcześniej pasjami oglądać pirackie filmy w nocnych programach telewizji. Okręt zbliżył się jeszcze bardziej i Cole usłyszał muzykę z „Kapitana Blooda”, przebijającą przez dudniący dźwięk motorów Diesla.

„Ann” była zapełniona dziwnymi turystami. Cole wymamrotał coś niezbyt przyzwoitego, lekko poirytowany, że będzie miał tylu świadków swojej żeglarskiej nieudolności.

Przypomniał sobie jednak, że ma dług wdzięczności. Nie musiał teraz wzywać pomocy przez radio ani - w razie gdyby nikt się nie zjawiał - spędzać nocy, dryfując bez celu mniej niż o milę od przystani w Key West, gdzie przygotował stanowisko dla swojego wspaniałego nowego nabytku.

Kiedy brygantyna znalazła się burta w burtę z łodzią Cole'a, żyłasty pseudopirat wspiał się na maszt. Przytrzymując się jedną ręką, zwinął drugą w trąbkę i przełożył do ust:

- Ma pan jakieś kłopoty? - zawołał, bardziej jak ulicznik z Bronxu niż egzotyczny morski rozbójnik.

- Zgasł mi silnik - odkrzyknął Cole, zdejmując okulary słoneczne i chowając je do kieszeni koszulki polo. - Nie wiem, co się stało.

- Też bym nie wiedział - powiedział wesoło młody człowiek. - Jestem tylko akrobatą. Niech pan się trzyma, zapytam eksperta.

- Niech pan się trzyma - odparł Cole, szczerząc zęby w uśmiechu, rozbawiony, ale i szczerze zaniepokojony. - Wygląda na to, że tam jest dosyć niebezpiecznie.

Cole obrzucił brygantynę spojrzeniem i uznał, że osoby kierujące tą szczególną atrakcją turystyczną umiały zadbać o detale. Wydawało się, że okręt kapie przepychem. Jego złocenia pięknie błyszcząły w słońcu, linie wyginały się łagodnie, jakby wzorowane na ciele kobiety, a rzeźbę na dziobie, przedstawiającą odważnie zmysłową, ciemnowłosą piękność o czarnych oczach, stworzyły dłuto i pędzel mistrza. Sądząc po marynarzach, będących w zasięgu wzroku Cole'a, cała załoga grała pirackie role z wielkim zaangażowaniem, paradując w pełnym przebraniu, ku wyraźnemu zachwytowi pasażerów.

Akrobata zwisający z masztu znowu przyłożył rękę do ust.

- Kapitan mówi, że byłoby najlepiej, gdyby pan przycumował łódź i wdrapał się do nas na pokład. Rzucimy liny i drabinkę sznurową. Jeden z naszych ludzi zejdzie na dół i panu pomoże.

Skuteczność pomocy zrobiła na Cole'u wrażenie. Było jasne, że ludzie z załogi „Anny Indyjskiej” są nie tylko showmenami, lecz również marynarzami, którzy wiedzą, co robią. „Nie tak jak ja” pomyślał Cole z przykrością.

Parę minut wystarczyło, by pewnie i bezpiecznie umocować jego małą łódź do brygantyny i Cole wspinał się po drabince sznurowej na pokład „Anny”, przygotowując po drodze małą mowę dziękczynną dla kapitana okrętu. Stanąwszy na pokładzie, zebrał całą swoją godność, nie zważając, że skupiają się na nim zdziwione i rozbawione spojrzenia. Nie znosił, kiedy go wytykano. Nie znosił również pokazywać ludziom, że jest nie całkiem kompetentny. Nade wszystko jednak nie znosił proszenia kogokolwiek o pomoc.

- Gdzie jest wasz kapitan? - spytał pirata, który właśnie dał susa z masztu na pokład. - Chciałbym złożyć wyrazy szacunku i podziękować.

- Proszę tędy - młody człowiek zrobił szeroki, teatralny gest, wskazując przeciwną stronę pokładu.

Cole zrobił jeden krok i stanął jak wryty, czując, że serce mu wali jak młotem.

- To ona jest kapitanem tego okrętu? - spytał niskim, stłumionym głosem, gapiąc się na dowódcę.

- Jasne, że ona - zabrzmiała radosna odpowiedź. - Kapitan Morgan we własnej osobie.

W nagłym przypiływie zwalczających się emocji Cole nie mógł się nawet poruszyć. „Kapitan Morgan” powtórzył bezgłośnie. Przewrotny anioł, raz po raz wkradający się przez ostatnie tygodnie w granice jego świadomości i zbyt często zajmujący miejsce w snach, stał z ręką opartą na balustradzie i patrzył na Cole'a szeroko otwartymi oczami, wyglądając na równie wstrząśniętego, jak Cole.

Cole widywał przedtem tę dziewczynę w Key West, zwykle w jednej z knajpek na Duval Street. Zawsze otaczała ją gromada dziwnych przyjaciół, od studentów na wakacjach po podstarzałych hippisów, od nadzianych turystów po miejscowych włóczęgów, od motocyklistów po rybaków. Jej miły i niewymuszony śmiech przyciągał ludzi jak pszczoły do świeżo odkrytego kwiatu i Cole zauważył, że opiera się jej powabowi z coraz większym trudem.

Kiedy dwa tygodnie wcześniej wyjeżdżał z Key West, żeby odebrać łódź w Miami, sądził, że wróciwszy, znajdzie w swoim mieście więcej nudy, ale i bezpieczeństwa, bo okaże się, że wysoka, złotoskóra kobieta już wyjechała. Mówił sobie, że tylko wpadła tu na wypoczynek. Śliczna dziewczyna szukająca słońca i odpowiedniej atmosfery. Wszystko, co musiał zrobić, to nie ulec jej przyciąganiu przed wyjazdem do Miami, tak przynajmniej mu się wydawało. Nie przypuszczał, żeby nadal zajmowała jego wyobraźnię, kiedy nie będzie jej w pobliżu. I z pewnością nie liczył na to, że zobaczy ją w mieście po swoim powrocie.

Zamrugał, jakby chciał się upewnić, że wzrok go nie myli.

Nie mylił. Kapitan Morgan, dowodząca współczesną piracką brygantyną, wybawicielka bezradnych żeglarzy amatorów, burzycielka ciężko zdobytego spokoju mężczyzn, stała dokładnie

naprzeciwko, w czerwonej spódnicy z gazy przybranej falbanami i w białej bluzce w stylu wiejskim, ściśniętej pasem w talii. Patrzyła na niego. W jej piwnych oczach migotały uczucia, których nie umiałby odczytać. Pełne, kuszące usta obdarzały go co pewien czas ledwie zauważalnym, oszołomionym uśmiechem, a blond loki otaczały jej twarz niczym aureola rozedrganych promieni słońca.

Cole zdjął kapelusz i przeczesał palcami włosy. Powoli zbliżał się do tej pięknej zjawy, starając się zebrać myśli.

Morgan Sinclair czuła się tak, jakby szarpał nią huragan, chociaż morze w obrębie siedmiomilowej rafy, zamykającej Key West, było spokojne.

Nigdy w swoim dwudziestoosmioletnim życiu nie doświadczyła jeszcze uczuć, które temu mężczyźnie udało się obudzić w niej zaledwie jednym spojrzeniem. Wchłonęły ją głębiny jego oczu, czarnych jak ocean w bezksiężycową noc, poczuła się wciągnięta w sam środek kipieli.

W pierwszych tygodniach po przyjeździe często widywała tego śniadego, spokojnego człowieka i chociaż starała się stłumić niepokojące wrażenie, jakie na niej wywierał, to nie mogła przestać o nim myśleć, nawet kiedy zniknął, zostawiając ją w przeświadczeniu, że był tylko wczasowiczem, który wrócił do normalnego życia po miesiącu słonecznego wypoczynku.

Mężczyzna wyglądał jednak tak, jakby spędził w słońcu o wiele więcej czasu niż miesiąc. Morgan była zafascynowana barwą jego skóry, ciemną, polerowaną miedzią, prawdopodobnie tylko do pewnego stopnia zawdzięczaną opaleniznie. Intrygowały ją jego jedwabiste, czarne włosy, a orla twarz, niezmiennie pokryta wczesnowieczornym cieniem, wyryła głęboki ślad w jej pamięci.

Nagle Morgan zauważyła, że załoga i pasażerowie z uwagą przyglądają się zdarzeniu. Poczowała zakłopotanie, zastanawiając się, na ile widoczne było jej zainteresowanie tym mężczyzną.

- Hej! - udało jej się powiedzieć to miękko. - Witaj na pokładzie „Anny Indyjskiej” - dała znak pierwszemu oficerowi, żeby skierował brygantynę na właściwy kurs. Cole odchrząknął.

- Dziękuję, kapitanie - wyciągnął do niej dłoń. - Nazywam się Cole Jameson i jestem bardzo wdzięczny za ratunek. Nawet straż przybrzeżna i patrol policyjny nie chciały się mną zająć.

- Nie wołał pan o pomoc przez radio?

- Właśnie byłem bliski uznania się za pokonanego i miałem zamiar to zrobić, kiedy zobaczyłem pani okręt - odparł Cole, myśląc jednocześnie, że wolałby dalej dryfować, niż dać się wyciągnąć z kłopotu właśnie tej dziewczynie. Stwierdzenie, iż jest ona w rzeczywistości kapitanem imponującego żaglowca i świetnie zgranej załogi, wyostrzyło tylko jego poczucie braku kompetencji. Zdecydowanie nie lubił tego poczucia. Nie było jednak sensu utrzymywać, że jest kimś, kim nie jest.

- Jestem tylko zwykłym żeglarzem - powiedział, nie mogąc nawet wspomóc się słowami „na razie”.

- Co się stało z pańską łodzią? - spytała Morgan, zastanawiając się, czy Cole słyszy, że trudno jej złapać oddech. Mimo niesamowitego wrażenia, jakie robił na niej ten mężczyzna, mimo wszystkich przenikliwych spojrzeń, które skrzyżowali przed wyjazdem Cole'a z Key West, oboje nie zamienili ze sobą wcześniej ani jednego słowa. Gwałtowna faja podniecenia rozeszła się z miejsca, gdzie zetknęły się ich ręce, i ogarnęła ciało Morgan, niosąc ze sobą tyle ciepła, że Cole z pewnością musiał je wyczuć. A może pochodziło ono właśnie od niego?

Morgan mocno zmieszana się.

Cole zauważył z opóźnieniem, że nie puścił jej dłoni. Przesunął rękę na balustradę, usiłując przypomnieć sobie pytanie, które na pewno padło. Udało mu się w końcu, potoczył wzrokiem z przesadnym niesmakiem i wzruszył ramionami.

- Silnik wysiadł. Myślę, że pękł przewód paliwowy.

Morgan skinęła głową.

- Na to wygląda. Szału można dostać, jak się coś takiego przytrafi, prawda?

- Owszem, tym bardziej że dopiero kupiłem tę łódź - powiedział Cole nieco pocieszony komentarzem, który zabrzmiał tak, jakby dziewczyna uznała sytuację za całkiem zwyczajną. Uśmiechnął się szeroko. - Łódź jest używana. Mogli mi wcisnąć szmelc.

Morgan była zadowolona, że sternik i reszta załogi w zasadzie nie potrzebowali jej dowództwa, żeby wrócić na właściwy kurs i dokończyć całodzienny rejs. Znalazła się nagle w stanie takiego otumanienia, że mogłaby rozbić okręt. Pomyślała o tym ze zdumieniem. Jak to możliwe, że jeden mężczyzna, choćby wyjątkowo atrakcyjny, jest w stanie tak rujnująco wpływać na jej zmysły?

- Bardzo ładna łódeczka - powiedziała, chcąc przerwać milczenie. - Kupił pan przez pośrednika?

- Rzekomo cieszącego się dobrą sławą - odparł Cole. - Odebrałem zakup w Miami. Niestety, nie mam zbyt wielu doświadczeń z łodziami.

Morgan uniosła brwi, zaskoczona.

- Dopłynął pan tu z Miami, siedząc pierwszy raz w tej łodzi, i mówi pan o braku doświadczenia? We wszystkich prognozach, które słyszałam, podawali, że Atlantyk jest bardzo wzburzony. Musi pan mieć wrodzone zdolności żeglarskie, skoro udało się panu skończyć tę wyprawę bez gorszych przygód niż kłopoty z przewodem paliwowym.

Cole obserwował ją, gdy mówiła, zastanawiając się, czy dziewczyna nie chce po prostu zaspokoić jego nadwrażliwej męskiej ambicji. Miał nadzieję, że nie. Nasłuchał się od kobiet tylu pustych pochlebstw, że wystarczyłoby mu na całe życie. W jakiś sposób wyczuwał jednak, że kapitan Morgan była zbyt bezpośrednia na takie gierki. Wierzył, że powiedziała to, co myśli, i to go podniosło na duchu.

Co innego przyszło mu do głowy.

- Pani się tak nazywa naprawdę, czy to pseudonim?

Uśmiechnęła się.

- Naprawdę. Mam na imię Morgan. Morgan Sinclair.

- Ciekawy zbieg okoliczności - mruknął Cole.

- Wcale nie zbieg okoliczności - powiedziała Morgan. - Pomysł wziął się właśnie z imienia. Parę lat temu byłam na kursie żeglarskim i wszyscy drażnili się ze mną, wypominając mi profesję kapitana Morgana. Kiedy otworzyłam własną szkołę żeglarską w Nowym Orleanie, przewisko przyłgnęło. Dzięki niemu któregoś dnia przyszło mi do głowy, że całodzienne rejsy z piracką załogą będą logicznym uzupełnieniem zajęć w szkole. Poza tym te przejażdżki doskonale pasują do biznesu, w którym siedzę razem z siostrami - Morgan zmarszczyła brwi z niezadowoleniem, zorientowawszy się, że nerwowo plecie coś bez sensu. Z reguły nie dawała się ponosić nerwom.

Wargi Cole'a wygięły się w uśmiechu. Niedbale rzucone wyjaśnienie zafascynowało go. W jakim biznesie siedzi Morgan z siostrami? Ile ma tych sióstr? Czy są podobne do niej? Jeśli tak, to raczej nie ma ich w Key West, bo musiałby je zauważyć. Pewnie

mieszkają w Nowym Orleanie. A skąd pochodzi Morgan? Cole nie mógł umiejscowić jej akcentu. Nie brzmiał jak z Południa, chociaż w cudownie miękkim, melodyjnym głosie dziewczyny było słycać nieznaczne wydłużenie samogłosek.

Cole pomyślał, że od bardzo dawna nikt go tak nie zainteresował. „Następny sygnał ostrzegawczy” uznał.

Zanim jednak podjął decyzję, czy spróbuje zaspokoić ciekawość choćby w jednym punkcie, przeszkodzono im.

- Wycieczka była cudowna - rozległ się chrypliwy żeński głos.

Morgan uśmiechnęła się do szczupłej, siwej kobiety, która do nich podeszła.

- Dziękuję, pani Piersall. Mam nadzieję, że wnukowi się podobało - spojrzała z sympatią na mniej więcej dziesięcioletniego chłopca, który gapił się na nią zachwycony.

- Bobby świetnie się bawił - odparła kobieta. - I proszę mówić do mnie Lidia - wyciągnęła z torebki firmową wizytówkę i wręczyły ją Morgan. - Czuję, że będziemy miały wiele wspólnych interesów. Kieruję sporą siecią agencji podróży. Czytałam trochę o firmie, którą pani wraz z siostrami prowadzi, i dowiedziałam się co nieco o waszej działalności. No i postanowiłam zrobić Bobby'emu przyjemność, a przy okazji osobiście sprawdzić, jak wygląda przejażdżka na pirackim okręcie. Jestem pod wrażeniem, Morgan. Pod wielkim wrażeniem. Oczywiście, będziemy w kontakcie, poza tym jeśli reszcie firmy Dreamweavers idzie równie świetnie, jak tutaj, to chcę dostać materiały o wszystkich.

Uśmiech Morgan zrobił się szerszy, a jej twarz rozjaśnił taki zachwyty, że Cole poczuł dziwne drapanie w gardle.

- Mam dobry dzień, Lidio, dzięki tobie. Wieczorem zadzwonię do Stefanii, do Nowego Orleanu, i przekażę jej dobre wieści. Stefania wciągnie cię do naszego rozdzielnika, będziesz dostawać materiały.

Lidia odwróciła się do Cole'a.

- Stefania jest starszą siostrą Morgan i prezesem Dreamweavers Inc. - wyjaśniła z odcieniem samozadowolenia, który uzmysłowił Cole'owi, że jest to typ osoby lubiącej wiedzieć co i jak. - Są cztery przemiłe siostry Sinclair - ciągnęła Lidia, jakby jej obowiązkiem było przedstawienie Cole'owi działalności firmy. - Dorastały, przemierzając morza i włączając się po świecie na jachcie „Dreamweaver”, należącym do szukających przygód rodziców.

Przerwała, by zaszczyć Cole'a porozumiewawczym mrugnięciem.

- Każda z sióstr zajmuje się w firmie inną branżą w innej części świata. Kapitan Morgan jest wśród nich jedynym piratem. Dziewczyny odnoszą olbrzymie sukcesy...

- Lidio, wprawiasz mnie w zakłopotanie! - wpadła jej w słowo Morgan, starając się, żeby uśmiech wypadł naturalnie, mimo że jej policzki płonęły.

Starsza pani tylko się roześmiała.

- Zauważyłam, że Morgan świetnie dba o podkreślanie zasług innych ludzi, ale o sobie zupełnie nie myśli. Tylko w roli pirata pozwala sobie czasem zabłysnąć. Ale co z niej za pirat, prawda, panie...

- Nazywam się Cole Jameson - dopowiedział, ściskając wyciągniętą dłoń.

- A czym się pan zajmuje, Cole? - spytała Lidia. Cole powstrzymał grymas niezadowolenia. Kiedy

przyjechał tu, żeby zamieszkać w Key West, miał nadzieję, że nikt nie będzie wracał do tego pytania. Z jakiegoś powodu patrzenie na niego przez pryzmat kariery działało mu na nerwy, nawet jeszcze w poprzednim domu, gdzie żył tak, jakby praca była wszystkim, co ma dla niego znaczenie. Nie włączył się nie wiadomo dokąd i nie spędzał dni na wygrzewaniu się w słońcu, a nocy na łożeniu po barach. Nie miał też nic do ukrycia, oczywiście z wyjątkiem projektu, w który zaangażował się na małej wysepce w zatoce. Zresztą także ten szczególny przypadek dotyczył czasowego zachowania tajemnicy, i to z ważnego powodu.

Głupie pytanie rodem z cocktail - party, „czym się pan zajmuje?“, wkurzało go. Zawsze miał ochotę odpowiedzieć, że jest człowiekiem, nie zajęciem.

Dobre maniery wymagały jednak, by Lidia, która po prostu okazywała przyjacielskie nastawienie, otrzymała odpowiedź. Cole nie był w stanie pozbyć się salonowych obyczajów razem ze wszystkim, od czego uciekł.

Jego zawahanie pozwoliło Lidii atakować dalej.

- Mieszka pan w Key West? - zapytała.

- Niecały rok - wyjaśnił uprzejmie, stwierdzając że Lidia, podobnie jak większość ludzi, wcale nie potrzebuje odpowiedzi, lecz

po prostu nie może znieść milczenia. „Mogłaby wodzić rej na cocktail - party” pomyślał.

Natomiast nie mogłaby tego robić Morgan. Zdawało się, że ma niewiele do powiedzenia, co zaskoczyło Cole'a. Kiedy siadywała z przyjaciółmi w swobodnej atmosferze któregoś z nocnych lokali na Duval Street, wyglądała na osobę pewną siebie i przebojową.

- Skąd pochodzisz, Cole? - Lidia nie dawała za wygraną.

- Z Filadelfii - odpowiedział nieobecny głosem.

Lidia kiwnęła głową.

- Chyba działa na pana przyciąganie słońca - stwierdziła, dokładnie mu się przyglądając.

Cole uświadomił sobie tymczasem, że patrzy na Morgan i tylko jednym uchem słucha, jak Lidia ciągnie opowieść o początkach swojego biznesu i biurze urządzonym w małomiasteczkowej klitce...

W normalnej sytuacji nieustanne trajkotanie zdręczyłoby Cole'a, ale w tej chwili doceniał jego wartość. Lidia dawała mu szansę cieszenia się bliskością Morgan bez konieczności rozmawiania o czymkolwiek. Nie znosił rozmów o niczym. Uważał je za pozbawioną znaczenia społeczną konwencję, z którą miał zamiar zerwać, wyjeżdżając z Filadelfii. Podobało mu się, że również Morgan robi wrażenie, jakby nie poddawała się tej konwencji. W rzeczywistości piękna pani kapitan dryfowała w małym światku własnych myśli.

Cole znowu zaczął smakować swą pierwszą szansę swobodnego przyjrzenia się dziewczynie. Wcześniejsze uwagi Lidii o barwnym życiu Morgan bardzo go zaciekały. Prawdopodobnie mógłby, tak jak starsza pani, trochę poszperać i poczytać o Sinclairach w starych pismach podróżniczych. Nie chciał jednak zdobywać wiedzy o Morgan w bibliotece. Pragnął to usłyszeć od niej samej.

Poczuł, że ogarnia go nagłe pożądanie. Zastanawiał się, czy kapitańska kabina na tym okręcie przypomina miejsce, w których Errol Flynn czy Burt Lancaster uwodzili swoje ofiary. Choć to Morgan była tu kapitanem, a on ofiarą, myśl, żeby zanieść ją w ramionach na dół i kochać się bez chwili zwłoki, spowodowała, że poczuł coś w rodzaju głębokiego, pulsującego bólu.

Morgan, zakłopotana świadomością, że poddaje się ją drobiazgowym oględzinom, próbowała bez powodzenia skupić się na tym, co mówi Lidia. Chociaż nie chciała zatrzymać się nad swoimi uczuciami do Cole'a Jamesona, nie mogła się też opanować. Coś ją w

nim intrygowało od chwili, gdy ukradkiem obserwowała go, jak siedzi samotnie przy barze w lokalu, do którego przyszła spotkać się z przyjaciółmi. Cole sącył meksykańskie piwo. Zawsze pijał meksykańskie piwo, zauważyła to przy następnych okazjach. Lubił gatunek podawany z kawałkiem limonki, wetkniętej w szyjkę butelki.

W przydymionym świetle wchodził na salę i Morgan natychmiast zwracała na niego uwagę, jakby specjalnie się za nim rozglądała. Siadywał na stołku przy barze, ucinał małą pogawędkę z barmanem, wypijał dwie butelki piwa, nigdy więcej niż dwie, i wychodził.

Morgan nie wiedziała, dlaczego coś ją do niego tak bardzo przyciąga. Cole był niepokojąco przystojny, ale spotykała w życiu wielu przystojnych mężczyzn i jeszcze żaden nie wywołał u niej takich dziwnych bólów w dole brzucha.

„Prawdę mówiąc, ten mężczyzna może rozbudzić zainteresowanie każdej zdrowej kobiety” myślała. Jego zwierzęco zgrabne, sprężyste ciało, rozgrzewało krew Morgan. Kiedy Cole zamasyście przechodził przez salę, spłowiła bawełna spodni falowała na mięśniach udach, a mięśnie pleców i ramion odciskały się na koszuli. Morgan złapała się na wyobrażaniu sobie, że ten mężczyzna poluje i zorientowała się, że sama pragnie stać się jego zdobyczą.

Bez względu na to, jak bardzo starała się nie spoglądać na niego, jej wzrok raz po raz wracał ku niemu, a uwaga skupiała się na kosmyku czarnych włosów w rozpiętym kołnierzyku koszuli, na szerokości barków lub imponującej klatce piersiowej.

Morgan zafascynowana była rysami i karnacją Cole'a. Włosy były nie zwyczajnie ciemne, lecz czarne jak węgiel, oczy onyksowe i nieprzeniknione, skóra bardzo śniada. Nawet wieczny wczesnowieczorny cień na jego twarzy drażnił wyobraźnię Morgan. Wciąż śniła na jawie, że niczym kotka ociera policzek o twardy zarost.

Nosił fatalny płócienny kapelusz, zawsze zdejmował go w drzwiach i kładł na barowym stołku obok siebie z taką samą troską, jaką elegant otacza kapelusz ze słomki. Następnie, gestem, który Morgan uznała za dziwnie sympatyczny, niezmiennie przeciągał palcami po rozczochranych włosach.

Parę razy mężczyzna przyłapał Morgan na wpatrywaniu się w niego, a kiedy ich spojrzenia się spotykały, dziewczynie roily się marzenia, jakich nigdy przedtem nie miała.

Morgan zastanawiała się, dlaczego nigdy do niej nie podszedł. Nie zrobił nic, żeby pokonać przepaść między nimi. A ona, dotknięta niespotykaną, paraliżującą nieśmiałością, również nie próbowała zaczynać rozmowy.

Potem mężczyzna znikł i Morgan nie dowiedziała się nawet, jak się nazywa.

Z rozmyślań wytrącił ją mały chłopiec płaczący na pokładzie, bardzo przestraszony i najwyraźniej pozbawiony opieki rodziców. Morgan przywołała jednego z marynarzy i poprosiła, żeby uspokoił dziecko.

Drobna, sympatyczna ruda dziewczyna w pumpach do kolan, pogniecionej koszuli i zawadiackiej chuście, skinęła głową i wyjęła z kieszeni trzy małe kule, potem kucnęła przed dzieckiem i zaczęła popis żonglerskiego kunsztu. Chłopczyk natychmiast przestał płakać i przyglądał się ogromnymi ciemnymi oczami.

Cole zaśmiał się lekko na widok tej pantomimy.

- Dobra robota - powiedział do Morgan. Zarumieniła się, jakby właśnie dostała upragnioną nagrodę.

- Wspaniale sobie radzisz z dziećmi - powiedziała Lidia. - Nie mogę zrozumieć... - zawiesiła głos, najwyraźniej stwierdziwszy, że nic jej do tego, dlaczego Morgan do tej pory nie wyszła za mąż i nie założyła własnej rodziny.

Morgan uśmiechnęła się tylko. Przyzwyczaiła się do ludzi zdziwionych, że jeszcze nie zaznała szczęścia małżeńskiego. Nie chciała jednak ośmielać Lidii w jej ciekawości. Zgrabnie zmieniła temat.

- Czy zostanie pani z Bobby'm w Key West do końca tygodnia? - spytała.

„Znowu dobrze zrobione” pomyślał Cole. Jego podziw dla Morgan wzniósł się o stopień wyżej.

Kiedy bryg łagodnie przybił do nabrzeża, Cole żałował tego, chociaż wiedział, że powinien być zadowolony. Będzie mógł uciec od czaru Morgan Sinclair. Ten rodzaj intensywnych uczuć, które budziła dziewczyna, był dla niego zakazany. W jego życiu nie było miejsca dla kobiety. Tym bardziej dla tak niezwyklej.

A Morgan była zdecydowanie niezwyklej.

Rozdział 2

- Gdzie pan chce zostawić łódź? - spytała Morgan, kiedy Lidia z wnukiem i inni pasażerowie zaczęli opuszczać pokład „Anny Indyjskiej”.

Z myślą, że i on powinien zająć się swoimi sprawami, Cole przygotowywał się do powiedzenia czegoś na pożegnanie, nie wierzył bowiem, że uda mu się znaleźć odpowiednie słowa bez wcześniejszego namysłu. W obecności Morgan nie potrafił mówić i myśleć. Odpowiedział nieobecny głosem, wymieniając przystań, w której czekało na niego stanowisko.

- Wspaniale - powiedziała Morgan. - Tam jest również moje miejsce - zanim udało jej się powstrzymać, instynktownie zaoferowała dalszą pomoc, nie dopuszczając do przerwy na zastanowienie, czy chce nadal poświęcać czas mężczyźnie, którego bliskość tak ją rozkojarza. - Jeśli nie zależy panu na trafieniu do Doku Mallory'ego przed zachodem słońca, to możemy wziąć stamtąd moją łódź, wrócić po pańską i przyholować do przystani. Nigdzie nie ma lepszego mechanika niż właśnie tam. Nawet się pan nie obejrzy i znowu łódź będzie sprawna.

- To bardzo uprzejmie z pani strony - odparł Cole, i zamierzając grzecznie odmówić.

Nie zdołał jednak powiedzieć niczego więcej, bo dziewczyna stopiła jego opór gorącym uśmiechem.

- Nie z sentymentu wpływam tam zwykle o zachodzie słońca - powiedziała, przyglądając się aprobująco, jak szybko i sprawnie załoga kończy całodzienną harówkę. - Prawdę mówiąc, przyrzekłam wnukowi Lidii, że się tam spotkamy i przedstawię go magikowi, którego Bobby widział poprzedniego wieczoru. Wypada, żebym się zjawiała. Ale zwykle pędzi mnie zwykły, ordynarny komercjalizm. Większość pasażerów „Anny” po zejściu na ląd kieruje się prosto na festyn w Doku Mallory'ego. Wyglądają na zadowolonych, kiedy i ja tam docieram. Głośno opowiadają o moim okręcie innym ludziom, widzę, jak mnie pokazują palcami, szczególnie dzieci, a nie ma lepszej reklamy niż żywe słowo z ust usatysfakcjonowanych klientów - Morgan znowu pomyślała, że plecie, zaskoczona wrażeniem, jakie robił na niej Cole Jameson. Zaśmiała się głośno do siebie. - Poza tym muszę przyznać, że całe to poruszenie sprawia mi przyjemność, a właśnie, o zachodzie słońca jest tam najwięcej ludzi. To zabawne.

Można by sądzić po reakcji ludzi, że zachód słońca jest nadzwyczajnym wydarzeniem, a nie codziennym zjawiskiem.

Cole zwrócił uwagę, że Morgan bardzo poważnie traktuje przypadkową obietnicę daną dziecku. Zaczynał rozumieć, dlaczego tak wielu ludzi sprawia wrażenie, jakby nie mogli się jej oprzeć. Nagle stwierdził, że i on się jej zwierza.

- Myślę, że do tego miasta najbardziej przyciągnęli mnie ludzie, na tyle zbzikowani, by codziennie świętować zachód słońca. Lubię nawet, jak to pani nazwała, ordynarny komercjalizm sprzedawców koszulek bawełnianych i najróżniejszych ulicznych magików, którzy gromadzą się wokół doku.

Morgan zdziwiła się, że mężczyzna, wyglądający na osobę skłoną do zadumy i wyrafinowaną, może cieszyć się taką niewyszukaną rozrywką. Uznała, że Cole jej się podoba. Miała nadzieję przyjemnie spędzić resztę wieczoru w jego towarzystwie. Kiedy większość pasażerów opuściła okręt, Morgan skinęła na Cole'a:

- Teraz możemy iść.

Cole zszedł za nią po pomocy jak człowiek pogrążony w półtransie. Fascynowały go falująca spódnica idącej dziewczyny, iskry słonecznego światła odbite w jedwabistych włosach, lekkość jej ruchów.

Dok Mallory'ego był zapchany turystami i miejscowymi, powietrze wypełniała mieszanka woni palonego kadzidła, prażonej kukurydzy i ostrego zapachu morza. Dwóch żonglerów współzawodniczyło o uwagę publiczności z magikiem, połykaczem ognia, jazzowym gitarzystą i człowiekiem grającym na banjo. Jachty różnej wielkości przemykały w tę i z powrotem, jakby walcząc o miejsce w centrum sceny, dokładnie na wprost powoli opadającego pomarańczowoczerwonego słońca.

Usadowiwszy Bobby'ego i przedstawivszy wystraszonego chłopca iluzjoniście, którym malec zachwycił się przez cały rejs, Morgan była wolna i mogła powłóczyć się trochę z Colem od jednego artysty do drugiego, przystając koło każdego wystarczająco długo, żeby nacieszyć się jego numerem.

Morgan zauważyła, że Cole wrzuca pieniądze do niektórych kapeluszy, stojących przed wykonawcami. Bardzo jej się spodobało, że nie usiłuje robić tego z ostentacyjną hojnością. Sama wyrobiła sobie nawyk materialnego okazywania swojej aprobaty dla artystów

raz w tygodniu, w piątek. Była akurat środa, Morgan miała nadzieję, że Cole nie zacznie podejrzewać ją o sknerstwo.

To, że zależało jej na korzystnym wypadnięciu przed Colem, stanowiło jedną z wielu niespodzianek, które przeżyła od czasu, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Do tej pory Morgan nigdy nie zastanawiała się, co ktoś o niej myśli.

- Co powiedziała pani na sok pomarańczowy? - spytał Cole, gdy mijali jaskrawo pomalowany stragan na kółkach. - A może prażonej kukurydzy?

- Chętnie napiję się soku - powiedziała Morgan, machinalnie sięgając do kieszeni.

Cole spojrzał na dolarowe banknoty, które dziewczyna wyciągnęła ku niemu.

- Dziś ja stawiam, okay? Proszę traktować to jako skromne podziękowanie za pomoc okazaną dzisiejszego popołudnia.

Morgan poczuła zimne mrowienie na myśl, że jej stary zwyczaj płacenia za siebie mógł urazić Cole'a.

- Dziękuję - powiedziała miękko.

Cole dostrzegł jej lekko zaróżowione policzki i zmieszał się. Ile razy widywał Morgan, otaczała ją gromada facetów, którzy mogliby wzbudzić zazdrość Scarlett O'Hary w jej najlepszej formie do flirtów. Tymczasem znowu wydało mu się, że Morgan jest nieśmiała.

Poczuł znów wzbierające pożądanie. Wewnętrzny impuls, który był bardzo silny. Nie chciał tego uczucia. Takie impulsy oznaczały jedynie kłopot.

- Proszę zaczekać - powiedział szorstko.

W chwilę później Cole wrócił, niosąc dwie szklanki soku z mango i pomarańczy, ozdobione nasadzonymi kawałkami owoców.

- Zastanawiam się, co dalej - powiedział, wciąż jeszcze z kwaśną miną. - Myślę, że powinna pani zjeść ze mną kolację dziś wieczorem. Niech się odwdzięczę przynajmniej w ten sposób.

Morgan nie wiedziała dlaczego, ale trochę rozdrażnił ją sposób, w jaki Cole wyraził zaproszenie.

- Nie musi pan zapraszać mnie na kolację. Już mi pan podziękował, i to kilka razy.

- Chcę zrobić coś więcej - powiedział Cole, nie rozumiejąc skąd taka odpowiedź.

- Pomogłam panu zupełnie tak samo, jak pan pomógłby mnie, gdyby to z moją łodzią coś się stało - Morgan nagle uświadomiła sobie boleśnie, że boi się iść na kolację z mężczyzną, który tak fatalnie wyprowadzał ją z równowagi. - Zresztą umówiłam się na później z przyjaciółmi.

- Wobec tego urządzimy kolację kiedy indziej - powiedział Cole, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego nie chciał przyjąć łatwej wymówki, którą uraczyła go dziewczyna. Mógłby okazać jej wdzięczność za pomoc, przesyłając kwiaty. Nie musiał się tak angażować. Czemu więc usłyszał swoje naleganie? - Na pewno jednego z najbliższych wieczorów da pani wolne tej wiecznie obecnej kompanii, która panią otacza - ton własnego głosu zaszokował go. Zabrzmiało, jakby Cole czuł do jej towarzyszy niechęć.

Uderzyło go, że spoglądające na niego wielkie, bursztynowe oczy wyrażają najczystsza panikę. Zdziwienie Cole'a wzrosło. Dlaczego taka kobieta, jak Morgan Sinclair, miałaby odgrywać przestraszoną łanię na myśl o zjedzeniu z nim kolacji?

- Czyżbym strasznie wyglądał? - palnął. Morgan zaśmiała się nerwowo.

- W pewnym sensie - szepnęła i znowu poczuła ciarki. Zaczerwieniła się. Z opresji wybawiły ją dolatujące z niedaleka jęklive dźwięki. - Zaczyna grać kobziarz. Jest znakomity. Chodźmy na drugi koniec doku, posłuchamy - nie czekając na odpowiedź, Morgan ruszyła.

Cole szedł za nią, zaciekawiony bardziej niż kiedykolwiek.

Kobziarz przyciągał wielu słuchaczy. Kiedy Morgan znalazła miejsce wystarczająco blisko, żeby go widzieć, zostało koło niej akurat tyle wolnej przestrzeni, że Cole mógł stanąć dokładnie za nią, prawie czując dotyk jej ciała. Dziewczyna usłyszała tuż przy uchu radosny pomruk i przebiegł ją lekki dreszcz.

- Wspaniałe - Cole powiedział to tonem, który przyprawił Morgan o następną serię dreszczy biegnących przez całe ciało.

Odwróciła do niego głowę i tajemniczo się uśmiechnęła, zastanawiając się, co rozbawiło Cole'a. Jednocześnie stwierdziła, że musi spojrzeć w górę, żeby spotkać jego wzrok, dziwnie ją wstrząsnęło. Nigdy nie chciała dorównywać wzrostem większości mężczyzn, a tym bardziej ich przewyższać, toteż ucieszyło ją, że Cole ma nad nią kilkanaście centymetrów przewagi. „To głupie”,

powiedziała sobie. „Co za śmieszne uprzedzenie! Gdzie jest napisane, że kobieta powinna być niższa od mężczyzny?” Mimo to nie mogła zaprzeczyć swoim odczuciom. A te wprawiały ją w zakłopotanie.

- Co jest wspaniałe? - przypomniała sobie.

- Ubiór kobziarza - Cole szeroko uśmiechnął się do Morgan i poczuł, że bliskość warg dziewczyny przeszkadza mu w koncentracji. Ręce Cole'a pragnęły ją objąć, odpowiedzieć na delikatne wezwanie ciała Morgan. Cole przysunął się i mówił dalej:

- Diabelnie lubię oglądać szkockie spódniczki i te wszystkie insygnia na białej bufiastej koszuli. Nie wiedzieć czemu, w takim stroju jakoś to do siebie pasuje.

Morgan gwałtownie zgubiła spojrzenie Cole'a, bo wyraz jego ciemnych oczu dziwnie ją poruszył.

- Jestem pewna, że moim przodkom podobałaby się ta koszula - zdobyła się na lekki ton. - Szkoci są praktyczni. Bóg jeden wie, jak wyglądałby ich strój, gdyby Szkocja miała klimat Key West.

- Wrogowie uważali Szkotów za prymitywnych dzikusów - powiedział Cole, rozwijając kilka własnych prymitywnych myśli. - W cieplejszym klimacie mogliby wyglądać jak niektórzy moi przodkowie, biegający w przepaskach na biodrach.

Morgan potrząsnęła głową i znów spojrzała na niego.

- Jest pan, przynajmniej częściowo, północnoamerykańskim Indianinem - było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie. Puls jej ostro przyspieszył pod wpływem nagłego, niesłychanie żywego wyobrażenia sobie Cole'a ubranego, a właściwie rozebranego. „Wyglądałby jak pogański bóg” pomyślała, przygryzając dolną wargę, gdyż coraz trudniej było jej kontrolować i maskować podniecenie.

Nie maskowała go dobrze.

Cole patrzył, jak oczy Morgan ciemnieją i zamieniają się w miedziane płomienie. Wyczuł, że jej ciało chyli się ku niemu. Zapominając o filadelfijskich manierach i determinacji, z jaką opierał się jej wdziękowi, położył ręce na wysmukłej talii i poczuł szarpany rytm jej oddechu.

- Wcale nie jestem pewien indiańskich przodków - powiedział, próbując odgrodzić się konwersacją od doznań, o które przyprawiała go Morgan. - Pewna jest tylko kropla krwi Seminolów. Za to bez wątplenia dziedziczę trochę po Szkotach, jak pani, Morgan. Moja prababka należała do MacLeanów z Inverness.

- A więc powinien się pan zachwycać tym, co dzieje się tu o zachodzie - powiedziała Morgan, pozwalając sobie na nieznaczny ruch do tyłu, tak że jej ciało delikatnie zetknęło się z ciałem Cole'a. Odczuła szok, ale i przyjemność, kiedy Cole mocniej przycisnął dłonie, pociągnął ją ku sobie i przytulił policzek do jej włosów.

- Już się zachwycam - powiedział miękko. Słońce wślizgnęło się za wysoko płynącą chmurę,

ozdabiając niebo różowymi, przydymionymi smugami tuż nad horyzontem. Właśnie wtedy kobziarz zaczął grać powolną, uroczystą wersję „Amazing Grace”.

Ręce Cole'a zaczęły się przesuwac po talii Morgan. W końcu mocne ramiona skrzyżowały się i oparły na krawędziach żeber.

Zakreśliło jej się w głowie, po całym ciele rozniosły się fale ciepła, jakiego nigdy wcześniej nie doznała, ciepła, które nie miało nic wspólnego z temperaturą na zwrotniku. Instynktownie wiedziała, że otoczona, tak jak teraz, ciałem Cole'a Jamesona przy każdej pogodzie czułaby się jak w osłoniętej lagunie.

Krwawoczerwone słońce wychyliło się zza chmury i dotknęło morza, rozlewając metaliczny szkarłat nad łagodnie falującą powierzchnią. Powoli, świetlisty ułamek zamienił się w ognistą kulę, która stopniowo opadając w głębiny oceanu, sypnęła ostatnimi brylantowymi błyskami akurat przy końcowych dźwiękach hymnu kobziarza.

W doku zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Morgan czuła oplatające ją coraz ciasniej ramiona Cole'a, czuła bicie jego serca.

Tłum wybuchł spontanicznym entuzjazmem. Morgan zaczęła szybko mrugać.

Cole odwrócił się i zaskoczony spojrzał w jej twarz. Był zdumiony uczuciami, które przelały się przez niego w ciągu kilku ostatnich chwil. Nagle dostrzegł, że jej oczy są wilgotne.

- Morgan? - odezwał się cicho.

Uniosła ręce do twarzy, jakby chcąc odepchnąć wzbierające łzy.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Jestem sentymentalną gęsią.

- Jesteś cudowna - powiedział Cole. - Jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu - nim zdołał się powstrzymać, jego wargi złączyły się z ustami Morgan w pełnym pasji pocałunku.

- Nic nie rozumiem - zdołała powiedzieć dziewczyna, kiedy Cole skończył ją całować. - Ja nigdy... - gwałtownie przerwała, świadoma,

jak śmiesznie zabrzmiałyby prawda. Nigdy przedtem nie przeżyła tak niesamowicie pięknej chwili, osiągnęła swoje dwadzieścia osiem lat, nie znając siły nagłego, niewytłumaczalnego pożądania i nie przypuszczała, że może czuć się taka bliska człowiekowi, którego prawie nie знаła.

Cole uśmiechnął się nagle, pewny, że wie, co usłyszałyby od Morgan.

- Może to wina Key West - powiedział miękko, nie wierząc tak naprawdę w swoje słowa, próbując tylko rozładować napięcie prawie nie do wytrzymania. - A może po prostu zbyt romantycznie nastroił nas zachód słońca? Albo muzyka kobziarza? Może jutro będziemy się sami z siebie śmiać?

Morgan miała taką nadzieję. A jednocześnie miała nadzieję, że nie. Nie mogła się zdecydować. Cieszyły ją uczucia, które budził w niej Cole, chociaż nie wiedziała, jak sobie z nimi poradzić. Widywała wcześniej kobiety topniejące niczym wosk na widok mężczyzny. Raziło ją takie zachowanie, traktowała je jak głupią manię. Nigdy przedtem nie czuła niebezpieczeństwa podobnych uczuć. Zanim nie spotkała Cole'a Jamesona.

- Chodźmy po „Bonnie Anne” - powiedziała. Zabrzmiało to bardziej szorstko niż zamierzała.

Cole skinął głową, zadowolony, że Morgan rozwiąła czar, który opanował ich z taką mocą. Im szybciej uda się doprowadzić jego łódź do przystani, tym szybciej będzie mógł powiedzieć dziewczynie „dobranoc” i pójść do domu, żeby pozbierać się.

- „Bonnie Anne” - powtórzył, kiedy zrównał się z nią w drodze powrotnej na Duval Street. - Anna Bonney odwrotnie. Anna Indyjska, bicz Karaibów sprzed dwustu lat? To ją grała w filmie Jean Peters?

Morgan olśniła go szerokim uśmiechem.

- Jesteś jednym z niewielu spotkanych przeze mnie ludzi, którzy słyszeli o tym filmie lub o pierwowzorze jego bohaterki.

- Sądzę, że zapamiętałem kapitan Bonney, bo pomysł, by dziewczyna była piratem, wydał mi się zajmujący - powiedział Cole, pragnąc jednocześnie dać sobie spokój z flirciarskimi zagraniami. Nie chciał angażować się w cokolwiek z Morgan Sinclair. Miał nadzieję, że wreszcie wbije to sobie do głowy.

- Wspomniałaś, że prowadziłaś szkołę żeglarską w Nowym Orleanie - ciągnął, przechodząc na bezpieczny temat. - Skąd więc się wzięłaś z pirackim okrętem w Key West?

- „Anna” to moja druga brygantyna, jeśli nie liczyć szkolnej. Zaczynałam pirackie życie w Nowym Orleanie, pływając na „Bonhomme Lafitte” - roześmiała się z nutą dezaprobaty dla własnych poczynań. - Okręt kursuje po zdradliwych, pełnych rekinów wodach jeziora Pontchartrain.

Dotarli na Duval Street. Cole zatrzymał taksówkę.

- Wiem, że na przystań można dojść piechotą - powiedział - ale zaoszczędzimy trochę czasu.

Morgan kiwnęła głową i usiadła z tyłu, zastanawiając się, czy Cole rzeczywiście chce tak szybko odstawić łódź na miejsce i przy okazji uwolnić się od niej. Czowała, że dostaje od niego sprzeczne informacje. Czasem spoglądał na nią oczami pełnymi pożądania, w chwilę potem wydawał się całkiem obojętny.

Morgan stwierdziła, że pierwszy raz w życiu próbuje czytać między wierszami z tego, co mówi mężczyzna. Starła się zejść pod powierzchnię słów, by dotrzeć do myśli, by dowiedzieć się czegoś z jego reakcji.

Tego typu zależność emocjonalna była dla Morgan czymś nowym. Dziewczyna miała nadzieję, że to niemiłe doznanie wkrótce przejdzie.

W kilka minut później Cole cicho gwizdnął na widok łodzi Morgan.

- Piękna - powiedział z niekłamany podziwem, zdecydowany nie ulegać beznadziejnemu uczuciu, że nie ma niczego, czym mógłby zaimponować Morgan. Ona zaś miała wszystko, z większym i lepszym jachtem włącznie. „To nie ma znaczenia” powiedział sobie raz jeszcze. Nie miał zamiaru uganiać się za nią.

- Niesie mnie tam, gdzie chcę - powiedziała skromnie dziewczyna, mimo że była bardzo dumna z „Bonnie Anne”. Morgan pożyczyła wyposażenie, spędziła wiele godzin na harówce przy czyszczeniu łodzi, a potem jeszcze więcej na wypieszczaniu jej w suchym doku, w końcu, kilka miesięcy wcześniej, pomalowała całość i nadała nie najnowszej przecież łodzi zaskakująco profesjonalny wygląd. - „Bonnie Anne” była ostatnio odnawiana - powiedziała Morgan, widząc, że Cole porównuje w myślach oba jachty. - Twoja

jest prawie tak samo duża, jak ta. I mogłaby równie dobrze wyglądać, gdyby trochę przy niej popracować - przerwała, marszcząc brwi. - No, nie twierdzę, że wymaga pracy... Miałam na myśli... Teraz też wygląda ładnie, może właśnie tak ci się podoba...

- Moja łódź wymaga pracy - powiedział Cole rozbawiony zmieszaniem Morgan. Łatwość, z jaką ta przebojowa dziewczyna wpadała w zakłopotanie, wydała mu się bardzo sympatyczna. Czasami Morgan wyglądała jak małe dziecko, które nie wie, jak się zachować.

- Z tego, co powiedziała Lidia, wywnioskowałem, że spędziłaś dużo czasu na morzu - dodał, nie mogąc oprzeć się pokusie dowiedzenia się czegoś więcej o tej intrygującej kobiecie, która zburzyła mu spokój umysłu.

- Przez całe życie byłam albo na łodzi, albo tuż obok - odparła Morgan z pokładu „Bonnie Anne”. Nie zamierzała jednak streszczać teraz swojego życia. W tym momencie interesował ją Cole.

- A ty?

Cole skompromitował się nieco, zwalnając cumy, zanim wskoczył na pokład.

- Ja nie jestem żeglarzem. Jestem po prostu facetem, który marzył, żeby wszystkiego spróbować, i kupić łódź. I tyle.

Morgan nie wyglądała na przekonaną. Idąc w stronę kokpitu, odwróciła głowę i rzuciła przez ramię:

- Mówiłam już, że nikt nie płynie samotnie po wzburzonym morzu w małej łodzi, tak jak ty, bez pewnych umiejętności i wiedzy.

- W porządku. Zrobiłem kurs i trenowałem trochę na wynajętych łódkach - przyznał Cole, dołączając do Morgan w kokpicie. - Ale pamiętaj, że prawdopodobnie złamałem przewód paliwowy, więc musiałem dzisiaj zrobić coś nie tak.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy. Nawet nie zliczę rozwalonych przewodów paliwowych, z którymi musiałam walczyć. I nie mam do siebie o to większych pretensji niż o gumę złapaną na złej drodze.

- Wiesz co, Morgan Sinclair? - powiedział Cole impulsywnie. - Myślę, że jesteś śliczną dziewczyną - tym razem nie był to flirt. Cole wyraził najszczerze przekonanie.

Morgan uśmiechnęła się i spuściła wzrok, zupełnie bezbronna wobec słodkich słów Cole'a. Przywykła do mężczyzn bez oglądy, którzy okazywali czułość, uprawiając szermierkę na wyzwiska.

Żadne z nich nie odezwało się więcej, ani podczas krótkiej drogi po łódź Cole'a, ani kiedy wracali do przystani. Oboje zatoneśli w myślach, zdziwieni siłą swoich uczuć, powściągliwi w sprawdzaniu, do czego prowadzą.

- Czy na pewno nie pójdziesz ze mną na kolację? - zapytał Cole, gdy inną taksówką wrócili na Duval Street.

Morgan czuła pokusę. Silną pokusę. Bycie z Colem wprawiało ją w dobry nastrój, sprawiało jej o wiele większą przyjemność niż bezbarwne godziny spędzane z kumplami w którymś z hałaśliwych barów w centrum miasta.

Zmarszczyła brwi. Bezbarwne godziny? Hałaśliwy bar? Nigdy przedtem nie myślała z taką niechęcią o swoim życiu towarzyskim. Do jakiego stopnia był to wpływ Cole'a? Czyżby mogła stracić zainteresowanie dla przyjaciół, istoty jej życia, z powodu jednego mężczyzny, dokładnie tak, jak widziała to u wielu innych kobiet? Czyżby mogła oszaleć na punkcie mężczyzny, tak samo jak te wszystkie głupie baby?

- Zastanawiasz się, Morgan? - spytał Cole, zaskoczony, że właśnie na to ma nadzieję.

Potrząsnęła głową.

- Prawdę mówiąc, to nie. Bardzo dziękuję za zaproszenie, ale czekają na mnie przyjaciele.

- Więc może innym razem? - zaproponował Cole, opierając się pokusie, by wziąć ją w ramiona i jeszcze raz pocałować.

Morgan skinęła głową.

- Może - powiedziała miękko i szybko oddaliła się, zanim nie było za późno.

Cole spoglądał na nią przez chwilę, potem odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę, chociaż Morgan poszła mniej więcej w kierunku jego domu. Uznał, że należy mu się długi spacer przed powrotem do pustego, rozwalającego się budynku, który był azylem jego samotności jeszcze kilka tygodni temu, kiedy Cole nie zastanawiał się, jak słonecznie zrobiłoby się w jego domu, gdyby bezduszne pokoje ozdobiła złotowłosa, roześmiana, słodka dziewczyna.

Ze ściskaniem w łędźwiach, które nie chciało ustąpić, i bólem gardła, który stawał się niepokojąco chroniczny, Cole długo przemierzał zaciemnione, obsadzone krzewami chińskiej róży ulice Starego Miasta. Zrobił sobie surowy wykład na temat tego, jak ważne

dla niego jest strzeżenie wolności osobistej, zgodnie z założeniem przyjętym przy wyborze Key West na nowe miejsce zamieszkania.

Rozdział 3

Lekko i bez wysiłku manewrując jachtem, Cole doprowadził go do stanowiska. Klepnął z zadowoleniem w deskę rozdzielczą, jakby chciał pocieszyć swą niewielką łódź po jej niezbyt udanym debiucie.

Cole cieszył się jachtem. Nie dbał o jego niepozorność. Mógł przecież popłynąć nim w miejsca, o których marzył przez całe życie, zanim wreszcie uległ pragnieniu zakosztowania wolności i morza. Z każdym dniem sterowanie łodzią dawało Cole'owi więcej radości. „Chyba nawet Morgan była pod wrażeniem” zadumał się, po czym próbował szybko odpędzić myśl o dziewczynie.

Minęło pięć dni, od kiedy Morgan holowała wieczorem jego łódź do przystani. Pięć niewiarygodnie długich dni, w czasie których jej nie widział z własnego wyboru. Unikał odwiedzanych przez nią miejsc, wieczorami trzymał się z dala od Duval Street i Doku Mallory'ego. Trudno mu było oprzeć się wizerunkowi dziewczyny, który wciąż stawał mu przed oczami, materialna postać pozbawiłaby go wszelkiej szansy.

Cole zgasił silnik. Z kabiny wyłonił się brat, który poprzedniego dnia przyjechał w odwiedziny. Chudzielec przeciągnął się i przetarł oczy. Włosy miał rozczochrane, a jego papierowoblada twarz pokrywał cień, podobny jak u Cole'a.

- Hej! - powiedział Doug mimo ziewnięcia. - Domyślam się, że przepadła mi większość niedzielnej wycieczki, hm?

- Jest poniedziałek - odparł Cole. - Ale omyłkę łatwo zrozumieć. Czas przestaje tutaj cokolwiek znaczyć - przeciągnął ręką po twarzy i szeroko uśmiechnął się na myśl, jak wściekli byliby ojciec i drugi brat, Adam, widząc dwóch Jamesonów podobnych do pary kierowców ciężarówek przed wypłata.

Najmłodszemu z Jamesonów nie udało się jeszcze osiągnąć wyglądu niechlujnego doskonałego, jako że białe, luźne spodnie z bawełny, trykotowa koszulka i buty Douga nosiły, co Cole zauważył z rozbawieniem, znaki firmowe projektantów.

Cole bardzo lubił obu młodszych braci, z żadnym nie łączyło go jednak nic bliższego.

- Naprawdę spałem - powiedział Doug, wciąż jeszcze spoglądając mętnie.

Cole nie był ani zaskoczony, ani zdegustowany, kiedy wkrótce po wypłynięciu na zaimprovizowaną przejażdżkę Doug oznajmił, że idzie pod pokład na małą drzemkę.

Widząc, że Doug przestał istnieć dla świata na co najmniej kilka godzin, Cole skorzystał z okazji i zrobił szybki wypad na swoją wyspę, żeby zobaczyć postępy w wykopaliskach. „W miniwykopaliskach” poprawił się w myślach z lekkim uśmiechem. Nawet jego długoletni najlepszy przyjaciel, Dan Cypress, Seminol czystej krwi pracujący jako archeolog, który nadzoruje projekt, nie dawał wiele nadziei na znalezienie czegoś znaczącego.

Poszukiwania, oparte na informacji ze starego czasopisma, które przekazywano w rodzinie matki Cole'a z pokolenia na pokolenie przez półtora wieku, raczej nie obiecywały zwrotu włożonych pieniędzy, co trochę Cole'a martwiło. Był niemal zadowolony, że do wykonania pracy, bez problemów z różnymi poszukiwaczami przygód, konieczne jest zachowanie tajemnicy. Po co komu wiedzieć, że Cole utopił sporą część swojego kapitału w projekcie wziętym z sufitu. Reputacja rozważnego inwestora, jaką się cieszył, mogłaby nie wytrzymać takiej nowiny.

- Przykro mi, że cię zawiodłem, włożyłeś tyle wysiłku w urządzenie mi tej przejażdżki - powiedział Doug, opadłszy na siedzenie przed kokpitem z tak potulnym spojrzeniem, na jakie tylko mógł się zdobyć.

- Nie ma sprawy - pocieszył go Cole. - To najnormalniejsza reakcja pod słońcem. Morskie powietrze zostawiło w tobie ślad na zawsze. Ostrzegam cię, że teraz, kiedy twoje ciało poznało prawdziwy relaks, nie usatysfakcjonujesz go godziną małego próżniactwa po koktajlu ani nawet ostrą porcją joggingu.

Doug pokazał w uśmiechu wszystkie zęby, wyjął z kieszeni grzebień i przyglądał proste, czarne włosy.

- Słuchaj, Cole, wypadasz z kursu domowego. Weź to pod uwagę.

- Pobądź ze mną trochę w Key West i powtórz to potem - odparł Cole, zabezpieczając łódź na noc. - Skończysz, zostając tutaj, a nie próbując mnie namówić, żebym wrócił wraz z tobą do pokoju pełnego telefonów.

- Pokój pełen telefonów? To tak nazywasz karierę, od której uciekłeś? Nie mogę uwierzyć. Byłeś najlepszy, Cole. Żaden makler

dookoła nie miał takich wyników, z Adamem i ze mną włącznie. Tata chce, żebyś wrócił, wiesz o tym.

Cole nie odezwał się. Toczył walkę z niesłusznie nurtującym go poczuciem winy. Specjalnie przypomniał sobie, że przecież nie porzucił rodzinnej firmy w potrzebie. Ojcu wiodło się dobrze, a i obu braciom niczego nie brakowało.

- Wycofałeś się na rok, nie starczy ci? - spytał Doug, schowawszy grzebień do kieszeni.

Cole nie pozwolił, by ta uwaga przeszła bez kontry.

- Nie wycofałem się - powiedział spokojnie. - Zmieniłem po prostu podstawy i styl działania, to wszystko. Lista chętnych do udziału w moich inwestycjach jest długa, a i portfel czuje się nie najgorzej. Więc zanim znowu zaczniesz nudzić na ten temat, strzepiąc język w poczciwej gębie, posłuchaj: ani trochę nie żałuję tego, z czego zrezygnowałem. Nie wrócę i kropka. Możesz opowiadać bajki o waszych wysiłkach, ale to nic nie zmienia.

Cole spostrzegł z rozdrażnieniem, że mniej więcej w połowie przemówienia brat się wyłączył. Jego wzrok przyciągnęło coś na horyzoncie.

Cole zsunął na tył głowy kapelusz, chcąc zobaczyć, co zainteresowało Douga. Nagle serce zabiło mu mocniej. To „Anna Indyjska” zbliżała się do końca swego codziennego rejsu.

- Piękny - mruknął Doug.

Sylwetka królewskiego żaglowca, rysująca się na pastelowym tle późnopołudniowego nieba, była wcieleniem elegancji, symbolem minionej ery, w której jeszcze liczyło się dostojeństwo.

- Wygląda jak piracki okręt żywcem wzięty z filmu - powiedział Doug z uśmiechem.

Cole przez kilka minut nie mówił nic, tylko po prostu spoglądał na bryg, szybko przybijający do brzegu. W końcu odpowiedział Dougowi:

- To jest piracki okręt żywcem wzięty z filmu. Bajer dla turystów. Całodzienna, zgrabnie udratyzowana przejażdżka. Załoga złożona z piratów albo przynajmniej wizji piratów ze starego magazynu kostiumów Metro Goldwyn Meyer. Żonglerzy, akrobaci i szermierze toczą walki starannie zaplanowane przez choreografa, a rodziny ustawiają się w kolejce, żeby dostać się na pokład. Dzieci uwielbiają coś takiego.

Doug zaśmiał się.

- W jakim wieku są te dzieci? Myślę, że jazda na taką wycieczkę to czysta głupota. Spójrz, dzisiaj morze jest całkiem okay, ale i tak można poczuć się niepewnie. Kiedy widziałeś jedną falę, widziałeś wszystkie, dobrze mówię?

- Dobrze - powiedział Cole przeciągle. Doug spędził z nim zaledwie parę godzin, ale Cole już stwierdził, że nie da się wszczepić mu niczego z magii oceanu, z radości życia w ciszy i spokoju.

Doug przeszedł do porządku nad zgodną opinią Cole'a i czując, że chwytają go mdłości, zaczął stukać piętą w pokład. Od dzieciństwa wyrażał w ten sposób zniecierpliwienie.

Cole miał jednak ograniczoną świadomość niepokoju brata. Podniósłszy do oczu lornetkę, przebiegał wzrokiem pokład „Anny Indyjskiej”, zanim nie znalazł swojego celu. Dopuszczał myśl, że jego wyobraźnia przesadza z niewiarygodnie morelową barwą loków Morgan, blaskiem skóry, która wyglądała jak pomalowana pędzlem zanurzonym w słońcu, wyglądem warg, ostro zarysowanych i lekko różowych nawet bez kosmetyków.

- Na co tak patrzysz? - spytał Doug.

Cole nie odpowiedział. Swawolna bryza uniosła rąbek czerwonej spódnicy Morgan, ofiarowując mu na mgnienie oka widok nagich, opalonych nóg z taką wyrazistością, że Cole'owi zaparło dech.

Ciepło palące go od środka boleśnie uświadomiło mu, że unikając Morgan, tym bardziej jej pożąda.

- Co, do diabła, tak cię zaintrygowało? - spytał Doug.

Cole gwałtownie opuścił lornetkę.

- Nic - odparł. - Kończymy tutaj. Zorganizuję ci krótkie zwiedzanie mojego miasta.

- Twojego miasta? Zrobiłeś się nagle dosyć zaborczy - zauważył Doug z zagadkowym uśmiechem.

Cole myślał o Morgan. To ona rozbudzała w nim zaborczość. Nie miało to najmniejszego sensu. Cole w żadnym wypadku nie był zaborczym człowiekiem. Ale Morgan chciał mieć ją całą dla siebie.

- Hola, to jest moje miasto - powiedział Cole z wymuszoną pogodą. - Nie trafiłem tu z przypadku. Wybrałem to miejsce na mój nowy dom. Jak dobrze popatrzysz na Margaritaville, być może będziesz miał podobne odczucia.

Cole kierował się prosto ku Dokowi Mallory'ego, wiedząc, że tam będzie Morgan. Przy odrobinie szczęścia Doug nie zauważy jej w tłoku. A nawet gdyby, i nawet gdyby próbował z nią jakichś sztuczek, to może Morgan okaże się inna niż większość kobiet, którym podoba się jego styl. Cokolwiek miało się zdarzyć, mogło zajść również bez udziału Cole'a. Będąc razem z Dougiem, miał przynajmniej brata na oku. „Poza tym odwiedziny w Key West bez wzięcia udziału w ceremonii zachodu słońca są nie do pomyślenia” uznał Cole.

Ze świadomością, że wymyślił pretekst, naprawdę zaś nie może wytrzymać bez Morgan, Cole poprowadził brata do portowej dzielnicy, bez przerwy bacznie się rozglądając za niezwykle kaskadą złotych loków błyszczących w zachodzącym słońcu.

- Co ci się tak spieszy? - spytał Doug. Cole zorientował się, że znacznie przyspieszył kroku.

- Jest dużo do obejrzenia - odparł - a zachód się zbliża.

- Zachód? No i co z tego? Cole potrząsnął głową.

- I co z tego? Chłopcze, patrzysz na wszystko jak biegacz, musimy nad tym popracować dziś wieczorem.

- Niechętnie - powiedział Doug, mimo że bez szemrania zrównał się z Colem.

Do Doku Mallory'ego dotarli jeszcze przed zachodem, na kulminację pokazów i największy tłok. Doug uśmiechnął się szeroko.

- Fantastyczne. Czuję się jak dzieciak.

- Nigdy nie przestałeś nim być - dociął mu Cole. Zaraz potem puls mu przyspieszył. Nie wiadomo skąd, pojawiła się Morgan. Szła w jego stronę, nie widząc go. Rozmawiała, i śmiała się, z małą rudowłosą żonglerką ze swojej załogi.

Serce Cole'a gwałtownie zabiło, a krew zagotowała mu się w żyłach. Szedł jednak dalej spokojnie, udając całkowitą obojętność.

- O, jest wreszcie powód, dla którego naprawdę warto było tu przyjść - powiedział nagle Doug, spoglądając na Morgan i jej koleżankę.

Mięśnie Cole'a stężały, a dłonie instynktownie zwinęły się w pięści. Opanowała go dobrze mu znana, choć trudna do wyjaśnienia żądza posiadania.

- Co masz na myśli? - spytał sztywno.

- Tę rudą. O, tę, która idzie z wysoką blondynką - odparł Doug. - Amazonka jest wspaniała, ale ja wolę małe kobietki.

Cole zdecydowanie się rozluźnił, był jednak zaszokowany siłą miazdzących go uczuć. Od pierwszego razu, gdy ujrzał Morgan, miał trudności z utrzymaniem ich na wodzy. Były jak konie wyścigowe, w żaden sposób nie mógł odzyskać nad nimi władzy.

Desperacko szukał u tej kobiety jakiegoś mankamentu, który zniechęciłby go do niej, a przynajmniej stonował wrażenie, jakie wywierała, ale nic nie znalazł. Nie pomogła nawet uwaga Douga na temat nadmiernej okazałości Morgan. Cole'owi podobała się aura siły emanująca od dziewczyny. Zagrzewała mu krew i wypełniała umysł sugestywnymi, prozaicznymi wizjami, że trzyma ją w ramionach, przygniata sobą jej pełne pożądania ciało, czuje, jak jej długie nogi oplatają go i ściskają.

Morgan oderwała wzrok od rozmówczynie i dostrzegła go. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, jakby poza czasem i przestrzenią. Serce Cole'a zaczęło bić mocniej i w bardziej synkopowanym rytmie, niż ten, który wystukiwał muzyk wściekle bębniący w pobliżu. Cole próbował się uśmiechnąć, pewny, że wszyscy obecni w doku słyszą, co się dzieje w jego wnętrzu.

Morgan czuła się tak, jakby ktoś wdarł się do jej ciała, pozbawił ją oddechu, wstrzymał na chwilę pracę serca, a potem puścił je, by w szaleńczym tempie nadrabiało stracone uderzenia.

Próbowała oderwać spojrzenie od ciemnych oczu promieniujących na nią ciepłem, topiącym wszystko w środku.

Inni mężczyźni spoglądali na nią z niedwuznacznym pożądaniem. Żaden, z wyjątkiem Cole'a Jamesona, nie zdołał zamienić tego pożądania w magnetyzm niszczący cały jej system obronny.

- Hej! - powiedziała cicho. Z trudem mogła oddychać. Jej ręce zwisały luźno wzdłuż ciała z dłońmi zaciśniętymi w pięści, więc Cole nie dojrzał, że dziewczyna drży. Gwałtowność, z jaką jej ciało reagowało na tego mężczyznę, była niemal przerażająca.

- Hej! - miękko odpowiedział Cole, szukając dalszych słów. Nic z tego. Chciał koniecznie znaleźć coś takiego, żeby Morgan nie zauważyła wrażenia, jakie na nim robi. - Jak tam twoje przejażdżki?

- Codziennie komplet pasażerów - odparła Morgan, zastanawiając się, jak Cole może być taki obojętny, skoro tak dramatycznie na nią wpływa. Czyżby nie domyślał się żadnego z jej doznań?

- Jakie przejażdżki? - spytał Doug, prezentując jeden ze swych najszybszych uśmiechów, jawnie zadowolony, że szczęście mu sprzyjało i spotkał małą rudą.

- Pirackim okrętem, który widziałeś wcześniej - wyjaśnił Cole, patrząc nie na Douga, lecz na Morgan, jakby bał się, że gdy odwróci spojrzenie, to dziewczyna zniknie. - Ta pani jest jego kapitanem - Cole mrugnął i przypomniał sobie o zasadach dobrego wychowania, więc poświęcił krótkie spojrzenie również niższej z kobiet. - A jej przyjaciółka jest nieocenionym członkiem załogi.

Morgan podchwyciła wprowadzenie i przedstawiła swoją towarzyszkę.

- Już teraz wiem, dlaczego tak długo patrzyłeś przez lornetkę - powiedział Doug. - Wstyd, braciszku, że się nie podzieliłeś ze mną.

Cole pomyślał, że udusi Douga, ale ten tylko się uśmiechnął, niepostrzeżenie odciągając na bok właścicielkę rudych włosów.

- Twój brat jest podobny do ciebie - stwierdziła Morgan, choć wcale nie była tego pewna. Obrzuciła go jedynie powierzchownym spojrzeniem.

- Ludzie często to mówią - potwierdził Cole. - Mój drugi brat, Adam, jest zupełnie inny. Ma jaśniejszą skórę, jak ojciec. Doug i ja odziedziczyliśmy coś po dość tajemniczych przodkach ze strony matki.

„Głupio”, pomyślał wściekły na siebie. Głupio rozwijać ten temat, a jeszcze głupiej, że Cole znowu do niego wraca. Dlaczego, kiedy jest z Morgan, papla co mu ślina na język przyniesie? Dlaczego nie ma w sobie choćby cząstki spokoju Douga? Czyż najstarszy z braci nie powinien mieć najwięcej taktu? Morgan uśmiechnęła się lekko.

- Więc krew Seminolów odziedziczyłeś po rodzinie matki.

- Albo hiszpańską. Albo i taką, i taką. Jak mówiłem, nie jesteśmy tego pewni. Zdaje się, Morgan, że fascynuje cię moja ewentualna domieszka indiańskiej krwi.

- Bo to jest niesłychanie fascynujące - odparła, myśląc że lubi słyszeć swoje imię padające z ust Cole'a, pięknie rzeźbionych, kuszących ust. - Nawet jeszcze bardziej przez tę niepewność. Wyczuwam w tym całą historię. Uwielbiam różne historie.

- Cóż więc sądzisz o takiej? - powiedział, czując gorącą potrzebę odkrycia własnych uczuć. - Co powiesz o historii mężczyzny, który

nie może przestać myśleć o pięknej piratce, nawet jeśli wcale nie chce o niej myśleć?

- Dlaczego nie chce? - Morgan zrobiła wielkie oczy, zaskoczona tak bezceremonialnym stwierdzeniem.

- Ponieważ - Cole zdjął kapelusz i przeczesał włosy palcami. - Ponieważ nie wiem. Kiedy on jest z nią, nic sobie nie może przypomnieć.

- Skoro tak, to przyczyna musi być bardzo ważna - szepnęła Morgan, kiedy ruszyli z miejsca. Zastanawiała się, dlaczego ośmiela Cole'a, a nawet zachęca do mówienia o tym, co dzieje się między nimi. On przecież wyraźnie nie chce, by tak się działo. Ani ona. Czy aby ona też?

Jakby ciągnięty niewidzialną ręką, Cole podążał za Morgan, w końcu stanął za jej plecami w tłoku otaczającym wprawno grajka. Dokładnie tak samo stał tydzień temu, gdy słuchali szkockiego kobziarza. Znów był tak blisko niej, że czuł delikatny zapach jej skóry. Tym razem do ich uszu dobiegały słodkie akordy w stylu cool.

- Lubisz jazz? - zapytał Cole w przerwie między numerami.

Morgan odwróciła głowę, żeby odpowiedzieć.

- Nie jestem koneserką, jak moja siostra Liza, ale... - przerwała nagle bez sił, jakby ktoś pozbawił ją tlenu. Z trudem przełknęła ślinę i zamrugała parę razy, próbując otrząsnąć się z szoku, jakiego doznała, uświadamiając sobie, że Cole jest znowu tuż koło niej. Na jej nerwy działało to zabójczo. Mężczyzna był jak milczący kot. Czarny, zagadkowy, drapieżny.

- No to „hej” jeszcze raz - powiedział Cole z kuszącym uśmiechem.

- Hej! - odpowiedziała Morgan po kilku sekundach. I zaraz wyrzuciła z siebie łamiącym się głosem: - Co się z nami dzieje? A może to tylko szaleństwo mojej wyobraźni? - nawet mówiąc to musiała się opierać, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć chropawego policzka Cole'a.

- To nie wyobraźnia, Morgan. Chcę ci wyjaśnić, co się dzieje. Prawda jest taka, że całkiem postradałem zmysły, od kiedy jestem w Key West.

Morgan poczuła, że ogarnia ją słabość. Dziwnie chrypliwy dźwięk głębokiego głosu Cole'a przejął ją cudownym dreszczem.

- Ja też! - powiedziała i szybko zorientowała się, że z odpowiedzią coś nie gra. - Chciałam powiedzieć, że ty też... Mam na myśli... Właśnie próbuję powiedzieć...

Ogromne, tatuowane łapsko opadło na jej głowę i zmierzwiło włosy.

- Hej, Bilardówa! - powiedziała Morgan. Udało jej się cienko uśmiechnąć, chociaż wolałaby, żeby wybrał bardziej odpowiedni moment do pojawienia się na scenie.

Cole spojrział złowrogo na intruza i rozpoznał w nim motocyklistę, jednego z bardziej oryginalnych przyjaciół Morgan. Potem skinął mu głową na powitanie, myśląc jednocześnie, że przezwisko Bilardówa doskonale do niego pasuje. Mężczyzna był całkiem łysy i wyglądał tak, jakby urodził się i dorastał w klubie bilardowym. Motocyklista nie był przesadnie wysoki, robił jednak wrażenie. Budową ciała jawnie przypominał ciężarówkę, a twarz sprawiała wrażenie, jakby rzeczona ciężarówka po niej przejechała.

Od pierwszej chwili, gdy zobaczył ich razem, Cole miał duże wątpliwości, jak zakwalifikować stosunki łączące Morgan z Bilardową. Zaczynał natomiast rozumieć z niezwykłą jasnością, że najtrudniejszą rzeczą dla niego będzie znalezienie sposobności, by zostać z Morgan sam na sam, choć przez moment.

Żałował, że nie wykorzystał lepiej chwili prywatności, jaką mieli na „Bonnie Anne”. Było tak wiele pytań, które mógł jej zadać, tak wiele sposobów, by poznać ją odrobinę lepiej.

Morgan zastanawiała się, czy wzajemna prezentacja będzie na miejscu.

- Cole, to jest mój przyjaciel, Bilardówa. Bilardówa, to jest Cole Jameson.

Wielka łapa Bilardówy zamknęła się na dłoni Cole'a, ale uścisk wypadł zaskakująco uprzejmie.

- Hej, chłopie, zdaje się, że już cię parę razy gdzieś widziałem. Jesteś taki facet, co nie szuka towarzystwa i każe się wszystkim wokoło domyślać, po jaką cholere tu przyjechał.

Zaskoczony komentarzem, a także uśmiechem Bilardówy, którego zęby wyglądały, jakby miały na swoim koncie pokąsną porcję kapsli ściągniętych z butelek, Cole po prostu wpatrywał się w przybysza.

- Wyjeżdżałeś na trochę, prawda? - spytał Bilardówa.

- Tak, na kilka tygodni - odparł Cole. Nie przypuszczał, że miejscowi zwracają uwagę na jego zachowanie. Miał temat do rozmyślań, a nawet powód do zmartwienia.

Zainteresowanie Bilardowy szybko ostygło.

- Zdaje się, że przy połykaczu ognia są dzisiaj tłumy. Pójdę chyba zobaczyć, czy można go po przyjacielsku poklepać.

- Jeśli ktokolwiek może, to właśnie ty - zaśmiała się lekko Morgan.

Bilardowa skinął głową i zaczął torować sobie drogę przez tłum. Kiedy odszedł już kawałek, odwrócił się do Morgan:

- Do zobaczenia później, u „Kapitana Tony'ego”.

- W porządku - zawołała Morgan, a potem nerwowo uśmiechnęła się do Cole'a.

„To było dziwne” myślała. Wstydlivość nigdy nie stanowiła dla niej problemu. Jej rodzice uczyli córki, że większość obcych to potencjalni przyjaciele i Morgan wzięła sobie tę lekcję do serca. Zwykle czuła się całkiem swobodnie, bez względu na osobę i sytuację.

Będąc z Colem Jamesonem, uosabiała jednak nieporadność. Miała pustkę w głowie, a język plątał jej się przy najprostszyc

zdaniami. Świadom trudnego położenia, w jakim znalazła się Morgan, Cole uśmiechnął się do niej.

- O czym mówiliśmy?

Poczucie humoru dziewczyny wróciło na swoje miejsce.

- Chyba o niczym szczególnym, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Raczej unikam takich wpadek z mojej strony.

- A ja raczej nie mówię mało znanym kobietom, że doprowadzają mnie do szaleństwa. Oczywiście nigdy dotąd nie miałem powodu - Cole porzucił plan bitwy o zdobycie Morgan. Walka wydawała się z góry przegrana. - Nie sądzisz, że powinniśmy się spotkać, żeby porozmawiać o całej sytuacji? - uśmiechnął się szeroko. - Może podczas kolacji, którą wciąż ci jestem winien?

Morgan zawahała się. Zanim zdążyła otworzyć usta, żeby odpowiedzieć, gitarzysta zaczął z wielką fantazją następny numer. W tej samej chwili tuż koło Cole'a pojawił się Doug, a dwie małe dziewczynki podbiegły do Morgan, zaborczo ciągnąc ją na drugą

stronę placu z piskiem, że kapitan koniecznie musi zobaczyć nieziemskiego psa.

Cole poczuł bezradną wściekłość, widząc, jak Morgan znika w tłumie. Znowu musiał współzawodniczyć o przyciągnięcie jej uwagi.

Pocieszył się tym, że zna jej dalsze plany. Miała przecież iść do baru „Kapitan Tony”. Niestety, na spotkanie z Bilardową.

Doug był gotów do zmiany miejsca.

- Może poszlibyśmy na drinka? Na przykład do Margaritaville?

- Ta ruda dziewczyna też tam ma być, prawda?

- Skąd wiesz, wielki bracie? Cole potoczył wzrokiem dookoła.

- Właśnie dzięki temu, że jestem twoim wielkim bratem. Ale na razie stąd nie idziemy. Poczekajmy, dopóki nie zajdzie słońce.

Doug przesłał mu filuterny uśmiech.

- Aha, nie dopłynąłeś jeszcze do pierwszej boi z Amazonką. Dobra, Cole. Posiedzę tu jeszcze, żeby dać ci drugą szansę. Nie mogę powiedzieć, że cię ganię. Ale ona jest jednak bardzo duża. Nigdy nie myślałem, że taki typ ci odpowiada. Angie była taka drobna i krucha - Doug przełknął gwałtownie. - Przepraszam, wiem, że nie lubisz, kiedy o niej mówię.

- Słusznie - powiedział Cole zdecydowanie. - Nie lubię.

Doug przestępował z nogi na nogę, zakłopotany.

- Chyba muszę ci coś powiedzieć. Angie wyszła po raz drugi za mąż.

- Tym lepiej dla niej - wyraz twarzy Cole'a nie objawiał najmniejszej emocji.

- I jeszcze jedno - Doug zrobił pauzę na odchrząknięcie. - Będzie miała dziecko.

Cole się nie odezwał, choć drgnął mu mięsień w szczęce.

- Tak cię wykołowała - Doug wyrzucił to z siebie cichym głosem, w którym wibrowała długo powstrzymywana wściekłość. - A ty na to pozwoliłeś. Zostawiła cię. Bezczelnie cię zdradziła, a ty jeszcze dałeś jej dom, majątek i do tego łatwy i szybki rozwód.

- To już przeszłość. Stara historia - podsumował Cole.

- Nie taka stara - zaprotestował Doug. - To Angie wpędziła cię w kryzys, choć masz jeszcze pół życia przed sobą.

Cole odwrócił się nagle do brata, bliski wybuchnięcia śmiechem. Był zdziwiony, że Doug tak mało go rozumie.

- Przede wszystkim dowiedz się raz na zawsze, że nie mam żadnego kryzysu. Rozeszliśmy się z Angie dwa lata temu. Nie widzisz, jakie to było miłe z jej strony? Z naszego małżeństwa nic nie wychodziło od samego początku. Nieważne, jak się staraliśmy, sprawa była z góry przegrana. Dałem jej dom i majątek, bo nie miała przed sobą przyszłości. Ja mogłem wszystko odbudować, ona nie. Możesz mówić, jeśli chcesz, że mnie wykołowała, ale ja uważam, że ustalenia rozwodowe były całkiem fair. Jeżeli jest teraz szczęśliwa, to ma na to moje błogosławieństwo.

Douga nie zadowolilo takie stwierdzenie.

- Popatrz, Cole. Każdy, kto cię zna, może z tobą zrobić, co chce. Masz za dobre serce, żeby dbać o własne interesy. Zawsze dajesz, a nie bierzesz - z błyskiem w oku Doug dodał: - Okay, może nie mam prawa tak mówić, skoro przez całe życie cię wykorzystuję. Ale do diabła z tym, jak możesz tak spokojnie przyjmować wszystko, co dzieje się z Angie? Czyż nie upierała się, że nie chce dzieci, mimo iż wiedziała, jak bardzo pragnęłaś prawdziwego życia rodzinnego? A teraz robi z siebie pepek świata, grając małą mamusię, zupełnie jakby urodziła się do tej roli.

Cole nie mógł zaprzeczyć, że zraniły go nowiny o zmianie poglądów byłej żony na sprawę dziecka, ale pomyślał jednocześnie, że to przede wszystkim jego duma została urażona, kiedy Angie odeszła z innym mężczyzną, i także teraz ukłuto jego dumę.

- Angie miała rację, nie chcąc mieć ze mną dzieci. Nasze małżeństwo było nie dość silne - powiedział spokojnie. Potem położył rękę na ramieniu Douga i uśmiechnął się. Doceniał lojalność brata, chociaż nie podobało mu się wypominanie jego fatalnej klęski, jaką poniósł, starając się dać żonie bezpieczeństwo i szczęście, które w końcu dał jej inny mężczyzna. - Co chcesz, żebym zrobił, chłopcze? Wrócił do Filadelfii i zażądał zwrotu majątku, bo Angie się udało?

- Nie - powiedział Doug szorstko. - Chcę tylko, żebyś wrócił, to wszystko. I myślę, że właśnie przez nią nie wrócisz.

Cole wolno potrząsnął głową.

- Nie przez nią. Nie mam zamiaru wracać, bo należę do miejsca, w którym jestem. To takie proste, Doug. Pogódź się z tym. Daj spokój z wspomnianiem o Angie. Ja to zrobiłem już dawno. A teraz proszę cię, Doug, spędźmy tutaj miły tydzień - machnął ręką w stronę stadka

młodych dziewczyn, stojących niedaleko. - Jak to się mówi, chłopcze, wiele kobiet, mało czasu. Nie trać ani tego, ani tego jałowe sprzeczki.

Doug wykonał szeroki uśmiech zakończony ziewnięciem.

Cole poczuł nagle wielkie zmęczenie. Chociaż nie kłamał, mówiąc Dougowi o swoich uczuciach do byłej żony, a właściwie o braku uczuć, to wraz z poruszeniem przeszłości znowu wyraźnie zobaczył wszystkie przyczyny, dla których przysiągł sobie unikać romantycznych przygód.

Doug powiedział o nim, że tylko daje. Cole nie był tego pewien. Nie był przecież w stanie dać Angeli tego, czego potrzebowała. Wciąż nie wiedział, jak i dlaczego mu się nie powiodło.

Cóż więc mógłby ofiarować takiej kobiecie, jak Morgan Sinclair?

Uznał, że nie powinni wieczorem odwiedzać z Dougiem „Kapitana Tony'ego”. Morgan tylko skorzysta, jeśli Cole będzie się trzymał z dala od niej.

Rozdział 4

Minęło półtora tygodnia od chwili, gdy „Anna Indyjska” przyszła na pomoc Cole'owi Jamesonowi. Przez cały ten czas Morgan nie widziała Cole'a, z wyjątkiem poniedziałkowego spotkania w Doku Mallory'ego.

Nie mogła powstrzymać się od rozmyślań, czy przypadkiem nie jest to zwykły gracz, typ Don Juana, który nie może oprzeć się chęci zainteresowania kobiety, nawet jeśli nie zamierza naprawdę przyciągać jej uwagi, i robi to wyłącznie dla zaspokojenia własnej próżności.

Wprawdzie Cole nie wydał jej się egoistyczny ani płytki, ale jego słowa bez wątpienia były sprzeczne z zachowaniem.

Nie mogąc ścierpieć, że Cole wciąż zajmuje jej myśli, Morgan postanowiła szukać spokoju w samotnej niedzielnej wycieczce na „Bonnie Anne”. Słoneczny dzień był zbyt piękny, by zamykać się w czterech ścianach, a chodzenie bez towarzystwa na plażę pełną parok i zadowolonych rodzin nie pasowało do jej wyobrażenia o relaksie.

A jednak nie miała relaksującego dnia. Dzień minął jej w kiepskim nastroju. Była zła, że dała Cole'owi Jamesonowi tak wielką władzę nad sobą.

W kilka godzin później siedziała całkiem bezradna na nadmiernie wypchanym krześle w wynajętym domku, zaledwie parę bloków od centrum Starego Miasta, zawzięcie walcząc z melancholijnym nastrojem, który był jej tak obcy, że zupełnie nie wiedziała, jak go opanować.

Powiedziała sobie, że zachowuje się jak dziecko. Nie. Gorzej niż dziecko. Dzieci chłoną radość życia i nie są takie tępe, żeby zatruwać je sobie przez... właśnie przez to, co ona, jakkolwiek by to nazwać. Na pewno nie jest to miłość. Morgan nie zna Cole'a Jamesona, więc nie może go kochać. Proste. Na czym polega jej problem? Czemu unieszczęśliwia ją jeden prawie nieznanemu mężczyzna, który bawi się jej uczuciami. Morgan ma mnóstwo wspaniałych przyjaciół. Po co sobie zawracać głowę Colem? Skąd to ciągle powracające rozczulanie się nad sobą? Takie uczucie nie jest w jej stylu. Żadne ze zmiennych, obsesyjnych uczuć, których doznaje z powodu Cole'a Jamesona, nie jest w jej stylu.

Doszła więc do wniosku, że Cole Jameson może być jedynie przyczyną jej zmartwień.

Nagle przyszło jej do głowy, że pogawędka z jedną z sióstr podziała jak balsam na skołatane nerwy.

Podniosła słuchawkę i zaczęła wybierać numer Stefanii w Nowym Orleanie, ale nagle przerwała.

Przypomniała sobie, że Stefanii nie wprawi to w dobry nastrój. Nie należy jej zawracać głowy mało pogodnym telefonem z Key West. Zaledwie kilka miesięcy temu Steffie sama wpadła na zdradzieckie mielizny miłości. Boże, przecież ta kobieta posunęła się aż do małżeństwa. Tylko po to, żeby uciec od męża.

Od kiedy w kilka tygodni po ślubie małżeństwo się rozpadło, Steffie przestała być sobą.

„Chyba lepiej będzie zadzwonić do Lizy” pomyślała Morgan, ale zmieniła zamiar, zanim jeszcze zdążyła wykręcić numer kierunkowy do południowej Francji. Przypomniała sobie, że Liza dochodzi do siebie po związku z saksofonistą, który zbył ją porcją wykrętów.

Co się dzieje z siostrami Sinclair? Po latach błogiej niezależności nagle padły ofiarą niewłaściwych mężczyzn.

Cóż, o ile wiadomości Morgan były aktualne, tylko jedna siostra pozostała na dawnej drodze. Heather na razie uniknęła pułapki. Ale miała dopiero dwadzieścia dwa lata i wciąż jeszcze wierzyła w bajki o miłości i szczęśliwe zakończenia, dokładnie tak samo, jak w duchy, jasnowidzenie i krasnoludki.

Morgan miała nadzieję, że żaden przystojny Szkot nie uwiedzie najmłodszej siostry z Edynburga, żeby w swoim zamku złamać jej ufne serce. Jeśli o to chodzi, tylko serce Heather było jeszcze nietknięte.

Powoli odkładając słuchawkę, Morgan uświadomiła sobie, że swojego serca nie traktowała jako nietkniętego.

Wtargnął do niego Cole Jameson. Jednocześnie jasno dał do zrozumienia, że wcale nie chce tam być.

Morgan doszła do wniosku, że powinna się otrząsnąć z choroby miłosnej tak, jak z paskudnej grypy. Nie pomogłoby jej wzięcie aspiryny i wypicie dużej ilości płynów, ale Morgan miała swoje własne lekarstwo: pracę.

Przyszły wstępne dane od specjalisty zajmującego się na jej zlecenie badaniem rynku. Właśnie teraz był najodpowiedniejszy moment, żeby przestudiować raporty o celowości rozbudowania jej niewielkiego, lecz szybko rosnącego przedsiębiorstwa o trzeci okręt,

tym razem na Wyspach Bahama. Gdyby wszystko poszło dobrze, za parę miesięcy Morgan nie będzie już potrzebna przy rejsach w Key West i wyruszy na spotkanie nowej przygody.

W Nassau nie byłoby Cole'a Jamesona, co bardzo Morgan odpowiadało.

Zdecydowany, co ma powiedzieć, Cole Jameson skierował się ku przystani, gdzie właśnie przybiła „Anna Indyjska”. Długo myślał, zanim doszedł do wniosku, że Morgan Sinclair jest warta zachodu bez względu na następstwa. A co właściwie robił do tej pory prócz zrażania jej do siebie?

Morgan schodziła z pokładu brygantyny trochę zmęczona, ale zadowolona z przebiegu dnia.

Kiedy dotarła do doku, zobaczyła swojego młodego prześladowcę.

- Czuwam, kapitanie Morgan! - wykrzyknął podniecony dziewięcioletek o imieniu Jamie, który przez cały rejs deptał jej po piętach i okazał się niezmordowany w szermierce na miny.

Chyba już po raz dziesiąty Morgan gwałtownie odwróciła twarz i wymieniła z młodym człowiekiem całą serię ciosów i fint. Potem, zmęczona, marząc o długiej gorącej kąpieli, złapała się za serce i odegrała krótką scenę umierania. Wywołało to spory aplauz turystów, obserwujących pojedynek.

- Ojej - powiedział Jamie, rozumiejąc, że tego popołudnia zabawa zbliża się do końca.

- Jesteś dla mnie za dobry - oświadczyła Morgan. - Przy tobie nie mam żadnych szans.

- Mogę cię nauczyć - zasugerował ochoczo chłopiec.

W tej chwili pojawił się ojciec, szukający syna.

- Daj spokój biednemu kapitanowi, James. Dzień był wspaniały, ale już wystarczy, okay?

- Ojej - powtórzył Jamie, ale obdarzywszy Morgan anielskim uśmiechem, karnie podreptał za rodzicami.

- Cześć - zawołała za nim Morgan, potem odwróciła się i z zamiarem pójścia do domu zdjęła wielkie kolczyki w kształcie pierścieni. Schowała je do kieszeni.

„Kiepsko to było zagrane” pomyślał Cole. „Kiepsko, ale z jakim wdziękiem”.

Przyglądał się każdemu ruchowi Morgan, która szybko zbliżała się do niego wzdłuż nabrzeża. Podobał mu się sposób, w jaki jasnoniebieska spódnica i koronkowa halka pod spodem układają się wokół długich nóg, a luźno skrojona jaskrawożółta bluzka z bufiastymi rękawami bez powodzenia próbuje zakryć efektowne krzywizny. Zuchwała różowa szarfa na wąskiej talii, dobrana do niskich sandałów, dopełniała wyglądu. Morgan przypominała tropikalny ogród w pełnym rozkwicie.

Tylko niektóre kobiety mogą z powodzeniem nosić się w tak śmiałym stylu i stosować równie jaskrawe zestawienia kolorów. Niewątpliwie należała do nich Morgan Sinclair, osoba wysoka, pewna siebie, odznaczająca się wrodzoną zmysłowością. Biodra dziewczyny kołysały się w swobodnym rytmie, jakby podążały za muzyką, którą słyszy tylko ona.

Idąc, Morgan patrzyła na morze i nie zauważyła Cole'a, aż do chwili, gdy omal na niego nie wpadła.

- Hej! - powiedział Cole.

Wahała się jedynie przez ułamek sekundy, po czym uśmiechnęła się. Cole, świeżo ogolony, miał na sobie białe, luźne spodnie z płótna i marszczoną niebieską koszulę, nie miał za to tego okropnego kapelusza. Wyglądał równie pociągająco jak zawsze, lecz w zupełnie inny sposób.

- Hej! - powiedziała Morgan, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. Okazało się jednak, że nie może wymyślić ani słowa więcej. Nieco przyspieszyła kroku.

Cole bez trudu zrobił to samo, chociaż przyspieszenie zwróciło jego uwagę. Wziął głęboki oddech i przeszedł do rzeczy:

- Przykro mi, że zachowałem się tak bez sensu. Myślę o wszystkim, co powiedziałem o... o moich uczuciach do ciebie. Musisz się dziwić, dlaczego nic z tym nie zrobiłem.

Morgan kusilo, żeby powiedzieć, że nie zauważyła, ale taka kokieteria była jej obca. Poza tym uczciwość Cole'a zasługiwała na odwzajemnienie.

- Rzeczywiście, dałeś mi dużo do myślenia - przyznała. - Ale sądziłam, że pewnie za dużo sobie obiecywałam po jednym pocałunku, kilku znaczących spojrzeniach i trochę po tym, co mi powiedziałeś. Nie jestem zbyt doświadczona w takich sprawach.

- W jakich sprawach? - spytał Cole. Zaśmiała się.

- Nie mam doświadczenia. Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że prowadziliśmy flirt z przerwami, ale mogę się mylić.

- Nie mylisz się - powiedział spokojnie. - Ale nie popisałem się szczególnie.

- Przeciwnie, Cole. Popisałeś się wyjątkowo, jeśli chciałeś rozbudzić moje zainteresowanie, a potem całkowicie mnie zdezorientować.

- Ja też jestem nieco zdezorientowany - mrugnął, stwierdzając, że już prawie biegną. - Śpieszysz się?

Przystanęła i wbiła w niego spojrzenie.

- Czyżbyś sugerował, że usiłuję cię wpuścić w pewien rodzaj... związku?

Minęła chwila, zanim Cole zrozumiał. Rozchylił palce, przecesał włosy i ciężko westchnął.

- Miałem na myśli tylko to, że bardzo szybko idziesz, Morgan.

Dziewczyna zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu, chcąc poczuć na twarzy ciepło słońca. Miała nadzieję, że w ten sposób uspokoi się i uniknie wychodzenia na głupią po raz drugi.

Cole'a opanowała pokusa objęcia Morgan i przyciągnięcia jej bliżej, wystarczająco blisko, by móc całować powieki, muskać ustami policzki, wargi i szyję.

Ale nawet nie drgnął. Po prostu patrzył na nią, wyobrażając sobie jej jedwabistą miękkość i ciepło.

W końcu Morgan otworzyła oczy i spojrzała w twarz Cole'a.

- Jak mówiłam, nie mam wielu doświadczeń. Przykro mi.

- No cóż, spieszysz się? Mam na myśli, że szybko szłaś - powiedział Cole łagodnie. Delikatny zapach skóry Morgan igrał z jego zmysłami, a złotobrunatne oczy wciągały go w swe głębiny. Cole czuł we wnętrzu tępy, pulsujący ból.

Morgan potrzęsnęła głową. Nie była w stanie mówić. Cole wyglądał tak zmysłowo, tak czule, że nieomal miała wrażenie jakby kochał się z nią właśnie w tej chwili, tam gdzie stali. To była wspaniała chwila. Prawie czuła stalową siłę oplatających ją ramion, twardość męskiej piersi, a przez skórę sprężystość mięśni. Jego wargi wyglądały tak, jakby miały odcisnąć się na jej ustach, spojrzenie przenikało wszystko wokół, a dłonie Cole'a zdawały się czekać, aż wypełnią je piersi Morgan. Dziewczyna poczuła, że jej oddech staje

się nierówny, zaczyna dostrajać się do Cole'a, łapie rytm oceanu w oddali.

Pomyślała, że musi coś zrobić, żeby zdjąć zakłęcie.

- Dlaczego jesteś zdezorientowany - spytała Cole'a, przypominając sobie jego wcześniejszą uwagę.

- Przez błędy, które zrobiłem, i których nie chcę popełnić po raz drugi. Dokąd teraz idziesz? Nie masz w planie oglądania zachodu słońca?

Morgan spojrzała w ziemię.

- Niestety, ostatnio się tym nie zajmuję. O tę część publicznych kontaktów pozwoliłam zadbać mojej załodze.

Cole przypomniał sobie ich wspólny zachód słońca i upajające wrażenie, jakie miał obejmując Morgan. Na to wspomnienie jego ciało dało pospieszny odzew, którego nie należało lekceważyć. Cole ujął dziewczynę pod ramię i łagodnie zachęcił, by ruszyli dalej.

- Dokąd teraz? - zapytał Morgan, gdy skręcili w cichą, boczną uliczkę. Miał samolubną nadzieję, że przez chwilę zatrzyma ją dla siebie.

- Miałam... Miałam zamiar iść do domu. Chciałabym się przebrać i coś zjeść, zanim pójdę się spotkać z przyjaciółmi.

- Czyżbyś spotykała się z nimi co wieczór? Uśmiechnęła się, domyślając, do czego zmierza

Cole.

- Nie, nie co wieczór. Ale dość często. Nie miałam tego w zwyczaju, bo łażenie po barach nigdy mnie nie bawiło. Jednak tutaj, w Key West, knajpki wyglądają nie wiem dlaczego, jak ośrodki życia towarzyskiego.

- Może namówię cię, żebyś zamiast tam poszła dziś wieczór na naszą kolację?

Morgan przygryzła dolną wargę, żałując obietnicy danej Bilardówie.

- Przykro mi, ale muszę się na chwilę pokazać w tej nowej dziurze na Duval, przy Eaton Street. Tej, którą otworzyli w zeszłym tygodniu.

Cole poczuł, że nie rozumie, co jest grane. Wahał się, czy dostał od Morgan kosza, czy naprawdę było jej przykro.

- Więc może później? - spytał, zdając się na łaskę losu.

- Moglibyśmy pójść do baru. a potem... - zawiesił głos. Nie chciał wydać się zbyt śmiały. - Oczywiście, jeśli ty...

- Będzie mi bardzo miło - odparła Morgan.

Cole zatrzymał się, wyjął rękę z kieszeni i lekko dotknął ramienia Morgan, która również stanęła.

- Co powiedziałaś? - spytał.

- Będzie mi bardzo miło zjeść z tobą kolację - powiedziała miękko Morgan, równocześnie robiąc najśłodszy uśmiech, jaki Cole widział w życiu.

Cole czuł jak jego ciało reaguje na połyskliwy bursztyn oczu Morgan i piękną linię jej warg.

- Po co masz się przebierać - spytał, broniąc się przed jej odejściem. - Wyglądasz wspaniale.

Na słowa Cole'a Morgan spłonęła rumieńcem. Uświadomiła sobie, że chce wyglądać tak wspaniale, jak tylko można, żeby mu się podobać.

- Dziękuję - powiedziała, już zastanawiając się, co powinna włożyć. - Doceniam komplement, ale po dniu pracy na okręcie dobrze jest zdjąć z siebie to wszystko, wziąć szybki prysznic... - ciemniejące oczy Cole'a uzmysłowiły Morgan, że wkracza na niebezpieczny grunt. - I założyć nową sukienkę - dodała bez tchu. Nagły płomień pożądania, widoczny w spojrzeniu Cole'a, rozpałił także ją.

- Zawsze nosisz sukienki - powiedział Cole, wciąż jeszcze stojąc ze wzrokiem utkwionym w Morgan. - Nigdy nie widziałem cię w dzinsach ani w szortach.

- Noszę dzinsy, ale nie publicznie w Key West - odparła Morgan, z roztargnieniem myśląc, że prowadzą raczej dziwną rozmowę. Nigdy nie wyobrażała sobie Cole'a jako mężczyzny, który zauważa strój kobiety. - Kiedy postanowiłam grać rolę królowej piratów, wybrałam kobiecość.

- Mądra decyzja - wargi Cole'a ułożyły się w uśmiech. - Nigdy nie weszłabyś w tę rolę jak mężczyzna.

Morgan poczuła dobrze znane ciepło, rumieniec zalał jej policzki i szyję.

- Co by nie mówić - ciągnęła - Key West jest małym miastem, więc myślę, że powinnam zachowywać image przez cały czas.

- Kapitan Morgan, królowa piratów - powiedział Cole, radośnie pokazując wszystkie zęby. - Grasz tę rolę doskonale z muzyką z „Kapitana Blooda” w wersji stereo włącznie.

Morgan roześmiała się.

- Odmawiam skruchy za muzykę z taśmy. Zawsze uważałam, że w życiu potrzebny jest muzyczny podkład. Być może zepsuł nas Hollywood, ale wydaje mi się, że połowa rozczarowań w życiu, na przykład pocałunki zupełnie niepodobne do tych ze srebrnego ekranu, to wina braku skrzypiec w tle.

Nie zwracając uwagi na przechodniów, Cole poddał się nieodpartemu impulsowi. Powolnym, wypracowanym gestem położył dłonie na ramionach Morgan, przyciągnął ją i pochylił głowę tak, że delikatnie musnął jej usta, a potem, nie mogąc się powstrzymać, przesunął czubkiem języka po jej dolnej wardze. Upajający smak ust Morgan rozbudził jego wyobraźnię. Poczuł się ośmielony, tym bardziej że dziewczyna zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, jakby czekała na następny pocałunek, a jej ręce przesunęły się ku górze, by w końcu spocząć na piersi Cole'a.

- Nie wiem, Morgan - szepnął. - Ja mógłbym przysiąc, że słyszałem przed chwilą całą sekcję smyczków w tle.

- Całą filharmonię - odparła Morgan z głębokim westchnieniem. Oczy wciąż miała zamknięte i żal jej było otwierać, bo oznaczałoby to koniec symfonii przyjemności.

Cole nie mógł się oprzeć zaproszeniu. Znowu pochylił głowę, tym razem narzucając sobie ścisłą kontrolę, gdy tylko dotknął warg Morgan, nie próbując nawet lekko dotknąć ich językiem.

- O której mam przyjść? - spytał, zmuszając się do wycofania.

Morgan wydała z siebie jeszcze jedno niepewne westchnienie, zdziwiona tym, że zwykły pocałunek sprawił, iż zapragnęła o wiele więcej. Niechętnie otworzyła oczy.

- Powiedzmy... - miała kłopoty z zebraniem myśli i ich jasnością. W końcu udało jej się wyliczyć, ile czasu potrzebuje. - To mi zajmie godzinę - przypomniawszy sobie, że ma prywatne sprawy z Bilardową, dodała jeszcze na zapas. - No, może półtorej godziny.

- A więc przyjdę za półtorej godziny - powiedział Cole i zanim ją puścił, pocałował jeszcze w czubek nosa.

Morgan widziała, jak szybko Cole się oddala. Odwróciła się i ruszyła do domu, wciąż mając w uszach muzykę, którą usłyszała dzięki niemu.

Cole zatrzymał się z wahaniem przy drzwiach nowego baru. Musiał przyzwycząić wzrok do słabego oświetlenia we wnętrzu.

Morgan siedziała przy stoliku z Juanem Fernandezem, starym, ogorzałym producentem cygar, który był w Key West jej najlepszym przyjacielem, kimś w rodzaju samozwańczego zastępcy ojca. Zobaczywszy Cole'a poczuła, jak jakaś zewnętrzna moc rozświetliła pogrążoną w półmroku salę.

W niebieskiej marynarce z płótna, białych spodniach i jaśniejszej niż marynarka, choć również niebieskiej, koszuli, którą nosił już wcześniej, Cole był zabójczo pociągający.

Morgan uderzyło jednak, że ten mężczyzna ciągle pozostaje dla niej zagadką. Nie wiedziała o nim prawie nic, z wyjątkiem tego że czuła w sobie więcej życia, kiedy był blisko.

Cole omiółł salę spojrzeniem i zatrzymał je na Morgan, która, ku swojemu zaskoczeniu, odkryła, że jest zdenerwowana. Miała wrażenie, że tylko on jest zdolny do wywołania u niej takiego stanu.

Próbując przejść do porządku dziennego nad swoją chybioną odpowiedzią na wystudiowane wejście Cole'a, Morgan pomyślała z przekąsem, że dla oddania własnego nastroju powinna włożyć coś w rodzaju lamarciej skóry, a nie różową bluzkę bez ramion, ozdobioną u góry silnie marszczoną koronką, i szeroką spódnicę.

Kiedy jednak przesunęło się po niej spojrzenie Cole'a, nastrój się ulotnił. Dziewczyna uświadomiła sobie nagle miłą miękkość bawełny pieszczącej jej skórę, poczuła, że sutki jej twardnieją i zarysowują się wyraźnie pod cienkim materiałem.

Cole podszedł do stolika i stał przez chwilę całkiem nieruchomo, uśmiechając się do Morgan. Niełatwo było mu pozbyć się pragnienia, by unieść ją w ramionach do prywatnego ogrodu, gdzie mógłby mieć ją tylko dla siebie wśród oszałamiającej woni jaśminów i morskiego powietrza, nasyconego wilgocią znad Atlantyku i Zatoki Meksykańskiej.

Stwierdził, że trochę zanadto się spieszy. Ma przed sobą cały wieczór sam na sam z Morgan. Tymczasem musi jednak mocno trzymać pożądanie na wodzy, bez względu na to, jak gładkie, ponętne ramiona Morgan działają na jego wyobraźnię.

Niestety, sprawy ułożyły się inaczej niż oczekiwał.

Najpierw Morgan nie mogła wyjść z baru, bo czekała na Bilardówę, który jeszcze się nie pokazał.

Tylko wielkim wysiłkiem woli Cole powstrzymał się od pytania, dlaczego umowa ze spóźniającym się motocyklistą jest ważniejsza niż odłożona przez to kolacja.

Potem Juan postanowił wy badać Cole'a, niczym wiktoriański ojciec, odpytujący w bibliotece pretendenta do ręki córki.

- Mieszkasz w Key West prawie od roku - zaczął producent cygar bez owijania w bawełnę. - Może zdziwi cię wiadomość, że wzbudzasz poważne zainteresowanie twoich sąsiadów.

Uderzyło Cole'a, że Juan interesuje się chyba czymś więcej niż romantyczną przygodą Morgan.

- Bilardowa mówił to samo - stwierdził, mając nadzieję, że nie wykazał zainteresowania miejscowymi plotkami. - Nie sędzę, żeby moje zajęcia mogły kogokolwiek interesować.

Wyczuwając dziwne, ukryte napięcie między Colem i Juanem, Morgan zaczęła szybko łagodzić sytuację.

- Juan mawia, że prywatność jest jedyną rzeczą nie do zniesienia dla miejscowych - powiedziała, łagodnie się śmiejąc. - Conchowie mają w nosie, co się dzieje w ich małym mieście, dopóki o wszystkim wiedzą.

- Jestem rozczarowany - powiedział gładko Cole. - Przez chwilę pochlebiało mi, że conchowie interesują się takim wyrzutkiem jak ja, a teraz mówicie, że to wynik ogólnej polityki. Mniejsza z tym. Czego się napijecie? - zapytał, wstając, żeby zamówić przy barze kolejkę. Spojrzał na puste butelki na stole. - Jeszcze raz Dos Equis, Juan? A dla ciebie cola, Morgan?

Dziewczyna uśmiechnęła się zaskoczona.

- Skąd wiesz?

- Zauważyłem, że pijesz na zmianę coś z alkoholem i bez - odparł Cole, nawet nie próbując ukryć, jak dokładnie obserwował ją przez minione tygodnie.

Czekając przy barze czuł, jak spojrzenie Juana wbija mu się w plecy. Chociaż doceniał jego opiekuńczość w stosunku do Morgan, to nie był zbyt zachwycony rolą przedmiotu tubylczych domysłów.

Wracając do stolika z piwem dla siebie i Juana oraz colą z kawałkiem limonki dla Morgan, Cole stwierdził, że Bilardówna wreszcie przyszedł.

Motocyklista podszedł do Morgan. Cole udał, że nie widzi, jak po krótkiej rozmowie dziewczyna obojętnie wręczyła Bilardównie kopertę i zaczęła coś do niego szeptać, gdy ten próbował dziękować.

„Litościwa z niej dusza” pomyślał Cole.

Ta konkluzja potwierdziła się w chwilę potem, a zakończenie historii ostatecznie rozwiało wspólne plany na wieczór. Do baru weszła młoda dziewczyna. Rozglądała się na prawo i lewo, póki nie dostrzegła Morgan. Podeszła do stolika, przygryzając dolną wargę i raz po raz owijając wokół palca pukiel długich włosów o mysim odcieniu.

- Kapitan Morgan? - zapytała prawie szeptem. Morgan spojrzała na nowo przybyłą, przeczuwając

kłopot. „Nie dzisiaj” pomyślała błagalnie. „Tylko nie dzisiejszego wieczoru”.

- Nazywam się Mary Ann? - wznosząca intonacja zamieniła stwierdzenie w pytanie. - Wpadłam w kłopoty i ktoś mi powiedział, że pani może mi pomóc.

Morgan była bliska załamania. W tej właśnie chwili pragnęła, żeby ludziom odechciało się pomysłów z kierowaniem potrzebujących dusz dokądkolwiek. Ale widząc, że oczy Mary Ann napełniają się łzami, uśmiechnęła się.

- No, dobra. Z każdym kłopotem można coś zrobić. Usiądź, porozmawiamy.

Morgan oczekiwała właściwie, że Cole wstanie i wyjdzie z baru. Nie miałyby o to pretensji. Cole zaskoczył ją jednak, wprowadzając szybką poprawkę do ich planów. Przyniósł parówki na ostro i hamburgery, a potem okazał dużo sympatii, ale i stanowczości, dając Mary Ann dobre rady. Dziewczyna miała dziewiętnaście lat, chociaż doświadczeniem ustępowała niektórym pięciolatkom. Surowi rodzice zabronili jej widywać się z chłopakiem, więc z nim uciekła. Kiedy się trochę posprzeczała, młody człowiek zostawił ją bez pieniędzy, przyjaciół i dachu nad głową.

Morgan zdziwiła się, jak szybko Cole namówił bezdomną dziewczynę, żeby zadzwoniła do rodziców i uspokoiła ich, że nic się jej nie stało. Kiedy zaś okazało się, że najlepszym wyjściem dla Mary

Ann jest zostać u Morgan na noc, a potem wyjechać rannym autobusem, Cole, wciąż pogodny, odprowadził je do domu.

Zanim jeszcze Mary Ann weszła do środka, zostawiając swoich dobroczyńców na ganku, żeby mogli powiedzieć sobie „dobranoc”, Morgan wiedziała już, że Cole jest wyjątkowym mężczyzną, którego trudno nie kochać.

Cole wyraźnie pogodził się z fiaskiem ich planów, ale jednocześnie chciał się wycofać, tak przynajmniej odczuła to Morgan.

- Przepraszam, że wszystko się pokręciło - powiedziała.

- Wszystko się pokręciło tak, jak powinno było się pokręcić - odparł Cole, unosząc dłoń Morgan do ust i muskając wargami palce. - Wiesz, miałem szczerzy zamiar uwieść cię tej nocy i myślę, że może udałoby mi się nawet. Ale zobaczyłem, jak wiele jest w tobie poświęcenia, ufności, jakim jesteś wspaniałym człowiekiem, i pomyślałem, że zasługujesz na coś lepszego niż przygoda ze skończonym maklerem, który nie jest w stanie zbyt wiele ci zaoferować. Nie mogę ci się oprzeć, Morgan. Pragnę cię. Nie mogę się obejść bez ciebie i nie mogę wyrzucić cię z myśli, kiedy nie jestem z tobą... - potrząsnął głową, zakłopotany kulawą przemową. - Zdaje się, że chcę cię teraz ostrzec przed wplątywaniem się w coś ze mną. To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Morgan miała kłopoty ze zrozumieniem, o co właściwie mu chodzi. Niektóre słowa przerażały ją, inne budziły obawy i wątpliwości. Czy Cole jej pragnie? Nie potrafiłaby powiedzieć na pewno. Była zbyt prostolinijna, żeby podjąć takiemu zamętowi i wieloznaczności.

- Makler? - mruknęła bez związku, nie wiedząc jak dokończyć. - To ostatnie zajęcie, o jakie bym cię posądzała.

Ta uwaga uprzytomniła Cole'owi, jak mało Morgan o nim wie. Zresztą również on nie dowiedział się o niej wiele. Uśmiechnął się. Czemu stara się planować, kim mogą być dla siebie w przyszłości? Czemu nie miałby zostawić Morgan wyboru czy chce się w coś angażować, czy nie. A może pozostawić sprawy własnemu biegowi, lepiej ją poznać i spokojnie obserwować rozwój wydarzeń? Choć oczywiście filadelfijski nawyk ścigania się z czasem jeszcze się u niego niekiedy przejawia.

- Zacznijmy od zostania przyjaciółmi - zaproponował uprzejmie.

„Przyjaciółmi” powtórzyła Morgan w myślach. „Przyjaciółmi”. Czuła przecież coś więcej, o wiele więcej niż przyjaźń. Kiwnęła jednak głową twierdząco.

- Dobry pomysł - powiedziała, próbując się uśmiechnąć. Godność zaś kazała jej dodać: - Nie musisz się tak bardzo przejmować uwiedzeniem mnie. Nie doszłoby do tego, żebym nie wiem ile skrzypiec słyszała przy twoim pocałunku. Nigdy nikt mnie nie uwiódł i mam nadzieję, że nie uwiedzie - pochyliła się, lekko całując go w policzek, cofnęła ręce i weszła do domu.

- Cześć - powiedziała łagodnie i zamknęła drzwi.

Cole stał przez kilka chwil jak wryty, oszołomiony nagłym zniknięciem Morgan. Próbował dojść, o co jej chodziło. Nigdy nikt jej nie uwiódł? Na pewno zdarzyło jej się mieć kogoś.

Uznał w końcu, że nie ma co stać na ganku i domyślać się znaczenia jej słów. Wracając powoli do domu, który wydał mu się bardziej odrapany i pusty niż kiedykolwiek, Cole powiedział sobie, że zrobił dobrze, nie zmuszając Morgan do szybkich decyzji.

Problem polegał na tym, iż nie czuł, że zrobił dobrze. Czuł się po prostu samotny.

Rozdział 5

Przez następnych kilka wieczorów Cole nie spotykał Morgan, chociaż spędzał sporo czasu w centrum miasta.

Wiedział, że mógłby szukać jej bardziej intensywnie. Mógł do niej zadzwonić. Mógł znaleźć ją na przystani koło „Anny Indyjskiej”. Mógł wreszcie iść i zapukać do drzwi.

Czuł jednak, że powinien wybrać bardziej naturalną okazję, poznawać Morgan w jej własnym otoczeniu, wśród przyjaciół.

Kłopot w tym, że dziewczyna nie współdziałała. Całkiem znikła z pola widzenia.

Tymczasem Morgan trzymała się na uboczu i nie tracąc czasu, pracowała. Skoncentrowała się na planach związanych z trzecim okrętem. Pisała do sióstr o problemach prawnych, ciągnących się z obcym rządem, toteż wkrótce niemal zalały ją cenne rady Lizy, siedzącej we Francji, i Heather ze Szkocji.

Z pomocą Stefanii, Morgan zaczęła nawiązywać kontakty z politykami i pracownikami administracji Wysp Bahama, żeby zbadać, które formalności mogą stwarzać problemy.

Praca i rodzina są wszystkim, czego potrzeba jej do szczęścia, mówiła sobie Morgan, ile razy obraz Cole'a Jamesona próbował się zagnieździć w jej głowie. Cokolwiek zaszło, Sinclairowie mogą na siebie liczyć. Cóż więcej ma naprawdę znaczenie?

Któregoś pochmurnego, dusznego wieczoru, po kilku dniach próżnych nadziei na spotkanie Morgan, Cole czuł się wykończony i niewiele brakowało mu do całkowitego zwątpienia. Wyglądało na to, że projekt realizowany na wyspie zmusi go do kolejnej wizyty w Miami. Miał zamiar wyruszyć tam następnego ranka i to aż na tydzień, a może dłużej.

Nie mógł wytrzymać myśli, że pojedzie, nie zobaczywszy przedtem Morgan. Łażąc po mrocznych, splukanych deszczem ulicach Starego Miasta, starał się zgadnąć, czy zrobiłby dziewczynie przyjemność, gdyby do niej przyszedł. Nagle stwierdził, że rozmyślając, dotarł do Doku Mallory'ego. Wywołało to wspomnienia chwil spędzonych tu z Morgan, ożywiło przepiękny obraz dziewczyny z włosami rozświetlonymi słońcem i przewrotnym błyskiem w oczach.

Kiedy doszedł do doku, raptownie stanął. W księżycowej poświacie dostrzegł złote loki.

- Morgan - szepnął, upajając się wdziękiem wysmukłych kształtów jej ciała w cienkiej żółtej sukience, kontrastującej z ciemnym jak węgiel drzewny niebem.

Niczym lunatyk powoli zbliżył się do niej.

Morgan stała w bezludnym doku, spoglądając w dal na wodę, pogrążona w kłopotliwych myślach i zupełnie niezdolna, by otrząsnąć się z tęsknoty do Cole'a Jamesona.

Nagle dźwięk kroków ostrzegł ją, że ktoś nadchodzi z tyłu.

Krew rozniosła po ciele Morgan potężną dawkę adrenaliny. Dziewczyna błyskawicznie się odwróciła, gotowa do obrony przed skradającym się człowiekiem.

Cole wymówił jeszcze raz jej imię, tym razem na tyle głośno, że Morgan usłyszała.

Milczała przez chwilę, wciąż jeszcze przygotowana do obrony. Wyrównywała oddech, chcąc rozluźnić naprężone mięśnie i wyhamować rozbudzony instynkt walki.

Choć widok Cole'a znowu przyspieszył jej puls, doszedłszy do siebie, uśmiechnęła się, bo przecież właśnie ten widok znacznie poprawił jej ponury nastrój. Cole był świeżo ogolony, tak jak poprzednio włosy miał zmierzwione przez wiatr. Ciało wyglądało jędrnie i pociągająco w dzinsach i trykotowej koszuli, która tak podkreślała męskie kształty, że aż zapierało dech.

- Hej! - powiedziała z nagłą chrypką, niezaprzeczalnie owładnięta pożądaniem. - Cieszę się, że cię widzę...

- Co tu robisz? - przerwał, oszołomiony radością z niespodziewanego spotkania, ale i silnie zaniepokojony jej lekkomyślnością. - Co za licho cię opanowało, że sama łazisz po nocy w takim opuszczonym miejscu?

- Przychodzę tu sama w nocy dosyć często - powiedziała Morgan, zdziwiona ostrym tonem Cole'a. - Lubię samotność i dźwięk muzyki z pobliskich barów, i lubię, jak woda uderza o...

- Do diabła z tym, Morgan! - wybuchnął Cole, chwytając ją za ramiona i mając chęć sprawić jej lanie. - Nie mogę uwierzyć, że się tak narażasz! Czy nie zdajesz sobie sprawy, jakie kłopoty możesz ściągnąć na siebie, robiąc takie rzeczy? Czyżbyś była tak bardzo na bakier z rzeczywistością, sądząc, że kobieta może włóczyć się dokądkolwiek bez najmniejszego zabezpieczenia przed napadem?

- Dlaczego to robisz? - spytała Morgan, oszołomiona wybuchem Cole'a. Nie wiedziała, śmiać się, powiedzieć mu, żeby pilnował swoich spraw, czy nagle objąć tego niesamowitego mężczyznę, który tak się o nią martwi. Położyła dłonie na jego piersi, wczuwając się w nierówny, szarpany rytm serca. Zaskoczona i poruszona tym dowodem emocji, cofnęła ręce.

Cole zmarszczył brwi, zbity z tropu pytaniem.

- Dlaczego co robię?

- Najpierw zachowujesz się, jakby między nami coś było, potem wycofujesz się, jakbyś dowiedział się, że jestem dusicielem z Bostonu, a teraz wściekasz się na mnie, bo wydaje ci się, że narażam się na niebezpieczeństwo. Dlaczego miałbyś się tym przejmować?

Cole nie miał pomysłu na odpowiedź, więc znalazł wymówkę, zasłaniając się zdrowym rozsądkiem.

- Martwię się każdym, kto sprawia wrażenie, jakby nie wiedział dostatecznie dużo o podstawowych środkach ostrożności. Czy rodzice nie nauczyli cię dbać o własne bezpieczeństwo?

Morgan uśmiechnęła się do niego, zastanawiając się, czy powinna mu powiedzieć, jak blisko salta do wody był kilka chwil wcześniej.

- Jeśli o to chodzi, moi rodzice nauczyli mnie tego całkiem nieźle - powiedziała. - Dlatego mogę bez strachu łązić po zmroku do różnych opuszczonych doków. Ale jesteś cudowny, że się tym przejmujesz, Cole.

- Jestem... cudowny? - z trudem przełknął ślinę, jego palce zacisnęły się na ramionach Morgan. - Jestem cudowny? Wiesz, Morgan, twoja pełna ufności niewinność jest przerażająca! Nic dziwnego, że doprowadzasz mnie do szaleństwa. Nie wiem, jak zrozumieć taką kobietę, jak ty - i zanim uświadomił sobie, co robi, otoczył ją ramieniem i zaczął namiętnie całować. Podtrzymując ręką głowę, przesuwał między palcami splątany jedwab włosów, a znalazłszy ustami wargi dziewczyny rozchylił je, by wnikać językiem w słodkie ciepło i badać je, posiadać, rozniecać ogień, który groził obojgu zwęglaniem.

Zakończył ten pocałunek równie nagle, jak go zaczął, unosząc głowę i spoglądając na Morgan wstrząśniętymi oczami.

- Dokąd się wybierałaś? - spytał prawie brutalnie, jakby pytanie wymagało natychmiastowej odpowiedzi.

Zajęło dobrą chwilę, nim odurzony pożądaniem mózg Morgan przefiltrował słowa Cole'a. Nie zastanawiała się dokąd szła. Ważne było dla niej, gdzie znajduje się w tej chwili. Zatraciła się cała w upojeniu zapachem Cole'a, jego gorącym, miętowym smakiem. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś takiego, jak ten paraliżujący umysł pocałunek. Nie wiedziała, że takie doznania są w ogóle możliwe. Ciepło rozlało się po całym jej ciele, sprawiło, że głowa stała się ciężka. Morgan pragnęła, by Cole trzymał ją, dotykał i całował wiecznie.

- Dokąd szłam? - spytała w końcu cicho i bez tchu. - Zda... zdaje się, że swoją drogą. Do domu.

Cole czuł cienkość nici, na której zawisło jego panowanie nad sobą.

- Odprowadzę cię - powiedział, puszczając ją gwałtownie i kładąc rękę na jej plecach, żeby wyprowadzić ją z milczącej samotności, gdzie łagodny dźwięk oceanu omywającego dok zmawiał się z ciepłą bryzą i delikatnym, zwodniczym aromatem Morgan, chcąc skłonić Cole'a do zmiany zamiaru.

W drodze do siebie Morgan próbowała nawiązać rozmowę, ale Cole był jakby nieobecny. Odpowiadał półsłówkami, a w pewnej chwili zdjął rękę z jej pleców jak ktoś, kto odkrył nagle, że trzyma dłoń na piecu.

Kiedy doszli do domu, Morgan wciąż jeszcze trwała w oszołomieniu spowodowanym gorącym pocałunkiem Cole'a. Otworzyła drzwi i odwróciła się ku niemu z pytającym spojrzeniem, zastanawiając się, jakie ma zamiary. Cole był nieobliczalny i niebezpiecznie podniecający, jak tajfun.

- Udało ci się w zeszłym tygodniu odesłać Mary Ann do domu? - spytał.

Morgan nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Tak - odparła w końcu, uważając na to, co mówi. - Wsiadła następnego dnia to autobusu i była z tego zadowolona. Myślę, że dostała cenną lekcję. Pomyśli teraz dwa razy, czy wyfruwać z bezpiecznego gniazdka, jeśli znowu pokłóci się z rodzicami.

- Dzięki tobie dzieciak nauczył się tej lekcji tanim kosztem - zauważył Cole, nie myśląc w zasadzie o Mary Ann, ale za bardzo rozproszony, by wpaść na inny pomysł. Nie mógł przejść do porządku nad swoim zachowaniem sprzed paru chwil.

- Również dzięki tobie - przypomniała Morgan. - Byłeś dla niej taki życzliwy. Prawdę mówiąc, miałam wrażenie, że jesteś bardzo uprzejmym i opiekuńczym człowiekiem - przerwała i z trudem dorzuciła: - Ale widzisz, Cole, nie potrzebuję twojej opieki. Nie tego chcę od ciebie.

Cole nie odpowiedział natychmiast, próbując zebrać myśli. Nie podejrzewał, że drzemią w nim tak intensywne i pierwotne uczucia, jak te, których doznał, widząc Morgan w doku. Jego reakcja opierała się w dużej części na instynkcie opiekuńczym, który objawił w stosunku do dziewczyny. A teraz Morgan mówi, że nie potrzebuje jego opieki.

- Więc czego ode mnie chcesz? - spytał namiętnie. Graniczyło to z wyzwaniem.

- Dlaczego muszę czegoś od ciebie chcieć? - zapytała Morgan miękko. - Dlaczego nie mogę po prostu chcieć... ciebie? Być z tobą, poznawać cię, dotykać cię... - zaskoczyła ją jej własna śmiałość, ale nie mogła już nic zmienić. Śmiejąc się, dodała: - I, być może, dowiedzieć się, dlaczego mówimy nie to, co myślimy.

Cole znów nie od razu znalazł słowa. Był w kropce, nie wiedział, co odpowiedzieć na tak jasne, ale i niezwykle stwierdzenie. Nagle uświadomił sobie głębię swojego cynizmu, dotarło bowiem do niego, jak trudno jest mu uwierzyć, że kobieta może pragnąć go po prostu dla niego samego. Nie był pewien, czy taką koncepcję można zaakceptować. Ale przynajmniej Morgan powiedziała to głośno, a on dobrze zapamiętał te słowa. Wziął głęboki oddech, przypomniawszy sobie o dręczącej, doczesnej, lecz nieuniknionej rzeczywistości.

- Muszę... Muszę jutro wyjechać.

- Na długo? - spytała Morgan, natychmiast całkiem irracjonalnie zmartwiona, że straci Cole'a na zawsze.

Potrząsnął głową.

- Mniej więcej na tydzień. W interesach... - przerwał, uprzytomniwszy sobie, że nie może wyjaśnić Morgan, po co jedzie do Miami. „Cholerny projekt, tajemniczy jak z filmu serii «płaszczka i szpady»" pomyślał rozżłoszczony. Przychodziły czasami chwile, kiedy żałował, że w ogóle się za to wziął.

Morgan zrozumiała, że Cole zamilkł, nie chcąc jej o czymś powiedzieć. „Zachowywanie dla siebie tego, co robi, jest jego przywilejem” pomyślała. Jednocześnie poczuła przykre ukłucie

niepokoju. Zaczynała się zastanawiać nad Colem. W Key West działo się wiele dziwnych, brudnych spraw. Modliła się, żeby Cole nie miał z nimi nic wspólnego.

- Myślę, że po twoim powrocie spotkamy się gdzieś w mieście - powiedziała, starając się utrzymać lekki ton. Nie chciała, żeby Cole zauważył, jak głęboko ją poruszył.

Cole zmarszczył brwi, a potem potrząsnął głową, właściwie odczytując wrażenie, jakie na niej wywarł.

- O, zobaczymy się, na pewno - powiedział zamieniając marsową minę na jasny uśmiech. Była w tym satysfakcja studenta, który właśnie pojął zawilości skomplikowanego wzoru matematycznego. - Myślę, że źle mnie zrozumiałaś ostatnio, kiedy byliśmy razem, a teraz znowu jest coś nie tak. Wcale nie wycofuję się ze wszystkiego, co dzieje się między nami. Część mojego „ja” nadal mówi, że powinienem, ale nie chcę tego i nie zrobię - przerwał, odsuwając kosmyk włosów, który spadł mu na czoło. - Wygląda na to, że nie wiem, o co mi chodzi, mieszam i sam jestem zmieszany. Wybacz mi. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że nie igram z twoimi uczuciami, Morgan. Nie mógłbym.

Morgan uwierzyła mu. Wyłącznie pewność siebie, gdy mówił, sprawiła, że dziewczyna uwierzyła bez zastrzeżeń.

Zobaczył w jej oczach akceptację i cicho się roześmiał.

- Do diabła z tym, chciałem, żebyś mi ufała, ale ty mnie martwisz. Nie powinnaś być aż taka ufna, Morgan. Sprawiasz wrażenie osoby całkowicie pozbawionej instynktu samozachowawczego. Po tym, jak cię potraktowałem, twierdząc, że mam czyste zamiary, a ty to po prostu przyjmujesz. Dlaczego nie bierzesz pod uwagę, że mogę dalej grać, biorąc cię na fałszywą szczerłość? To się zdarza, wiesz o tym.

- Ale przecież ty powiedziałeś, że tego nie robisz - stwierdziła racjonalnie. - Więc podejrzewając cię, nie miałabym racji. Dlaczego brak zaufania do kogoś ma być samozachowawczy?

- Bo ludzie mogą cię wykorzystać, ot i wszystko - powiedział Cole z kpiącą cierpliwością, jakby chciał jej nalać trochę rozumu do głowy. Bo możesz sobie bardzo zaszkodzić, wierząc komuś, kto na to nie zasługuje.

Morgan skinęła głową, starannie rozważając ten argument. Potem uśmiechnęła się.

- Oczywiście, masz rację. Ale wydaje mi się, że można sobie równie zaszkodzić, a chyba nawet bardziej, nie wierząc komuś, kto właśnie na to zasługuje - i dodała: - A potrzebowałabym bardzo wielu dowodów, żeby sobie wytłumaczyć, że Cole Jameson nie zasługuje na zaufanie, jakie chcę w nim pokładać - dopóki Morgan nie wypowiedziała tego głośno, nie zdawała sobie sprawy, że jej uczucia do Cole'a są tak silne. Wiara wkradła się do jej serca. Wprawdzie nie tylko wiarę, ale i inne uczucia Morgan stłumiła, nie czując się gotowa, by im sprostać, zresztą podobnie jak Cole.

Poruszony i oszołomiony, Cole nie potrafił znaleźć repliki na logikę Morgan. Świtało mu coraz wyraźniej, co naprawdę przedstawia sobą Morgan Sinclair. Ta kobieta nie jest niewinną, naiwną owieczką zagubioną w świecie wilków. Zdaje sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje, ufając ludziom, wybierając wiarę w to, co w nich najlepsze a nie najgorsze.

Nagle poczuł wielki szacunek dla jej odwagi w uczuciach. Patrzył na nią, zastanawiając się, czy choć w połowie zdobyłby się na taką dzielność.

Morgan miała okazję stwierdzić że Cole ma kłopoty ze zrozumieniem jej filozofii. Nie był pierwszym człowiekiem, który twierdził że jest głupiutką dziewczyną, która widzi świat przez różową mgiełkę iluzji. Był za to pierwszym, przed którym starała się obronić swój punkt widzenia. Nie mogła przestać się dziwić, dlaczego.

- Szczęśliwej podróży, Cole - szepnęła.

Cole uśmiechnął się, potrząsnął głową, a potem bezceremonialnie chwycił Morgan w ramiona i całował, chcąc spełnić wszystkie pragnienia, które nagromadziły się w nim przez ostatnie tygodnie. Przesuwając ręką po plecach dziewczyny, przycisnął ją mocno do siebie, niczym do formy kształtującej miękkie kobiece ciało. Ich biodra zetknęły się i Morgan wyprężyła się w łuk. Cole, mimo wszystko, wciąż panował nad sobą bardziej niż dziewczyna mogłaby przypuszczać. Jeszcze odkładał chwilę, gdy nasyci się słodkim smakiem jej warg, chwilę mającą nastąpić wkrótce, już.

Kiedy Cole puścił Morgan, dziewczyna spojrzała na niego wstrząśnięta do głębi.

- Słowa starej piosenki są nieprawdziwe - powiedziała z drżącym uśmiechem. - Pocałunek jest nie tylko pocałunkiem. Z tobą upodabnia się do fali przypiływu.

Cole poczuł zupełnie nieznaną, głęboką i satysfakcjonującą radość.

- Tak trzymać, kapitanie. Za tydzień wrócę do miasta i przyjdę do ciebie. Znajdę cię w domu, na okręcie albo w barze wśród tych wszystkich ludzi, których stale masz wokół siebie. Zaczniemy wszystko od nowa, zgoda?

Morgan przytaknęła, zniewolona stanowczością człowieka, który wyłonił się na chwilę spod łagodnego zewnątrz Cole'a.

- Będę na to bardzo czekać - powiedziała z uśmiechem, odwróciła się i znikła w domowym sanktuarium. Starła się nie marzyć zbyt wiele o tajemniczym mężczyźnie, którego mocne ramiona, gorące pocałunki i ciemne, sugestywne oczy obudziły w niej śpiące dotąd potrzeby.

Cole wrócił do Key West po czterech dniach intensywnych, ale dość udanych negocjacji z przedstawicielami plemienia Seminolów i z Komisją do Spraw Zabytków, o której nie słyszał nigdy wcześniej, nim nie zaczęła okazywać zaskakującego zainteresowania niewielkimi wykopaliskami, które finansował Cole.

Czuł odrazę do komplikacji, które mnożyły się z każdym tygodniem. Zamierzał zrobić trochę więcej niż tylko ograniczyć się do poszukiwania wytworów ręki ludzkiej, które mogłyby wyjaśnić, czy fascynujący opis, pozostawiony przez jednego z jego przodków, miał podstawy, czy był jedynie produktem bujnej wyobraźni. Teraz, nagle projekt zaczynał się wyslizgiwać z ręki.

Lokalny odrzutowiec komunikacyjny dotknął krótkiego pasa startowego i, ku zadowoleniu Cole'a, z wyciem silników stanął w przeznaczony do tego strefie. Siedząc i czekając, aż w przejściach zrobi się luźno, Cole rozmyślał przez moment, czy Dan Cypress będzie mógł mu przekazać jakieś optymistyczne nowiny. Zapowiedzi wyglądały raczej ponuro. Cole zastanawiał się czasem, czy na podstawie opisu zrobionego przez przodka nie wyznaczył przypadkiem złej wyspy. Sprawdzał wtedy obliczenia i za każdym razem wynik się zgadzał.

Wyrzuciwszy z myśli ten problem, Cole uśmiechnął się i stwierdził, że teraz przez małą chwilę może skoncentrować się na Morgan.

Poszedł do domu ogolić się, wziąć prysznic, a także założyć nowe spodnie i świeżą bawełnianą koszulę. Zaraz potem ruszył do centrum.

Na zachód słońca było już za późno, ale Cole miał wielką ochotę odetchnąć leniwą atmosferą, której bardzo mu brakowało. Przede wszystkim zaś chciał znaleźć swoją damę.

Zajrzał w kilka miejsc na Duval Street, potem przecucie zagnało go do „Kapitana Tony'ego”. Szedł tam przyciągany przez złoty magnes z pięknymi oczami, rześkim śmiechem i najśłodszymi wargami na świecie.

Wszedł do środka, robiąc krok ponad drzemiącym w poprzek człowiekiem. Cole zwykle odwiedzał ten lokal, mieniący się najstarszym w mieście, o wcześniejszej porze, toteż natychmiast zauważył odmienny nastrój. Chmury dymu były gęściejsze, tłum bardziej hałaśliwy, a salę przebiegał akurat szmer oczekiwania na muzyków, którzy zaczęli przygotowywać instrumenty i wzmacniacze do nocnego grania.

Chociaż Cole wypatrzył Morgan natychmiast, dziewczyna go nie zauważyła. Siedziała przy stoliku na przedłużeniu barowego kontuaru, twarzą do ściany. Jak zwykle znajdowała się w oku cyklonu, ożywiając szarą od dymu salę błyskiem złota i szkarłatu.

Cole usiadł przy barze i zamówił piwo, rozkoszując się chwilą, w której znowu ujrzał Morgan. Zastanawiał się, jak wykraść ją z tłumu.

Kiedy zobaczył, co się święci, uśmiechnął się. Bilardówa, siedzący naprzeciwko Morgan, wprowadzał ją w tajniki walki na rękę. Dziewczyna z uwagą słuchała lekcji, jakby siłowanie się z motocyklistą było najnormalniejszym w świecie zajęciem dla istoty pełnej kobiecości.

Juan patrzył na nią, szczerząc zęby, jak zwariowany ojciec. Rzucił spojrzenie na Cole'a i mrugnął.

Wyczuwając akceptację nieoficjalnego protektora Morgan, Cole poczuł się podniesiony na duchu, chociaż nie wiedział właściwie, dlaczego opinia Juana miałyby mieć dla niego znaczenie.

Cole przyglądał się lekcji zaledwie przez chwilę, bo Bilardówa uznał, że umiejętności ucznia są wystarczające i można je zademonstrować publicznie.

- Słuchajcie, chłopcy - huknął, przykuwając natychmiast uwagę wszystkich. - Kapitan ma solidną krzepę. To nie żadna lipa.

- Masz na myśli, że może cię pokonać? - rozległ się wysoki, męski głos kilka stolików dalej.

Bilardówa parsknął kpiąco.

- Hej, człowieku, błazen jesteś czy co? - powiedział to, jakby zaskoczyło go, że ktokolwiek może wysunąć taką śmieszną sugestię. - Nikt nie może mnie pokonać! Dobrze o tym wiesz.. Ale dałem kapitanowi kilka cennych wskazówek, więc z tobą poradzi sobie łatwo, karzełku.

Z tyłu za Bilardową Morgan zaczęła wymachiwać w powietrzu rękami, kręcić głową i markować ustami okrzyk „Nie!”. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu w tej zabawnej sytuacji, ale chętnie udusiłaby Bilardowę. Nie przypuszczała, że urządzi sobie jej kosztem widowisko.

Mały człowiek wstał i podszedł do Bilardowy.

- Jak mnie przed chwilą nazwałeś? - zapiszczał wyzywająco.

Bilardowa uniósł się, podciągnął szeroki, nabijany gwoździami, skórzany pas, skrzyżował na piersi umięśnione ramiona, zmrużył oczy i kierując wzrok ponad swoim złamanym nosem spojrzął na człowieka z góry.

- Nazwałem cię karzełkiem. Bo co?

Cole zmartwił się. Nigdy nie widział, żeby Bilardowa zachowywał się agresywnie, ale w Key West nie trzeba było wiele, żeby wywołać awanturę.

Człowieczek obejrzał Bilardowę od stóp do głów.

- Chciałem się tylko upewnić, czy dobrze słyszałem. To wszystko - powiedział w końcu z koślawym uśmiechem i dodał: - Powiem ci coś, Bilardowa. Spróbuję się na rękę z twoją dziewczyną. Zobaczymy, czy jesteś dobrym nauczycielem. Ostrzegam, że mam więcej pary niż ci się zdaje.

Cole nagle przestał się uśmiechać. Nie podobało mu się, że ktoś nazywa Morgan dziewczyną Bilardowy.

- Co o tym sądzisz, kapitanie? - spytał Bilardowa. - Czy życzysz sobie pokazać temu karzełkowi, gdzie jest jego miejsce?

Cole czuł coraz większe napięcie. Dopiero po kilku chwilach zdał sobie sprawę, że znowu chwyciła go dzika żądza posiadania, którą tylko Morgan potrafiła w nim rozbudzić. Nie chciał, żeby karzełek, Bilardowa albo ktokolwiek inny dotykał jej, nawet w żartach. Uczucia miały nim z wielką siłą.

W tej sytuacji nie miał jednak nic do gadania. Stwierdził to, pograżając się w zalewie wściekłości. Nie nabył sobie prawa do okazywania żądzy posiadania wobec Morgan.

- No więc? - powiedział potencjalny przeciwnik Morgan, uśmiechając się do niej szeroko w oczekiwaniu odpowiedzi na wyzwanie.

Morgan nie miała najmniejszej ochoty na tę głupią zabawę, ale wyczuwała, że jako kumpel musi robić dobrą minę.

- W porządku, Karzełek - odparła mrugając. - Dawaj rękę.

Cole był oczarowany nowym wydźwiękiem tego przezwiska, który nadały mu usta Morgan. Karzełek rozpromienił się, jakby dziewczyna nazwała go mistrzem. Była czarodziejką. Była wręcz cudowna.

Karzełek zajął pozycję na krześle naprzeciwko Morgan. Bilardowa wyrecytował zasady i pojedynek rozpoczął się.

Morgan włożyła w niego wszystkie siły. Cole nie był zdziwiony. „Morgan wkłada serce i duszę we wszystko, co robi”. Ta myśl wzmogła jego namiętność: wyobrażenie, jak się z nią można kochać raz po raz przebiegało mu przez myśli.

W miarę jak ciało i wyobrażenia Cole'a zaczęły reagować na zmysłowość siły Morgan, na grę mięśni pod złocistą skórą, zazdrość zeszła na dalszy plan. Podniecała go nawet zaciętość widoczna na jej twarzy.

Morgan zaskoczyła wszystkich, ze sobą włącznie. Wiedziała, że jest silna, ale nie przypuszczała, że ma szanse w pojedynku z mężczyzną, nawet drobnym. Kiedy zobaczyła przechylającą się rękę Karzełka, otworzyła szeroko oczy z niedowierzania. Mężczyzna skorzystał z chwili jej dekoncentracji i doprowadził do równowagi, ale Morgan znalazła w sobie ukryte rezerwy, zacisnęła zęby i zaraz potem ręka Karzełka znów poleciała ku dołowi, by w końcu opaść na blat.

Rozległ się spontaniczny szmer podziwu, a Bilardowa gestem mistrza uniósł ręce do góry, robiąc rundę honorową. Karzełek był wyraźnie skonsternowany, a Morgan mrugała zaskoczona.

- Dałeś mi wygrać! - przyszło jej nagle do głowy.

Cole przecesał włosy palcami, nieświadomie dając wyraz zniecierpliwieniu. Morgan zareagowała tak, jak tylko ona potrafiła. Zupełnie jakby nie miała ani trochę siły we wspaniałym ciele.

Karzełek wstał, spojrzał na Morgan i uśmiechnął się.

- Nie, kapitanie. Nie dałem. Przegrałem w czystej walce - wyszczerzył zęby. - I jest to najzabawniejsza porażka, jakiej doznałem

w życiu - wrócił do swojego stolika przy spontanicznym aplauzie, promieniejąc dumą mimo iż przegrał z kobietą.

Stłumione poczucie wyłączności wróciło do Cole'a z pełną siłą. Mógł sobie wyobrazić, jaką przyjemność sprawiło Karzełkowi splecenie palców z palcami Morgan, dotykanie jej, wdychanie z bliska jej lekkiego, kwiatowego zapachu.

Bilardowa rozejrzała się po sali.

- Ktoś jeszcze?

Morgan jęknęła. Uznała, że jej wystarczy. Był czas, żeby z tym skończyć.

- Ja już dziękuję! Dajcie mi wyjść zwycięsko.

Nastąpiła decydująca chwila. Cole odszedł od kontuaru i wolno wyminął motocyklistę. Stał na wprost Morgan.

- Może pani spróbuje ze mną? - powiedział, rozmyślnie przydając słowom dodatkowego znaczenia i zatracając się w spojrzeniu na wielobarwne ogniki w oczach Morgan.

Morgan wstrzymała oddech. Poczowała, że serce łomocze jej jak szalone, cała zaczęła drżeć.

- Cole - szepnęła.

Poza tym jednym jedynym słowem nie była w stanie powiedzieć nic. Zahipnotyzowały ją zdecydowany, zmysłowy wyraz jego ciemnych oczu, intrygujący półuśmiech, emanująca od niego energia. Cole chciał powiedzieć, że po nią przyszedł. I zrobił to.

Rozdział 6

Bilardowa zaczął podawać zasady, ale Cole mu przerwał.

- Poczekaj chwilę - powiedział do niego ze wzrokiem utkwionym w oczach Morgan, podwijając rękaw. - Zrobmy tak, żeby było ciekawiej. Co dostanę, jeśli wygram?

Bilardowa podrapał się po łysej głowie.

- Co o tym sądzisz, kapitanie?

Morgan zaczynała odzyskiwać swobodę. Dobrze pamiętała stalową siłę Cole'a i wiedziała, że w tej walce musi ulec.

- Wyznacz stawkę - powiedziała z lekkim uśmiechem.

- To proste - spokojnie stwierdził Cole. - Wyjdiesz stąd ze mną, i tylko ze mną, natychmiast po pojedynku.

Morgan skinęła głową.

- W porządku.

Cole zajął miejsce na krześle naprzeciwko Morgan i położył łokieć na stole. Wyciągnął przedramię i dłoń, gotowe do zmagania.

- Hej, poczekajcie - przerwał Bilardowa. - A co dostanie kapitan Morgan, jeśli to ona zwycięży?

Dziewczyna nie wiedziała, co ma powiedzieć. Pewna, że przegra pojedynek, ale wygra za to coś o wiele ciekawszego, uśmiechnęła się. Przewrotna myśl przysła jej do głowy.

- No cóż, jesteśmy w Margaritaville, więc bawmy się zgodnie z zasadami Margaritaville.

- Zasady Margaritaville? - powtórzył Bilardowa, drapiąc się po łysej głowie. - Nigdy o nich nie słyszałem.

Dla Morgan nie było to niespodzianką. Również ona nigdy o nich nie słyszała. Powiedziała jednak z przekonaniem:

- Zgodnie z zasadami Margaritaville mam prawo określić moją nagrodę po zwycięstwie.

Cole skinął twierdząco, przenikając ją onyksowymi oczami.

- Zgoda, kapitanie.

- No cóż - powiedział Bilardowa wzruszając ramionami. - Domyślam się, że ja też nie mam nic przeciwko temu.

Morgan położyła łokieć na stole i chwyciła dłoń Cole'a. Znajome ciepło zalało ją, gdy splotła z Colem palce i poczuła jego siłę. Wiedziała, że nawet w najlepszej formie nie byłaby dla niego godnym przeciwnikiem. W środku czuła miękkość, a ręce jej topniały. Z

Colem nie miała szans ani w walce na rękę, ani w czymkolwiek innym.

Stanowczość w zachowaniu Cole'a zrobiła na niej piorunujące wrażenie. Łagodne kształty ciała Morgan odbierały wezwanie twardej, nieustępliwej mięśni i dziewczyna poczuła oszłamiające uderzenie krwi do głowy. Nie mogła skoncentrować się na czymś tak trywialnym, jak próba sił, skoro znajdowała się tuż obok Cole'a, upojona piżmowym, męskim zapachem.

Spojrzała w dół na ich splecione ramiona: jej, szczupłe i blade, i jego, muskularne o barwie miedzi. Pomyślała, że Cole jest piękny.

Cole uśmiechnął się.

- Staraj się - powiedział łagodnie. - Karzełek na ciebie patrzy!

- Niewykluczone, że Karzełek mnie zmęczył - podsunęła, starając się udać, że duch walki jeszcze jej całkiem nie opuścił. Duma zmusiła Morgan do mobilizacji wszystkich sił. Pojedynek się zaczął.

Cole ucieszył się, czując jej opór. W chwilę później stwierdził, że zwycięstwo nie przyjdzie mu tak łatwo, jak oczekiwał. Morgan była istotnie silna. Cole sądził, że będzie musiał pozorować walkę, żeby wyglądała poważnie. Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, Morgan złapała go na chwili nieuwagi i zaatakowała tak ostro, że musiał się sporo napracować, chcąc znowu doprowadzić do równowagi.

Odkrycie, że Morgan jest godnym przeciwnikiem, podnieciło go jeszcze bardziej.

- Trenowałaś kiedyś podnoszenie ciężarów? - spytał cicho.

- Trochę. I trochę ćwiczyłam z akrobatami na okręcie - odpowiedziała Morgan nieprzytomnie, za bardzo przejęta dotykiem Cole'a, by zwracać uwagę na okoliczności. Mając świadomość, że przedłużanie walki zatrzymuje Cole'a tuż przy niej, dziewczyna zebrała wszystkie siły.

- Jesteś naprawdę damą - powiedział Cole. - Zdradź sekret. Jakiej chcesz nagrody, jeśli wygrasz?

Morgan uśmiechnęła się do niego.

- Zobaczysz.

Cole'a zachwyciły rozbawione, a zarazem wyzywające błyski w jej oczach.

- Zobaczę, ale czy na pewno? - powiedział, uznając, że przyszedł czas na pokonanie oporu. Zaczął przyciskać ramię Morgan do stołu, niżej, niżej...

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiły się ogromne łapska Bilardówy. Oplotły ręce walczących i przycisnęły do stołu, tak że ręka Cole'a znalazła się pod spodem.

Zdziwieni przeciwnicy spojrzeli na motocyklistę, ten zaś uśmiechnął się szeroko:

- Zasady Margaritaville. Mam prawo pomóc. Cole roześmiał się, a potem spojrzął na Morgan.

- A więc wygrałaś. Teraz wyjaw, jaką nagrodę chcesz dostać.

Śmiejąc się, Morgan powiedziała bardzo łagodnie:

- Zabieram cię stąd. Wychodzisz ze mną i tylko ze mną. Natychmiast.

Puls Cole'a oszalał.

- Zgoda, kapitanie - powiedział ochryple, chwytając dłoń Morgan i pospiesznie ciągnąc ją, by wstała. Nawet nie próbował ukryć gorliwości.

Zdegustowany pomruk publiczności wypełnił salę. Cole nachylił głowę do ucha Morgan, chcąc szepnąć jej kilka słów. Ciepło jego oddechu wywołało u dziewczyny nową falę dreszczy.

- To smutne, że ci ludzie są jak dzieciaki na kowbojskim filmie. Wiedzą, że zbliża się cikliwy kawałek i dlatego im się nie podoba.

- Wiem o tym - powiedziała Morgan z wymuszonym uśmiechem.

- Znikajmy szybko, bo zasypią nas prażoną kukurydzą.

Prawie wybiegli z baru, trzymając się za ręce. Bilardówa szukał właśnie nowego przeciwnika, tym razem dla siebie, muzycy zagrali trzy rzeżące akordy wstępu, a niska dziewczyna, która tego wieczoru była barmanką, wrzasnęła do jednego ze stolików:

- Jeszcze kolejkę, chłopcy?

Cole nie zwolnił kroku, nawet wtedy, kiedy byli już na zewnątrz.

- Początki rozdierających śpiewów, wrzaski motocyklisty szukającego chętnych do pojedynku i ryk czterdziestokilowej barmanki są dobre, ale tam, w barze - powiedział, pozwalając wyslizgnąć się dłoni Morgan, a jednocześnie obejmując dziewczynę w talii. - Ale do tego, o czym myślę, trzeba bardziej romantycznej oprawy.

Cole czekał, aż nie będzie słychać krzyku, samochodowych klaksonów i kolumn głośnikowych w barach. Doszli do alei wysadzonej drzewami, tak spokojnej, że przy każdym kroku Morgan było słychać szelest jej spódnicy. Cole dostrzegł schronienie pod

gigantycznym drzewem figowym i pociągnął tam dziewczynę. Przycisnął ją do siebie, wciąż jeszcze obejmując w talii, i palcami wolnej ręki zaczął gładzić delikatnie kontury jej twarzy.

Morgan położyła dłonie na piersi Cole'a. Przez koszulę czuła szaleńcze bicie jego serca. Zamknęła oczy i poddała się rozkosznym wrazeniom ogarniającym jej ciało.

- Wiesz, jak długo czekałem, żeby porwać cię tak, jak dziś? - szepnął Cole, muskając wargami jej aksamitne usta.

- Chyba o pięć minut krócej niż ja - podsunęła. Ich wargi rozpoczęły wspólną grę, wymieniając

zarliwe, choć jeszcze delikatne pocałunki. Ciała Morgan i Cole'a zaledwie się stykały, podczas gdy oboje kosztowali smaku przyjemności, które mieli dzielić. Cole ciągle czuł podniecające napięcie, które towarzyszyło ich dziwnie przepojonej erotyzmem utarczce w barze. Jego wargi prześlizgnęły się po policzku Morgan, dotknęły skroni i powędrowały ku płatкови ucha.

- Nigdy nie myślałem, że pojedynk na rękę może być tak podniecający - powiedział cicho.

Ciepły oddech Cole'a pieścił jej skórę. Dziewczyna poczuła, że przebiegł ją lekki dreszcz przyjemności.

- A ja nie wiedziałam, jak cudowne rzeczy mogą dziać się pod drzewem figowym.

- Dlaczego stoimy tutaj, na ulicy? - spytał cicho Cole, mając wrażenie, że nie potrafi puścić Morgan nawet na chwilę potrzebną, by ruszyć dalej.

Morgan mrugnęła.

- Myślisz o tym, że jeszcze nie jesteśmy w miejscu odosobnienia, o którym wspominałeś?

Śmiejąc się, Cole myślał, jak mógł tak długo czekać, opierając się jej powabowi. W końcu otoczył Morgan ramieniem i poszli dalej.

- Ładny komplet - rzucił po chwili, nieco zaskoczony tym, jak bardzo zwraca jego uwagę wzrost Morgan.

- Jaki ładny komplet? - spytała, przesuwając jego ramię na talię.

- My - odparł Cole i przyciągnął ją trochę bliżej.

- Aha - Morgan uśmiechnęła się do niego, uznając, że ma rację, i to chyba bardziej niż każde z nich było tego świadome. Jej siostra Heather opowiada o chemii związku mężczyzny z kobietą, o partnerach zsyłanych przez niebo, o duszach parzystych, szukających

się do skutku. Morgan przestała nagle uważać, jak kiedyś, że to bzdura.

Prowadząc dziewczynę do siebie, Cole zaczął zaspokajać ciekawość, dowiadując się co, gdzie i kiedy w życiu Morgan. Gdzie okazało się dla niego niespodzianką, mimo że wiedział o jej oryginalnej przeszłości.

- Dokładnie mówiąc, pochodzę z rejonu południowego Pacyfiku - powiedziała Morgan. - Tam się urodziłam, a wychowywano mnie wszędzie. Mama i tata są z zawodu „ogładcami” ludzi, stanowią parę „logów”, którzy obserwują zachowanie człowieka. Mama jest socjologiem, a tata antropologiem.

- Wygląda to na drugi ładny komplet - powiedział Cole, zacieśniając ramię wokół Morgan w krótkim uścisku.

- Masz rację - odparła, odwzajemniając uścisk. - Razem pracują i podróżują wszędzie gdzie się da.

- Co znowu cofa nas na południowy Pacyfik do twoich narodzin. Czy to wielkie wydarzenie miało miejsce na pokładzie brygantyny? I właśnie dzięki niemu wiesz życie pirata?

- Tak wyszło, że po raz pierwszy zobaczyłam świat w kabinie na statku oceanicznym - powiedziała Morgan, zabawnie i wyzywająco przekrzywiając brodę. - Byłam wcześniakiem. Kiedy się pojawiłam, mama była tak samo zaskoczona, jak wszyscy wokół

- I przyjmował cię lekarz okrętowy?

- Pomagał. Większość akuszerskiej roboty wykonał tata. Gdy lekarz się zjawił, było już właściwie po wszystkim - Morgan roześmiała się. - Ale mówiąc, że okoliczności narodzin zadecydowały o moim życiu, nie minąłeś się z prawdą. Sposób, w jaki dorastałam, a na jachcie rodziców spędzałam niekiedy wiele tygodni, miał nawet głębszy wpływ. Do dzisiaj źle się czuję z dala od morza - Morgan położyła głowę na ramieniu Cole'a. - Rozumiesz co mam na myśli, prawda? Odniosłam wrażenie, że i ty kochasz ocean.

- Chyba bardziej niż się do tego przed sobą przyznawałem - odparł spokojnie Cole. - Kocham również to miasto, nawet jeśli conchowie dają czasami odczuć przybyszom, że są czymś w rodzaju wiecznych turystów.

- Mają prawo być nieufni - powiedziała ostrożnie Morgan, uważając, żeby nie zranić uczuć Cole'a wypominaniem, że nie może

oczekiwać od miejscowych obejmowania kogoś, kto jak on trzyma się z dala od wszystkiego.

Delikatnie spróbowała zacząć ten temat.

- Nie zapominaj, co Juan powiedział mi o podejrzliwości conchów wobec tajemniczości.

Dobrze zdając sobie sprawę, do czego zmierza Morgan, Cole postanowił wymijająco potraktować powody, dla których pędzi żywot samotnika. Tajny projekt, którym zajmował się na wyspie, był tylko jednym z nich. Zestawiwszy własne zwyczaje ze zwyczajami Morgan uznał, że być może istotnie za bardzo odciął się od innych ludzi. Miał temat do rozmyślań na kiedy indziej.

Tymczasem uśmiechnął się, rozbawiony, że Morgan ma zwyczaj cytować Juana jako najwyższy autorytet Key West.

- Twój przyjaciel od cygar jest, zdaje się, źródłem wiedzy. Ale słyszałem Juana mówiącego, że conchom trochę brakuje bluesa, więc nie powinienem brać ich za poważnie. A jak ty myślisz, dlaczego mają prawo być nieufni? Mam wrażenie, że zostałam zaakceptowana jako pełnoprawny conch.

- Conch musi urodzić się i wychować w Lower Keys. Na pewno to wiesz. Jak twierdzi Juan, najlepsze na co mogę mieć nadzieję, to być uznaną za concha - „żółtodzioba”.

- Chcesz powiedzieć, że mieszkając tutaj przez siedem lat, tak jak ty, jest się na dobrej drodze do osiągnięcia tego imponującego tytułu?
- spytał Cole, mając nadzieję, że Morgan zamierza pozostać w tym samym miejscu przynajmniej przez drugie tyle.

Morgan wahała się. Ustaliła, że pierwszy oficer z okrętu pływającego w Nowym Orleanie przyjedzie do Key West przejąć dowództwo nad „Anną Indyjską”. Przenosiny Morgan do Nassau, choćby tylko czasowe, nie były sprawą palącą, ale nie były też odległe w czasie.

- Nie jestem pewna, czy o to mi chodzi - odparła ostrożnie. - Zawsze miałam w sobie coś z nomady, więc wiązanie się na stałe z jakimkolwiek miejscem jest mi obce - zamilkła na chwilę i dodała pogodnie: - Ale mówiąc słowami nieśmiertelnego Jamesa Bonda, „nigdy nie należy mówić nigdy”.

Cole'a zaniepokoiła ta odpowiedź. Nie sprawiała wrażenia osoby, która planuje wkrótce opuścić Key West, ale z jej słów można było wnioskować, że nie zamierza osiedlić się tutaj na stałe.

Cole czuł wewnętrzne rozdarcie. Przeklinał się za stratę cennych tygodni, które mógł spędzić z Morgan, a jednocześnie cały czas przypominał sobie, że jeszcze nie ma pewności, czy chce się zaangażować w tę znajomość na dobre.

Szybko odkrywał, że nawet w Key West życie może być skomplikowane.

Cole pchnął skrzypiącą drewnianą furtkę, zakłócając spokój wieczoru.

- Jesteśmy - powiedział robiąc zapraszający gest w stronę domu, który nagle wydał mu się podobny do siedziby duchów. - Witaj w mauzoleum Margaritaville.

- Wspaniały - powiedziała Morgan z tłumionym śmiechem. - Moja siostra Heather zakochałaby się w tym miejscu. Przeczuwam, że za chwilę z okien i ze szpar w drzwiach wychyli się cały komitet powitalny upiorów, żeby powiedzieć nam „dobry wieczór”.

- Czy siostry Sinclair wierzą w duchy? - spytał Cole, przepuszczając Morgan przed sobą.

- Tylko Heather, ale myślę, że kiedy snuje swoje historie o bezgłowych jeźdźcach i różnych takich, co chrzęszczą w nocy, to po prostu wchodzi w rolę. Heather mieszka w Szkocji i prowadzi dział naszej firmy zajmujący się zjawiskami z tamtego świata.

Duchy, stare legendy, wróżki, czary, to wszystko obszar zainteresowań mojej siostry - „I romanse” dodała Morgan w myślach. Heather niezbitnie wierzyła w triumf Prawdziwej Miłości.

- Zabawne - mruknęła, gdy Cole zamknął za nimi furtkę. - Nie wydaje mi się, żebyś stanowił typ człowieka bielącego ogrodzenie.

- A jaki typ stanowią? - spytał Cole. Pożałował tego pytania prawie natychmiast. Zastanowiło go, czy naprawdę chce się zobaczyć oczami Morgan. Czyżby zaliczyła go do osób bez poczucia realizmu i nieodpowiedzialnych, tak jak jego rodzina?

Morgan odwróciła się i spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jesteś typem „nie zamykajcie mnie w ogrodzeniu” - odparła i dodała: - Mam rację?

- To zależy - powiedział Cole, przysuwając się do niej.

- Od czego? - spytała Morgan.

- Od rodzaju ogrodzenia i od tego, czy to ja mam być wewnątrz, czy inni na zewnątrz.

- Lubisz trzymać innych na zewnątrz? Wargi Cole'a skurczyły się w zduszonym uśmiechu.

- To zależy. Morgan podjęła grę.

- Od czego?

- Od tego, kim są inni. Skinęła głową.

- To się chyba trzyma kupy.

Stojąc za nią w bujnych zaroślach na podwórzu przed domem, Cole otoczył ramionami smukłe, cudownie uformowane ciało Morgan. Kiedy z wielkim zdziwieniem stwierdził, że trzyma ją w ten sam sposób jak w dniu, gdy oglądali zachód słońca, przywołał mimo woli obraz ich pierwszego wspólnego wieczoru. Głęboko odetchnął, wciągając oszałamiający zapach wszystkiego wokoło, mając wrażenie, że Morgan i jej słodki zapach stały się częścią jego własnego, specjalnego ogrodu.

Morgan położyła dłonie na rękach Cole'a i odchyliła się do tyłu, tak że ich policzki się zetknęły. Spojrzała na ogniste parasole płomiennoczerwonych kwiatów kwitnących w kącie podwórza.

- To jedno z najpiękniejszych drzew, jakie kiedykolwiek widziałam - powiedziała cicho.

- Nazywa się poinciana królewska - wyjaśnił Cole, a w jego niskim głosie zabrzmiała duma. - Podejrzewam, że właśnie dlatego kupiłem ten zwariowany stary dom, który jest dla mnie o wiele za duży. Nigdy przedtem nie byłem posiadaczem drzewa... - zachichotał.

- Na tyle, na ile marny człowiek może utrzymywać, że posiada drzewo. Jeśli wziąć pod uwagę rozmiary i okres życia obu gatunków, to wygląda zupełnie tak, jakby mucha myślała, że słoń jest jej domowym zwierzakiem.

Morgan podobało się kpiące poczucie humoru Cole'a. Zauważyła, że jest skierowane głównie przeciwko niemu samemu.

- Bez względu na to, czy ty posiadasz drzewo, czy ono ciebie, nic z tego nie wynika - powiedziała pewnie. - Zgódźmy się tymczasem, że posiadacie się wzajemnie. A drzewo jest zdumiewające...

- Najważniejsze, że to nie jedyne drzewo, z którym... och... z którym dzielę przestrzeń - powiedział Cole, przerywając, żeby pocałować Morgan w skroń. - Chodź, pokażę ci resztę rodu - wziął ją za rękę i poprowadził wąskim kamiennym chodnikiem na tył domu.

- Większość ludzi chełpi się drzewem rodowym - powiedziała Morgan, idąc za nim - a Cole Jameson cieszy się rodem drzew.

Nagle przerwała docinki. Z zachwytem wlepiała wzrok w niesamowitą altanę stworzoną przez grubą ścianę zieleni skąpanej w seledynowych refleksach światła, rzucanych przez mały okrągły basen.

- Kuchnia z widokiem na dwór - powiedział Cole głosem przepełnionym nagłą emocją. Załedwie mógł uwierzyć, że Morgan stoi w scenerii, w której wyobrażał ją sobie tyle razy. - Masz ochotę na drinka?

- Mam ochotę na wszystko, co dasz - odparła Morgan, zbyt poruszona otaczającym widokiem, by podjąć decyzję.

- Chyba zrobię dla siebie mrożoną herbatę - powiedział Cole. - Ale jeśli chcesz, to przygotuję ci koktajl. Nie skąpię przy nalewaniu i nie upijam pań, żeby je uwieść.

- Nie potrzebujesz upijać pań, żeby je uwieść - odparła Morgan. - A w każdym razie nie mnie.

Cole puścił rękę i położył dłoń na karku Morgan.

- Kiedyś powiedziałaś, że nie mógłbym cię uwieść. Powiedziałaś, że nikt cię nigdy nie uwiódł. Wciąż nie wiem, co właściwie chciałaś mi powiedzieć.

- Nic szczególnie istotnego - odparła spokojnie Morgan zamykając oczy i uśmiechając się. Dotyk Cole'a zesłał na nią deszcz cudownych igiełek. - Wyglądałaś na zmartwionego rolą wąsatego chłopca wykorzystującego bezbronną kobietę. Chciałam ci po prostu przypomnieć, że jestem dużą dziewczynką. Odpowiadam za to, co robię.

Z oczami wciąż zamkniętymi i błogością rozchodzącą się po całym ciele od szyi, delikatnie pieszczonej przez palce Cole'a, Morgan ciągnęła głosem bliskim westchnieniu rozkoszy:

- Jeśli będziemy się kochać, to dlatego, że oboje mamy na to ochotę, i tylko dlatego, nie zaś dlatego, że udało ci się oszołomić mnie cudownymi pocałunkami i pieszczotami albo naobiecywać różności, które w przyszłości sprawdzą się lub nie.

Cole położył rękę na szczycie jej pleców. Patrzył na Morgan przez długą chwilę, myśląc o jej kociej naturze. Dziewczyna wyraźnie lubiła pieszczoty. Cole niemal widział, jak mruczy z przyjemności, a jednak w jakiś sposób zachowuje niezależność. Odetchnął głęboko, powoli przechylając głowę, i spytał zdecydowanie:

- A chcesz się kochać, Morgan?

- Moje ciało chce - odparła bez wahania. - Moje uczucia nie zgłaszają najmniejszego sprzeciwu. Ale mój logiczny rozum został nieco w tyle. Chciałabym dać mu chwilę, żeby zrozumiał, że nie ma racji.

Cole roześmiał się i otaczając jej ramiona, lekko ją przytulił.

- To się lepiej składa, niż sądzisz, kapitanie. Mój logiczny rozum też mógłby się trochę przyzwyczaić do tej myśli. A jeśli chodzi o ciało, to mogłoby się zająć tym, o czym mówiliśmy, czyli mrożoną herbatą. Z mnóstwem lodu.

Rozdział 7

Morgan i Cole długo siedzieli wyciągnięci na ustawionych obok siebie miękkich fotelach. Splecione ręce łączyły ich jak most, a głosy obojga zamilkły, gdy dzielili się sobą w pierwszych, próbnych podchodach ku intymności i zaufaniu.

Część tego, czego Cole dowiedział się o Morgan, głęboko go zaniepokoiła. Luźna rozmowa o drobiazgach wyrobiła w nim przekonanie, że dziewczyna jest rodzajem wolnego ducha, jakim on sam nigdy nie mógłby być.

Nawet kiedy patrzyła na sierp księżyca przesuwający się wśród mrugających gwiazd i kosmatych chmur, mówiła o swojej potrzebie wolności.

- Wyobraź sobie, że bez przerwy obracasz się wokół Ziemi - rozmyślała na głos. - Tym samym szlakiem, w tym samym kierunku, dzień po dniu, przez wieczność - uśmiechnęła się szeroko. - Gdybym była księżycem, chciałabym spróbować, przynajmniej raz, zupełnie innej drogi, może nawet zrywając więzy grawitacji. Poszukałabym mojego szczęścia gdzieś tam w przeogromnym wszechświecie.

- Pomyśl o spustoszeniu, jakiego dokonałabyś na Ziemi - powiedział Cole, rozwijając fantazję mimo męcącego jego spokój uczucia, że Morgan mówi mu coś, co powinien dobrze zapamiętać. - Co stałoby się z przypyływami? Jak chodziliby kochankowie, nie mając nad głową srebrzystego światła księżyca? I co zrobiliby wszyscy ekscentrycy z Key West, jak wytłumaczyliby sobie pęd księżyca ku wolności raz w miesiącu?

Morgan zaśmiała się łagodnie.

- Księżyc w pełni robi tutaj dziwne wrażenie, prawda?

- W tym mieście ma się dziwne wrażenie nawet jeśli księżyc nie jest w pełni - powiedział Cole.

- A ty kochasz to miejsce, prawda? Potwierdził skinieniem.

- A ja kocham to miejsce.

- Brakuje ci Filadelfii?

- Czasami. Tam wyrosłem, więc nie mogę nie czuć nostalgii. A jak jest z tobą, Morgan? Przecież chyba nie masz rodzinnego miasta, miejsca, które symbolizuje twój początek, miejsca do którego możesz wrócić, żeby spotkać przyjaciół ze szkolnych lat.

- Ależ mogę - powiedziała Morgan, zagadkowo marszcząc brwi.

- Nie chcę, by to brzmiało pompatycznie, ale o całym świecie myślę

naprawdę w taki sposób, jak wielu ludzi o swych rodzinnych miastach. Mam przyjaciół z dzieciństwa, tyle tylko że są trochę rozrzućeni. Mieszkają wszędzie, od chaty w Kenii, przez wysokościorce Hongkongu, po domy na brzegu morza w Kalifornii.

- Zaskakujące, że jesteś... taka zrównoważona. Tak sądzę - Cole był szczerze zdziwiony, jak Morgan może być taka zwyczajna, skoro nic w jej przeszłości nie wydawało się normalne. - Większość znanych mi ludzi, którzy dużo podróżowali w dzieciństwie, ma uczucie, że zostali w jakiś sposób oszukani.

- Mam szczęście - powiedziała Morgan, szukając sposobu, żeby uzmysłwić Cole'owi, że nie uważa, by cokolwiek jej odebrano. - Prawdę mówiąc, często czuję, że mam wspaniałe życie. Oglądam świat, dowiaduję się wiele o ludziach. Jako dziesięcioletnia dziewczynka miałam za sobą więcej przygód i zabawnych przeżyć niż większość ludzi przez całe życie. Jak wiesz, moi rodzice chcieli podróżować. Chcieli poznawać świat osobiście, nie z książek, więc kiedy zaczęły przychodzić na świat dzieci, postanowili spróbować wożenia ich z sobą. Znakomicie się to udało, nawet kiedy musieli się już użerać z czterema hałaśliwymi córkami.

- Czterema córkami - powtórzył Cole z cichym gwizdnięciem. - Nieźle. A co ze szkołą?

- Uczyli nas mama i tata. Naszą formalną edukację załatwiłyśmy korespondencyjnie, oczywiście z wyjątkiem college'u. Wyższa uczelnia oznaczała chwilowy postój - Morgan zaśmiała się smutno na wspomnienie jedynych trudnych lat w swoim życiu. - Droga przez college była ciężka. Te zamknięte, ponure klasy, monotonne wykłady, to samo otoczenie miesiąc w miesiąc, rok w rok, ci sami ludzie. Czułam się jak w klatce.

- Świetnie cię rozumiem - Cole'owi stanęło przed oczami wspomnienie szkolnych ścian, a potem biurowych pokoiów, od których miał klaustrofobię. Uderzyło go jednak, że zamiast się cieszyć ze spotkania kobiety, która patrzy na życie tak samo jak on, czuje się trochę wytracony z równowagi. Zawsze myślał, że jest buntownikiem szukającym wolności, ale Morgan używała wolności daleko bardziej niż on, a przy tym wcale nie uważała się za buntownika.

Stwierdził, że część jego „ja” wciąż kusila idea stałego domu, a przynajmniej stałego miejsca zamieszkania.

Wydawało się, że Morgan nie potrzebuje takich więzów.

Cole zastanawiał się, czego dziewczyna potrzebuje. Wyglądała na osobę bardzo samowystarczalną, traktującą świat z wielką swobodą. Cole nie umiał się pozbyć zniechęcającej myśli, że nie może jej dać niczego, czego by nie miała, od komfortu materialnego zaczynając, a na bezpieczeństwie emocjonalnym kończąc.

Zrobiwszy kilka wymachów nogami, Cole dotknął wreszcie stopami ziemi, wstał i pociągnął za sobą Morgan.

- Chodźmy usiąść tam - zaproponował, wskazując tapicerowaną kanapkę z łozy, stojącą w kącie ogrodu, w miejscu gdzie pachnąca pergola wybuchała białymi, różowymi i czerwonymi kwiatami jaśminu. - Mam dość osobnych siedzeń.

Uśmiechając się, Morgan przeniosła się z nim na kanapkę. Kiedy siadała, Cole delikatnie ułożył ją tak, że oparła się o niego, kładąc mu głowę na ramieniu i kryjąc się w jego objęciach.

- Wygodnie? - zapytał, lekko całując ją w czoło.

- Mm... - odpowiedziała Morgan z rozkoszą, myśląc że „wygodnie” zdecydowanie nie jest najlepszym słowem. Z drugiej strony nic nie wydawało jej się równie właściwe, jak spoczywanie w ramionach Cole'a Jamesona.

- To dobrze. A przy okazji... Założyłem, że jutro, a dokładniej dzisiaj, nie pracujesz. Biorąc pod uwagę godzinę, mam nadzieję, że tak jest rzeczywiście.

- Słusznie, nie mylisz się. W niedzielę nie pływamy - nagle zafrasowana późną godziną, Morgan próbowała się wyprostować.

- Ale zdaje się, że ty masz w niedzielę trochę zajęć, więc może powinnam... - stwierdziła, że nie jest w stanie się ruszyć, uwięziona przez mocne jak stal ramiona Cole'a. Wrażenie było stanowczo przyjemne.

- Na tę niedzielę nic szczególnego nie planuję - powiedział, znowu układając ją na ramieniu. Potem palcem wskazującym zaczął leniwie obwodzić kontur jej ust. Uwagę Cole'a przykuły pełne wargi dziewczyny. Wyobrażał sobie, jak niezliczone przyjemności mogłyby oferować.

- Jesteś zmęczona? - zapytał.

Morgan instynktownie zamknęła oczy, odpowiadając całym ciałem na pieszczotę Cole'a.

- Nie, nie jestem. A ty...

Cole pochylił się i uciszył ją najdelikatniejszym z delikatnych pocałunków. Potem się uśmiechnął.

- Wiele tygodni czekałem na okazję, żeby zostać z tobą sam na sam, kapitanie. Nie wiem, jak wiele czasu minie, zanim będę miał znowu tę sposobność, zważywszy na twoją skłonność do zajmowania się kłopotami porzuconych uciekinierów z domu i wszelkich innych potrzebujących, dla których jesteś największą i ostatnią nadzieją. Jeżeli chcesz iść, to proszę, żebyś tego nie robiła - pocałował ją w czubek nosa. - Jeszcze tyle chciałbym się o tobie dowiedzieć.

Morgan była zaskoczona, do jakiego stopnia subtelne pocałunki Cole'a, jego mocne ramiona i cichy głos z lekką chrypką podziały na nią hipnotyzująco. Ciągłe jednak wiedziała o nim bardzo mało, a te białe plamy odrobinę ją niepokoiły.

- Jesteś pewien, że nie powinnam iść? - spytała. - Na pewno nie musisz wcześniej wstać i wypłynąć, żeby... no, żeby robić to, co robisz?

- Na pewno - powstrzymał się od dalszych wyjaśnień, rozmyślnie, choć z żalem, ignorując ostatnie słowa Morgan, jej niezbyt zgrabną prośbę o szczegóły dotyczące Cole'a. Kusilo go, żeby zdradzić dziewczynie swój niewinny sekret, ale przecież wiązał go uścisk dłoni z Danem i innymi uczestnikami wykopalisk. Przysięgli sobie zachować je w tajemnicy, a Cole zwykł bezwarunkowo dotrzymywać danego słowa. Poza tym Morgan była zręczną kobietą interesu. Co pomyślałaby sobie o mężczyźnie, który wsadził pieniądze w poszukiwanie niemal bezwartościowych przedmiotów, nawet jeśli istniała mała, śmiesznie mała, szansa na znalezienie hiszpańskiego złota.?

Zapadło przeciągające się milczenie i Morgan zrozumiała, że Cole po prostu nie zamierza mówić o sobie. Chociaż starała się uszanować jego prywatność, nie mogła pozbyć się uczucia, że ta niechęć do otwarcia się przed nią stanowiła skazę na ich rodzącą się bliskości.

Co gorsza, zaczynała się naprawdę martwić przyczynami jego tajemniczości. Ponieważ jedyną znaną jej metodą uporania się z problemem było wydobyć go na światło dzienne, postanowiła się do niej zastosować.

- Cole, czy...? - przerwała. Nawet mimo przyzwyczajenia do stawiania spraw szczerze nie mogła tego z siebie wykrztusić. - Czy

masz... czy masz coś... strasznego... do ukrycia? - słowa zabrzmiały melodramatycznie i głupio, toteż Morgan oczekiwała, że Cole się roześmieje z tak niemądrego pytania.

Dopiero po dłuższej chwili dotarła do niej gorzka prawda: Cole nie spieszył się z najprostszym wyjaśnieniem. W ogóle się nie odzywał.

I zdecydowanie się nie śmiał.

Patrzył na Morgan szeroko otwartymi oczami, oszołomiony jej pytaniem.

- Skąd ta myśl? - Cole grał do tej pory, trzymając karty przy sobie, ale nie przyszło mu do głowy, że Morgan będzie go podejrzewać o... o co, tego nie wiedział.

Morgan delikatnie wydostała się z jego objęć, notując w myśli, że tym razem Cole ją puścił. Wstała, obeszła dookoła basen i zaczęła się wpatrywać w opalizującą wodę. Ostrożnie wróciła do tematu.

- Nie mam zamiaru się wtrącać, Cole. To wszystko dlatego, że nie chciałabym, żebyś okazał się jednym z tych podejrzanych facetów.

- O kim myślisz, mówiąc „podejrzani faceci”? - spytał Cole obojętnie.

Morgan wahała się, opierając się przed ubraniem lęku w słowa.

- Chyba boję się, że mogłabym się zakochać w mężczyźnie, który jest zamieszany w... no, w coś niedozwolonego.

- Niedozwolonego? - powtórzył Cole osłupiały. - Na przykład? W szmugiel narkotyków z Karaibów? Szmaragdów z Kolumbii? A może w przewóz broni do Ameryki Środkowej? - rozzłoszczony bez powodu, wyrzucił z siebie te niemiłe możliwości, zanim znaczenie słów Morgan doszło do niego w pełni.

Kiedy dotarła do niego i reszta znaczenia, mrugnął i spytał głosem stłumionym od nagłej emocji:

- Mogłabyś zakochać się we mnie?

Morgan nie odpowiedziała, tylko prawie niezauważalnie skinęła głową. Cole stwierdził, że zastanawia się nad tym, co powiedziała.

- A gdybym był jednym z tych podejrzanych facetów? Czy mimo to mogłabyś się we mnie zakochać? - pomyślał, że to dziecinne, wariackie pytanie. Musiał jednak usłyszeć jej odpowiedź. Wstał z kanapki i zaszedł aż na koniec ogrodu. Trzymając ręce w kieszeni, udając całkowitą obojętność, ostrożnie wypytywał dalej: - A gdyby

kompletem do chłopięcego wyglądu były kowbojski kapelusz i ładownica z karami, to zakochałabyś się i wtedy?

Morgan zrzuciła z nóg sandały, usiadła na krawędzi basenu, podciągnęła spódnicę do kolan i zaczęła machać nogami w zimnej wodzie. Przez kilka chwil myślała, co odpowiedzieć.

- Boję się, że tak - odezwała się w końcu, zaskoczona tą prawdą. Kimkolwiek byłby Cole i cokolwiek robiłby, nie zmieniłoby to jej uczuć do niego. - I dlatego próbuję się powstrzymać przed wpadką - westchnęła, zataczając nogami koła w przeciwnych kierunkach, tak że powstały dwa miniaturowe wiry. - Chyba będzie to jednak dosyć trudne.

Cole przystanął i kucnął, oglądając niską kępę chińskich palm wachlarzowych, chociaż tak naprawdę wcale jej nie widział. Nie wyglądał na człowieka panującego w tej chwili nad sobą. Zaskoczyła go sugestia, że Morgan zależy na nim bez względu na to, kim jest i co robi. Próbował się oswoić z tą myślą, ciągnąc swój żart.

- Kto wie? Może uda ci się mnie zreformować?

- Nie sądzę - Morgan odchyliła się do tyłu, kładąc dłonie na brzegu basenu, i spojrzała w niebo. - Nigdy nie wierzyłam, że miłość dobrej kobiety może jednym zaklęciem zamienić czarny charakter w szlachetnego bohatera - uśmiechnęła się stwierdzając, że o wiele łatwiej wyobrazić sobie Cole'a w roli bohatera niż łajdaka. Pragnęła, by te idiotyczne podejrzenia, jakie miała, nigdy nie przyszły jej do głowy. Przecież to niemożliwe, żeby były słuszne.

Cole okrążył basen, stanął za Morgan i spojrzał na nią w dół.

- A więc mam kłopot - powiedział ochryple - Bo ani trochę nie wyglądasz jak czarownik.

- A ty nie wyglądasz na czarny charakter - odparła łagodnie. Jeszcze bardziej odchyliła głowę, żeby przesłać mu szeroki uśmiech. - Nie wyglądasz tak nawet do góry nogami.

Cole przesunął się, stając obok Morgan, a potem przyklęknął. Dziewczyna wyprostowała tymczasem głowę, chcąc pochwycić jego spojrzenie.

- A teraz? - spytał Cole, czując, że Morgan postanowiła mu zaufać bez żadnych wyjaśnień z jego strony. Poważnie zastanawiał się nad wyjawieniem jej całej prawdy o projekcie, stwarzającym między nimi niepotrzebną i sztuczną barierę. Ale przecież bez tej bariery być może nigdy nie dowiedziałby się, że może otrzymać tak kojący dla

duszy dar, jak zwykle zaufanie Morgan, na które nie zasłużył. - Czy wyglądam jak czarny charakter, kiedy mam już nogi we właściwym miejscu?

- Wyglądasz jak pijący sarsaparillę, strzelający bez pudła poszukiwacz córek farmerów.

Śmiejąc się, Cole porywczo wyciągnął ręce ku Morgan. Postanowił skończyć tę głupią rozmowę. Na zaspokojenie ciekawości Morgan mogła jeszcze poczekać. W tej chwili Cole pragnął jedynie zgasić nagle pragnienie słodkim nektarem jej ust.

W szeroko otwartych oczach dziewczyny zobaczył instynktowny alarm i poczuł jej dłonie na piersi. Zbyt późno zrozumiał, że zaskoczył ją tym porywem. Nim zdołał się zasłonić, został silnie pchnięty do tyłu. Bezradnie zatrzepotał rękami, walcząc o odzyskanie równowagi, i z głośnym pluskiem wylądował w basenie, w ostatniej chwili przypomniał sobie o wstrzymaniu oddechu. Cole wynurzył się po chwili. Woda sięgała mu do piersi. Prychnął głośno i przetarł oczy. Zobaczył, że Morgan klęczy na brzegu i przygląda mu się, przygryzając dolną wargę.

- Po co to było? - spytał, odgarniając zmoczone włosy i zastanawiając się, czy przypadkiem nie popełnił błędu w odczytywaniu znaków dawanych przez dziewczynę.

- Przepraszam! - powiedziała Morgan, starając się zachować spokój w głosie, a jeszcze bardziej usiłując nie roześmiać się.

Cole rzucił jej kwaśne spojrzenie.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Nie chciałam, Cole! Po prostu... stare przyzwyczajenie. To wina mojego wychowania. Moich sióstr. Okropnie mi dokuczały, zawsze urządzały głupie żarty i psociły.

- Rozumiem, że byłaś niewinnym aniołkiem - powiedział Cole. Musiał nagle zrobić duży wysiłek, żeby powstrzymać śmiech. Reakcja Morgan nie miała nic wspólnego z zaufaniem do niego, opierała się na odruchu. Powinien był to przewidzieć. Przecież w opuszczonym doku mówiła mu, że potrafi zadbać o własne bezpieczeństwo. Oczywiście wtedy nie zwrócił na to uwagi. Teraz przypomniał sobie, jak znienacka pojawił się tamtego wieczoru i poczuł, że ma dług wdzięczności. Przerobił tę lekcję we własnym basenie, a nie w okolicach Doku Mallory'ego.

Nie mógł jednak dopuścić, by taka zniewaga uszła Morgan płazem. Spojrzał najstraszniej jak potrafił i wyciągnął do niej obie ręce w przyzywającym geście.

Morgan obejrzała się do tyłu, jakby miała nadzieję, że Cole myśli o kimś innym.

- Teraz ty, kapitanie - powiedział Cole z udaną groźbą w głosie. - Twoja kolej.

Morgan zrobiła wielkie oczy.

- Moja kolej na wejście do wody?

- Tak, dziewczyno. Dobrowolnie albo nie - Cole blefował, ale pomysł wspólnej kąpieli z Morgan przy księżycu był kuszący. - Wyznaję zasadę oko za oko, ząb za ząb.

- Ale ja nie chciałam...

Uśmiechając się, Cole podchodził coraz bliżej. Morgan wahała się. Widok złośliwej determinacji w oczach Cole'a wywołał u niej dziwne podniecenie.

- W ubraniu? - spytała, czując, że zapiera jej dech. - A może myślisz, że... - tego pytania nie mogła dokończyć.

Cole podtrzymał grę.

- Powiedzmy, że nie chciałbym, żebyś zniszczyła taką ładną, czerwoną sukienkę - powiedział, leniwie cedząc słowa. Ściągnął przemoczoną koszulę, która nieprzyjemnie kleiła mu się do ciała, i odrzucił ją na brzeg basenu.

Morgan z trudem przełknęła ślinę. Pierś Cole'a wyglądała dokładnie tak, jak w jej najśmielszych marzeniach: muskularna, opalona na brąz, zachęcająca do pieszczot. Dziewczyna zapragnęła dotknąć napiętych mięśni i ścięgien, otrzeć się policzkiem o czarne kępki włosów mieniących się kroplami wody, przycisnąć wargi do lekkiego wgłębienia na mostku Cole'a.

- Wskakuj, dziewczyno - powiedział Cole cicho. Widząc pożądanie w oczach Morgan, przestał żartować.

Kusząca, surowa męskość Cole'a i jego wyzywające spojrzenie pokonały Morgan. Z uśmiechem na twarzy ześlizgnęła się do wody. Czerwona sukienka skłębiła się wokół niej. Morgan zbliżyła się do Cole'a, wyciągając ku niemu ręce.

Chwycił ją i przyciągnął bliżej.

- Jesteś szalona, wiesz? - powiedział z czułym uśmiechem. - Sądziłem, że zdejmiesz tę sukienkę. Albo zaprosisz mnie na następną

lekcję wskakiwania do wody. Nie przypuszczałem, że... - nie dokończył, powoli obejmując wzrokiem jej cudowny zarys.

- Czy już jesteśmy kwita? - spytała cicho, a spojrzenie w ciemne oczy Cole'a sprawiło, że z jej ciałem zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Poczowała fale ciepła między udami i gwałtowne łomotanie serca. - Czy już okupiłam ten drobny przejaw mojej porywczowości?

Po raz drugi w ciągu kilku minut Cole poczuł się, jakby tonął. Cienki materiał sukienki zrobił się całkiem przezroczysty. Pod powierzchnią wody migotało blade złoto skóry Morgan, lekko przysłonięte szkarłatem gazy. Wyraźnie rysowały się pełne piersi dziewczyny i sutki, tworzące na materiale nęcące wypukłości.

- Niezupełnie - mruknął Cole, puszcżając jej ręce. Mocno objął ją za szyję i przyciągnął bliżej. Sukienka Morgan stanowiła prawie niewyczuwalną przegrodę między dwoma splecionymi ciałami.

- Zdaje się, że w zadośćuczynieniu jest więcej porywczowości niż w moim grzechu - szepnęła Morgan, gdy wargi Cole'a opadły na jej usta. Zimna woda nie gasiła ognia, który wybuchł w jej wnętrzu. Usta Cole'a były na zmianę delikatne i pełne wahań, nęcące i władcze. Morgan poddała się gorącej słodyczy jego pocałunku. Jej ręce wędrowały po muskularnych plecach, nogi drżały, a biodra instynktownie wciskały się w wychodzące im naprzeciw biodra Cole'a.

- Mój logiczny rozum robi wielkie kroki w pościgu za ciałem - mruknął Cole, leciutkim kąsaniem doprowadzając jej dolną wargę do zaróżowienia i nabrzmienia po to, by dalej łagodnie pieścić ją językiem. - A twój? - spytał, jedną ręką obejmując jej głowę, a drugą powoli przesuwając w dół po plecach.

Morgan jęknęła chrapliwie, obezwładniona przez następne uderzenie ciepła.

- Jaki logiczny rozum? - wyszeptwała. - Ja w ogóle nie mam rozumu. Mam tylko... O Boże, Cole, tak bardzo cię chcę...

Krew dudniła Cole'owi w uszach, jego ciało zostało ogarnięte przez pożądanie gwałtowniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Zagarnął usta Morgan i rozchylił jej wargi siłą pocałunku. Ich języki zwały się w namiętym pojedynku.

Palce Morgan bawiły się włosami na karku Cole'a, potem zsunęły się wzdłuż szyi w dół i przebiegły owłosiony trójkąt na jego piersi.

Serce Cole'a waliło dokładnie pod jej dłoń, skóra niemal parzyła, a ciało odpowiadało dreszczem pożądania na każdy jej dotyk.

Morgan czuła moc w swej słabości. Obudziła się w niej nowa świadomość wszystkiego, co ją otacza, choć liczył się teraz wyłącznie Cole: jego usta próbujące jej ust, jego ręce rozpalające dotykiem każdy cal jej skóry, jego ciało dręczące ją obietnicami niewypowiedzianych przyjemności. Cole objął wargami brodę Morgan i powoli, pocałunek po pocałunku, dotarł aż do ucha. Wraz z ciepłym oddechem dziewczyna czuła przyływ rozkoszy, rozplywającej się po całym ciele.

- Zresztą co tam rozum? Tylko mać wszystko. Pragniemy się nawzajem, Morgan, i nic poza tym nie ma znaczenia - szepnął Cole.

W tym raptownym porywie namiętności Morgan zachowała jeszcze resztki zdrowego rozsądku.

- Nigdy nie pożałuję, jeżeli będziemy się kochać - zdołała powiedzieć, odchylając głowę, by odsłonić wyprężoną szyję na nienasycone pocałunki Cole'a. - Ale dla mnie dzieje się to za szybko. Wolałabym się cofnąć, choć nie jestem pewna, czy potrafię. Wiem, że nie zrobię tego sama.

Cole'owi wydawało się to zupełnie niemożliwe. Ciało Morgan nie godziło się ze słowami. Wyrażało jej namiętną uległość, kipiące pragnienie. I było to szczere. „Gdybyśmy się kochali, nie żałowałyby, nie pozwoliłbym jej pożałować” pomyślał Cole.

Był jednak zbyt uczciwy, by się nie zatrzymać. Pamiętał swoją decyzję. Zapewniał przecież Morgan, że muszą sobie dać trochę czasu na sprawdzenie uczuć. Jeśli jakakolwiek obietnica była święta, to właśnie ta.

Nadzwyczajnym wysiłkiem woli Cole otoczył Morgan ramionami, przyciskając do siebie, przytrzymując jak skarb, zmuszając jednocześnie własne ciało do uspokojenia.

- Masz rację - powiedział w końcu. - To działo się za szybko.

Morgan poczekała, aż przestanie drżeć, i dopiero potem spróbowała się odezwać.

- Chyba jednak nie miałam racji w zeszłym tygodniu - powiedziała w końcu. - Wyraźnie można mnie jednak uwieść.

Cole pogłaskał ją po głowie i dotknął wargami skroni.

- Nie, Morgan. Zgodnie z twoją definicją, w żadnym wypadku. Powiedziałaś, że jeżeli będziemy się kochać, to dlatego że oboje tego chcemy, a nie w wyniku zamroczenia umysłu lub czczych obietnic.

Prawda, że nas zamroczyło, ale czczych obietnic nie robiłem i ty też nie. A poza tym chcemy się wzajemnie - zaśmiał się, czule ją ściskając. - Co więcej, jeśli na serio nalegałabyś na mnie, żebym się cofnął, a ja na serio nie chciałbym tego zrobić, to przypuszczam, że znowu dałbym nura na dno basenu.

- Przykro mi, że tak postąpiłam - powiedziała Morgan, tuląc się do niego.

Wciąż jeszcze walcząc o odzyskanie panowania nad sobą, Cole zamknął oczy.

- A mnie nie - powiedział. - Mnie wcale nie jest przykro.

Morgan poczuła, że łzy cisną jej się do oczu.

- Jesteś takim niezwykłym mężczyzną.

Cole nie czuł się niezwykły. Czuł się zawiedziony. Mimo to znowu zaśmiał się lekko.

- Myślę, że jestem w poważnym kłopotcie. Z jakiegoś powodu wydobyłaś na światło dzienne tylko taką część mojego „ja”, która wydaje się szlachetniejsza niż jest to w ogóle możliwe. Nie wiem, czy powinienem być za to wdzięczny, Morgan.

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej, czując, że zaczyna nałogowo korzystać z tego przywileju.

- Czasami myślę, że wszystkie części twojego „ja” są szlachetne, więc nie graj przede mną takiego skromnego, Cole.

- Okay, kapitanie. Jestem sir Lancelot, sir Galahad i sir Walter Raleigh w jednej osobie. A stary sir Walter, który przerzucał przez błoto pelerynę dla wytwornych stóp swej królowej, przypomina mi, że mam iść poszukać sukni dla mojej damy. Wejdiesz ze mną czy poczekasz tutaj?

- Poczekam - odparła Morgan. - Nacieszę się twoim basenem, póki jeszcze jestem w środku.

Cole odetchnął głęboko, nateżając wolę, by puścić Morgan. Potem wyskoczył z basenu, nie odważając się obrócić. Wciąż walczyły w nim sprzeczne uczucia. Cole zastanawiał się, czy nie jest największym głupcem w historii.

Rozdział 8

Morgan została w wodzie. Potrzebowała jej chłodu. Zdjęła sukienkę, żeby ją wyżyć, położyła na brzegu basenu, a potem przepłynęła kilka rundek, żeby wyładować nadmiar energii.

Kiedy Cole wrócił, był ubrany w czarny, aksamitny płaszcz kąpielowy. Niósł też niebieski dla Morgan. Spojrzał i zaparło mu dech w piersi. Dziewczyna była prawie naga. Przykucnął koło drabinki po głębszej stronie basenu, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął przed siebie płaszcz kąpielowy, zastanawiając się, czemu znajduje przyjemność w dręczeniu się kolejną ucztą dla oczu, jaką dawało cudowne ciało dziewczyny.

Widząc przewrotny błysk w jego oczach, Morgan pomyślała, że Cole chce się z nią trochę podrażnić, robiąc zamach na jej skromność. Fizycznej skromności Morgan miała jednak niewiele. Była przecież wychowywana na statkach, a poza tym zwiedziła z rodzicami sporo miejsc, w których ludzie byli pozbawieni tego samoograniczenia. Zdecydowała jednak, podjąć grę Cole'a.

- Nie zamierzasz być dżentelmenem i odwrócić się? - spytała, patrząc w jego stronę.

- Obejrzałaś za dużo starych filmów - Cole nadal się uśmiechał, szczerząc zęby, i próbował utrzymać nonszalancki styl, mimo że narastała w nim nowa fala ciepła i napięcia. - Żaden zdrowy mężczyzna nie mógłby odwrócić się tyłem do takiej kobiety, jak ty.

Zadowolona z komplementu, Morgan roześmiała się i postanowiła zdemaskować jego blef. Dopłynęła do drabinki, chwyciła za poręcz, postawiła nogę na najniższym szczeblu i, opierając się na rękach, wyskoczyła z wody. Gra skończyła się wybuchem. Morgan została sparaliżowana przez wyraz twarzy Cole'a.

Cole zaniemówił, przykuty do miejsca, w którym stał. Patrzył na smukłe ciało Morgan, a jego uśmiech topniał. Ramiona dziewczyny były gładkie i krągłe, piersi wysokie i pełne, tors ożywił wyobrażenie rzeźbiarza o kobiecej doskonałości. Pasek niebieskiego jedwabiu na szczycie ud tylko potęgował piorunujący efekt nagości. Morgan uosabiała pokusę, ucieleśniała zmysłowość, chociaż była niewinną Ewą w prywatnym rajku Cole'a, szczerą, otwartą i ufną bez zastrzeżeń. I Cole chciał za wszelką cenę pokazać, że zasługuje na jej zaufanie.

Zafascynowała go mała kropla, która spłynęła z włosów na ramię Morgan i zakosami płynęła dalej, jak rzeczka przez równinę. Potem

nabrała szybkości na pagórku piersi, dotarła do aksamitnego sutka i pozostawała tam zawieszona w niepewności, jakby broniąc się przed dalszą drogą.

Oczarowany Cole pomyślał o rosie na pączku róży. Skoczył ku dziewczynie i zdjął kropelkę językiem.

Morgan głośno westchnęła, zaszokowana nagłą przyjemnością. Jej palce zacisnęły się na zimnych poręczach drabinki. Odchyliła głowę do tyłu, wygięła ciało w łuk i zamknęła oczy, niemal widząc iskry emocji, które wystrzeliły z tego jednego malutkiego miejsca na nabrzmiałej brodawce i rozprysnęły się po całej jej postaci.

Cole wyprostował się, nagle odzyskując spokój. Spojrzał przeciągle na Morgan, która hojnie go nagrodziła, instynktownie reagując w sposób stary jak świat. Nigdy przedtem Cole nie czuł tak intensywnie swej pierwotnej męskości. Rozumiejąc, że uczestniczy w czymś dalece ważniejszym niż przelotna rozkosz, był przygotowany na pielęgnowanie tego czegoś cierpliwie i z miłością.

Rzuciwszy jeszcze jedno niespieszne spojrzenie na lekko błyszczące, złote ciało Morgan, Cole objął ją w talii, pomagając zejść z drabinki, potem posadził na miękkim dywanie trawy i podał jej niebieski płaszcz kąpielowy.

Morgan otworzyła oczy, jakby wypadła z transu. Zdobyła się na uśmiech.

- Igramy z ogniem, czy naprawdę jesteś taki opanowany?

- Igramy z gigantycznym pożarem - odparł Cole. - A ty nie masz pojęcia, jaki jestem opanowany - pocałował ją w obie powieki. - Chodźmy do środka. Póki nie spojrzałem na zegar, nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale jest już po czwartej.

Morgan przeżyła szok.

- Powinnam iść do domu!

- W moim płaszczu kąpielowym?

- Ludzie w Key West widzieli gorsze rzeczy - powiedziała Morgan. - Ale może uda mi się wrzucić sukienkę do wirówki. Masz coś takiego?

- Tak, ale podejrzewam, że tej sukienki się nie wiruje. Lepiej chodźmy do domu, powiesimy ją na sznurku i pośpimy trochę. Mam oczywiście nie jedną sypialnię i mogę ci dać coś, co posłuży jako koszula nocna.

- Kiedy ja śpiam... - Morgan zatrzymała się w pół zdania, zwątpiwszy, czy mądrą rzeczą będzie je kończyć.

Cole roześmiał się z jej zafrasowania.

- Śpiasz nago. Powinienem się tego domyślić.

- To dlatego, że koszule nocne i piżamy zawsze się zwijają i gniotą. Zresztą ubieranie się do łóżka wydaje mi się dziwaczne.

- Na to nie mogę się zgodzić - powiedział Cole, odpychając od siebie wyobrażenie nagiej Morgan leżącej w łóżku. Próba jego opanowania stanowczo nie mogła wyjść poza tę granicę. Wziął z ziemi sukienkę, potem otoczył Morgan ramieniem i powiódł do domu.

- Jesteś głodna? - zapytał, gdy przechodzili przez kuchnię.

Morgan potrząsnęła głową. Nie myślała ani trochę o jedzeniu.

- Nie sądzę, żebym mogła zasnąć w tym domu - powiedziała, kiedy Cole poprowadził ją po wąskich, skrzypiących schodach na górę.

- Czemu nie? - spytał Cole z nagłym napięciem. Chciał, żeby Morgan podobało się u niego i zaniepokoił się, że tak nie jest. - Czy kojarzy ci się z upiorami?

- To nie dom mi przeszkadza - powiedziała Morgan, rozglądając się aprobująco po wnętrzu. Szarawe ściany dramatycznie kontrastowały z obfitymi drewnianymi zdobieniami i podłogami z twardego drewna, wypolerowanymi na błysk. - Sam dom jest bardzo miły. Przeszkadza mi, że ty w nim jesteś. Jak mogę spać, jeśli wiem, że leżysz w łóżku pod tym samym dachem, może nawet w tym samym pokoju?

Stanąwszy na szczycie schodów, Cole wskazał pokój po drodze do jego sypialni.

- Jesteś bardziej zmęczona, niż ci się wydaje, Morgan. Będiesz spała, mogę się założyć.

- Jakbym słyszała Stefanię - Morgan przyszło nagle do głowy, że przestały ją dziwić niezrozumiałe, nierozzerwalne więzy łączące jej siostrę z mężem, z którym nie mogła wytrzymać, ale również znaleźć bez niego szczęścia. Jest w uczuciach między kobietą i mężczyzną wymiar wykraczający poza sferę zdrowego rozsądku.

- Dlaczego Stefanię? - natychmiast spytał Cole. Skrzypnięcie otwartych przez niego drzwi do sypialni przywróciło Morgan do rzeczywistości.

- Stefanię? Ach, bo chciałeś się założyć, że pójde spać. Moja siostra robi coś takiego bez przerwy. Zakłada się o wszystko. Jeśli mówisz akurat, że chyba będzie deszcz, Stefania urządzi zakłady, o której zacznie padać. Jest to największa pragmatyczka pod słońcem i osoba niesłychanie odpowiedzialna, ale nie może odeprzeć głupiej pokusy zdania się na grę przypadku - Morgan zauważyła, że się znowu rozgadała. Przy Cole'u zdarzało jej się to często, ale nic nie mogła z tym zrobić. Bycie razem z nim w sypialni onieśmiało ją bardziej niż przypuszczała. Uświadomiła sobie, że wlepia wzrok w zachęcające, mosiężne łoże z niebieskim pikowanym pokryciem i wysoką, puchatą poduszką.

Cole wyjął z szafy wieszak i zawiesił na nim sukienkę.

- Więc ty jesteś królową piratów, Stefania nałogowym graczem...

- To nie jest nałóg - przerwała Morgan, nie chcąc, by Cole miał złe wyobrażenie o Steffie. - To coś więcej niż... małe dziwactwo.

- A Heather wierzy w duchy - dodał Cole Morgan zdziwiła się trochę.

- Zapamiętałeś?

- Zaskakujące, co? To musiało być chyba... powiedzmy kilka godzin temu, kiedy powiedziałaś, że Heather podobałby się mój nawiedzony dom - powiedział Cole z wyzywającym uśmiechem. - Hej, jeśli dowody mojej fenomenalnej pamięci robią na tobie wrażenie, to mam dla ciebie jeszcze coś: czwarta z sióstr Sinclair, Liza, ma bzika na punkcie jazzu.

Morgan zrobiła wielkie oczy.

- Niesłychane. Nawet nie wiedziałam, że kiedykolwiek słyszałeś, jak o tym mówię. Myśl sobie, co chcesz, ale naprawdę robi to na mnie wrażenie. O jazzowym szaleństwie Lizy wspominałam tylko raz, tego wieczoru, gdy byłeś z bratem w Doku Mallory'ego.

Śmiejąc się, Cole uniósł wieszak.

- Powieszę sukienkę na dworze, żeby wyschła. A ty wskakuj do łóżka.

- Tak jest. A wrócisz poprawić mi poduszki? - spytała Morgan kokieteryjnie.

Cole stłumił uderzenie gorąca.

- Jeśli obiecasz, że będziesz przykryta po czubek nosa, to wrócę.

- Wszystko musisz zepsuć!

Cole roześmiał się i wyszedł z pokoju, powiesił sukienkę Morgan na małym tarasie przylegającym do jego sypialni. Wietrzył tam rzadko teraz używane stroje przydatne w biznesie.

Wrócił do pokoju. Morgan już spała. „Dotrzymała słowa” pomyślał Cole. W każdym razie prawie. Leżała na plecach, loki otaczały jej twarz jak aureola frywolnego anioła, a naciągnięty koc zasłaniał piersi. Ręce spoczywały po bokach, a głowa była lekko odchylna do okna, jakby dziewczyna chciała złapać pierwsze promienie porannego słońca.

Patrząc na Morgan, Cole poczuł skurcz w sercu. Znowu ogarnęło go zmieszanie. Dziewczyna spała beztrzesko odprężona jak dziecko, ale wciąż była od niej żywa, namacalna, wszystko zaćmiewająca siła zmysłowości.

Wycofał się, zanim było za późno.

Wróciwszy do swojego pokoju, zdjął płaszcz kąpielowy i położył się do łóżka. Wiedział, że gdyby siostra Morgan postawiła na jego długą bezsenność, to wygrałaby bez problemów.

- Wiesz, jesteś wspaniałym kucharzem - powiedziała Morgan, entuzjastycznie wbijając widelec w resztki ich niedzielnego późnego śniadania, które Cole przygotował w kuchni i podał na staroświeckim, białym stole z kutego żelaza, koło basenu.

- Bardzo chętnie przyjąłbym to pochlebstwo - powiedział, biorąc sobie drugą filiżankę kawy i dolewając Morgan do pełna. - Ale jajecznica, kiełbasa i grzanka w żadnym wypadku nie wystarczają do zdobycia tytułu zasłużonego kuchmistrza.

- Dla mnie wystarczyłyby - przyznała Morgan wesoło. - Jestem znana z tego, że potrafię zepsuć paczkowany makaron z serem.

- Umiejętność zepsucia paczkowanego obiadu nie ma nic wspólnego ze sztuką kulinarną, wykazuje za to znakomicie, że skoro nie potrafisz gotować, to jesteś zwolniona z tego obowiązku - Cole uśmiechnął się do niej szeroko ponad krawędzią swojej filiżanki. - Mam rację?

Morgan zaczęła się śmiać, rozbawiona, że Cole tak łatwo ją rozszyfrował.

- To była dobra wymówka. Moje współmieszkanki z college'u nigdy nie dopuszczały mnie do kuchni.

- Nie mieszkałaś w domu studenckim i nie żywiłaś się w kafeteriach?

- Dziękuję bardzo! Spanie na kupie ze wszystkimi w wielkim, starym domu zupełnie mi nie odpowiadało. Gdyby wsadzono mnie do domu studenckiego, to skończyłabym z kolegą po tygodniu. Stefania przeszła przez ten młyn. Zbiorowe życie jej dopiekło i przeniosła się do samodzielnego lokum. Ostrzegła mnie, żebym trzymała się od tego z dala i wybrała niezależną drogę od samego początku.

- Czy któraś z twoich sióstr jest mężatką, czy rodzinny biznes wymaga całkowitego poświęcenia? - spytał Cole, sam zdziwiony bezceremonialnością pytania, ale i napięciem, z jakim czeka na odpowiedź.

Morgan zastanawiała się przez chwilę, po czym spokojnie odparła:

- Stefania ma męża, ale żyje z nim w separacji - pozostając przy temacie, próbowała zmienić kierunek konwersacji. - A wiesz, że ty nie powiedziałeś nawet słowa o swojej rodzinie? Ani nawet o rodzimym drzewie, którym chwaliłeś się wczoraj wieczorem.

Cole był zaskoczony. Nie sądził, że Morgan Sinclair jest zdolna do wymijających odpowiedzi. „Nie jest w tym najlepsza” pomyślał.

- Dlaczego robisz unik? - spytał, uniemożliwiając jej manewr.

Morgan odstawiła filiżankę i głęboko westchnęła.

- Po pierwsze, nie rozumiem, co się dzieje ze Steffie i jej mężem. Po drugie, nie powinnam się z nikim dzielić ich zwierzeniami o problemach małżeńskich.

- A po trzecie - uzupełnił Cole - bardzo przejmujesz się ich separacją.

- No cóż, Steffie jest moją siostrą. Chcę, żeby była szczęśliwa. Lubię też jej męża i nie mogę o nim myśleć jak o słusznym porzuconym łobuzie. Poza tym... - Morgan przerwała i dokończyła znacznie wolniej: - Poza tym dziwię się, jak inne pary sobie radzą, skoro Steffie i T.J. nie mogą. Wyglądało, że tak dobrze się dobrali.

Cole zamilkł, przypominając sobie słowa Douga, który powiedział mu kiedyś, że przykład obu starszych braci nie zachęca go do ustatkowania się. Cole był już wtedy rozwiedziony, a małżeństwo Adama istniało tylko na pokaz. Nadzieje na obiecujące związki w przyszłości wyglądały słabo. Po rozwodzie Cole pogodził się z tą ponurą perspektywą, ale nagle poczuł, że nie chce być dłużej

pogodzony. Chciał teraz uwierzyć w możliwość szczęśliwego zakończenia.

Morgan nie podobał się przygnębiający nastrój, w który wpadli.

- W każdym razie, wracając do tematu, jesteś znakomitym kucharzem - powiedziała z przesadną lekkością.

Korzystając z tej próby rozładowania niemiłej atmosfery, Cole uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, jestem. I któregoś dnia chciałbym zaprowadzić cię do mojej kuchni, żeby pokazać, jak przyjemnym zajęciem może być praktykowanie sztuki kulinarnej.

- Rzeczywiście, powinnam wejść do twojej kuchni - powiedziała Morgan. - Pozmywam wszystko, a potem będę się zbierać.

- Zbierać dokąd? - spytał Cole z niemiłym zaskoczeniem w głosie. - Myślałem, że spędzimy cały dzień razem.

Puls Morgan gwałtownie przyspieszył.

- A mieliśmy?

- Nie prosiłem cię o to?

- Nie przypominam sobie, Cole. Wziął ją za rękę.

- Więc proszę teraz. Czy zechcesz spędzić ze mną dzień? Moglibyśmy wypożyczyć rowery i zwiedzić wyspę, albo poleniuchować w Smathers Beach, możemy urządzić sobie tam piknik. Albo moglibyśmy... no, porobić cokolwiek, co lubisz.

Ta chłopięca gorliwość zaskoczyła i poruszyła Morgan. Oto miała przed sobą jeszcze jedną niespodziankę, częśćkę Cole'a Jamesona.

- Pożyczyć rowery to cudowny pomysł. I jechać na piknik to cudowny pomysł. I spędzić razem dzień to też cudowny pomysł. Prawdę mówiąc, ze wszystkiego na świecie na to właśnie mam największą ochotę.

Bardzo późnym wieczorem Cole odprowadził Morgan do domu.

- Muszę być cicho - szepnęła przy frontowych drzwiach. - Przyjechała do mnie Georgina Lund, która będzie nowym kapitanem „Anny Indyjskiej”. Może nawet zdecyduje się wziąć okręt w dzierżawę, kiedy już wyjadę.

Cole poczuł, że coś go ściska w środku. Podczas pikniku nad oceanem Morgan wspominała, że planuje uruchomienie rejsów na Wyspach Bahama, ale Cole nie chciał nawet myśleć o jej wyjeździe z Key West, więc nie odważył się zacząć rozmowy o przyszłości.

- Nie sądziłem, że tak szybko zamierzasz zmienić kurs - powiedział teraz z napięciem w głosie.

Morgan wyczuła tę emocję i miała nadzieję, że oznacza ona, że Cole wcale nie chce jej wyjazdu do Nassau.

- To jeszcze trochę potrwa - powiedziała, szukając jego wzroku. - Georgina ma przed sobą okres solidnego treningu.

- Cieszę się - powiedział Cole z najprawdziwszą ulgą. Ale kiedy pomyślał o pracowitym tygodniu czekającym Morgan, zrobił kwaśną minę. - Właśnie uświadomiłem sobie moją bezmyślność. Nie powinienem zajmować cię tak długo. Przecież wcześniej wstajesz i musisz...

- Może i nie powinnam bawić się tak długo - przerwała Morgan, delikatnie kładąc mu palec na ustach - ale nie pozwolę ci mieć o to do siebie pretensji. Nie przystawiałeś mi pistoletu do skroni. Jak mam ci tłumaczyć, że jestem już dużą dziewczynką.?

Położył dłonie na jej smukłej talii i pokazał zęby w uśmiechu.

- Tylko tym, co najładniejsze, kapitanie - dotknął ustami warg Morgan, starannie tłumiąc ochotę, by zawrzeć w pocałunku cały płonący w nim ogień. Dzień i wieczór, które minęły, były cudowne, ale stanowiły czystą torturę. Jego pragnienie nie schodziło poniżej punktu wrzenia, raz po raz rozpalone jeszcze przez spojrzenia Morgan, przez zetknięcia ich ciał.

- Czy zobaczę cię jutro wieczorem? - zapytał, gdy skończył łagodną pieszczotę ust dziewczyny.

- Mógłbyś... mógłbyś przyjść do centrum - powiedziała, nie mając pewności, czy Cole oczekuje, że będą sam na sam, czy po prostu pyta o jej plany na wieczór. - Juan i reszta towarzystwa postanowili jeszcze raz zajrzeć do tej nowej knajpki na Duval Street.

Cole wolałby przyjść po nią do domu i mieć ją tylko dla siebie, ale nie chciał, żeby Morgan pomyślała, że próbuje ją odgrodzić od wszystkich przyjaciół.

- Więc przyjdę do tej knajpki - powiedział z uśmiechem.

Morgan poczuła się nagle bardzo niezręcznie. Mówienie Cole'owi „dobranoc” przed drzwiami jej domu wyglądało dziwnie. Prawdę mówiąc, całkiem bez sensu. Pomyślała, że powinni iść do niego. Spałaby w jego łóżku, w jego ramionach i zbudziłaby się tuż przy nim.

Prosiła go jednak o czas, chcąc zastanowić się przed podjęciem decydującego kroku ku intymności. Nie wątpiła, że dla niej będzie on decydujący, cokolwiek znaczyłby dla Cole'a. Chociaż pragnęła tego mężczyzny, to silny instynkt samozachowawczy kazał jej poczekać.

- Hm... dziękuję za cudowny dzień... to znaczy weekend. Obiad był fantastyczny. Doprawdy jesteś wspaniałym kucharzem. Nie miałam pojęcia, że można przyrządzić w domu smażone małże. Sądziłam, że robią to tylko w restauracjach.

Cole potrząsnął głową i roześmiał się. Bardzo szybko odkrył, że Morgan docenia jego kulinarne talenty. Co prawda w kuchni okazała się pomocnikiem pełniącym czysto reprezentacyjne funkcje, ale przez swą całkowitą nieprzydatność w tym miejscu stała się, nie wiedzieć czemu, jeszcze bardziej pociągająca dla Cole'a.

- Może cię to zdziwi, ale posiłki w restauracjach też przygotowują ludzie.

Morgan zachichotała.

- Nie nabierasz mnie? Nieprawdopodobne! Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Cole znowu zaśmiał się lekko, mrugnął do niej i powiedział „dobranoc”, a potem szybko się oddalił, nie chcąc zapomnieć o swym tymczasowym przyrzeczeniu, nie będzie naglił Morgan, żeby się kochali.

Zanim jeszcze Cole pojawił się w barze następnego wieczoru, zanim usiadł do rozmowy przy piwie z Juanem, dużo myślał nad pretekstem, który pozwoliłby, jak za skinieniem różdżki, przenieść najmilszego mu pirata w miejsce bez barowego hałasu i zamieszania.

Czekając na Morgan, postanowił jednak wykorzystać chwilę na męską pogawędkę z Juanem. Niespodziewanie zaświtała nadzieja, że wykopaliska na wyspie zakończą się powodzeniem. Wprawdzie kawałki potłuczonej ceramiki i barwionego szkła, które zostały znalezione, nie dawały powodu do szczególnego podniecenia, ale Cole wolał się dowiedzieć, co mówi się o jego zajęciach w Key West, niż udawać, że taki temat nie istnieje.

- Powiedz mi, Juan - odezwał się, kupiwszy kubańskie piwo - dlaczego moi sąsiedzi się mną interesują?

Juan upił łyk i przez chwilę przyglądał się Cole'owi, potem przygryzł cygaro wetknięte między wargi i zapalił je. Leniwy kłęb dymu uniósł się i zginął bez śladu w gęstym oparze tuż pod sufitem.

- Myślę, że jesteś poszukiwaczem skarbów. Cole oniemiał z wrażenia. Nie przypuszczał, że

Juan trafi w dziesiątkę. Nawet Dan i reszta ludzi zajmujących się projektem jeszcze nie przyznali, że mają szansę na znalezienie hiszpańskiego złota, chociaż każdy z nich chował tę myśl gdzieś w głębi.

- Nie chcę ich rozczarować - powiedział lekko Cole - ale jestem byłym maklerem, utrzymującym kontakt z rynkiem za pomocą komputera. Dzięki temu mogę inwestować, wysyłając dyspozycje z Key West. W sumie dość nudne zajęcie, nie sądzisz?

Juan uśmiechnął się zagadkowo.

- Wiemy, że wysyłasz te papiery. Ale dlaczego ta praca miałaby ci przeszkadzać w bardziej emocjonujących próbach poszukiwania skarbu?

- Skąd wiesz o wysyłce dyspozycji? - spytał Cole, marszcząc brwi. Kiedy Morgan zauważyła komputer, zainstalowany w jego ustroniu, wyjaśnił jej, do czego służy. Nie oczekiwał, że dziewczyna zachowa sekret, ale czyżby powtórzyła to Juanowi tak szybko?

Juan czytał w jego myślach.

- Nie, przyjacielu, Morgan o tobie nie opowiada. To nie ten typ kobiety. Morgan bardziej słucha, niż mówi. Jeśli pomieszkasz jeszcze w Key West, dowiesz się, jak trudno znaleźć tu tyle prywatności, ile byś sobie życzył. Przecież wysyłasz te dyspozycje z poczty, prawda?

Cole zaśmiał się, kręcąc głową, i wrócił do tematu, który go niepokoił.

- Ale dlaczego sądzą, że jestem poszukiwaczem skarbów? Dlaczego nie biorą mnie na przykład za glinę od narkotyków? Albo, odwrotnie, nie podejrzewają o coś nielegalnego?

Juan uśmiechnął się. W zmrużonych oczach zabłyśły iskry humoru.

- Jak na faceta z policji za bardzo pilnujesz własnego interesu, a jesteś zbyt tajemniczy, żeby być po prostu kryminalistą.

Cole znowu się roześmiał, ale jednocześnie poruszył się, usiłując wygodniej sięść.

- Niezupełnie nadażam za tą logiką.

Juan wypuścił serię kółek i uśmiechnął się do Cole'a.

- Wypływasz na swojej łodzi, kiedy już od dawna jest jasno, więc na pewno jesteś sprawdzony przez straż przybrzeżną. Wracasz,

zostawiasz jacht na przystani i idziesz do domu z pustymi rękami. Co tydzień kupujesz duże porcje nie psującej się żywności i inne artykuły, po czym każesz to dostarczać na łódź.

- No tak - powiedział Cole, poruszony oczywistością swoich posunięć. Stwierdził, że życia w małym mieście musi się jeszcze długo uczyć. Nie oczekiwał, że jego zakupy dla ekipy na wyspie staną się tajemnicą poliszynela. Spróbował blefu.

- W porządku, załóżmy, że jestem poszukiwaczem skarbów. Ale gdzie są moi nurkowie? I jak zaznaczyłem miejsce, gdzie leży zatopiony hiszpański galeon?

- To jest ciekawe pytanie - odparł Juan. - Kończyło się na nim wiele rozmów o tobie i twoim skarbie. Nikt nie jest pewien, co robisz naprawdę, właśnie przez te znaki zapytania. Ale ja mam własną teorię.

- I zechcesz się nią ze mną podzielić? - spytał Cole, udając znacznie większy chłód, niż wynikałoby to ze stanu jego ducha.

- Nie wierzę, że szukasz zatopionego skarbu - powiedział Juan, sadowiąc się do dłuższej opowieści. - Znam bardzo starą i mętłą historię o tym, jak pewne plemię Indian postanowiło opuścić Florydę na początku ubiegłego stulecia - powiedział Juan, badawczo przyglądając się Cole'owi. - Indianie zbudowali czółna z żaglami i wyruszyli mniej więcej z tego miejsca, gdzie dzisiaj leży Tampa, chcąc dopłynąć do Wysp Bahama. Nie udało im się jednak opuścić Zatoki Meksykańskiej, a sztorm zniósł ich na brzeg małej wyspy. Zauważyłem, Cole, że robisz całodzienne wyprawy w stronę pewnych niepozornych, nie zamieszkałych wysp w zatoce.

Cole'a zaczęły ogarniać zarówno podniecenie, jak ciekawość, ale nadal udawał absolutny spokój.

- Graj fair, Juan. Nie przerywaj w tym miejscu. Co się stało z tymi ludźmi?

- Próbowali zamieszkać na wyspie - odparł Juan, wbijając w Cole'a przenikliwe spojrzenie. - Ale wyspa była za mała, żeby utrzymać ich przy życiu, nawet krótko, więc zbudowali nowe czółna z żaglami i wyruszyli jeszcze raz. Szczęście im nie sprzyjało. Drugi sztorm dopadł ich, kiedy skrajną z Wysp Bahama mieli już w zasięgu wzroku.

Cole czuł, jakby czas stanął w miejscu. Nie mógł złapać oddechu.

- I? - zapytał, obezwładniony tym, co już usłyszał.

Juan pociągnął łyk, wydmuchnął dym z cygara i dopiero wtedy odpowiedział:

- Nikt nie przeżył.

„A jednak ktoś przeżył” pomyślał Cole, czując, że krew odpływa mu z twarzy. Niemożliwe, żeby dwie historie były tak podobne.

- Skąd znasz tę opowieść? - spytał gwałtownie.

- Od mojego dziadka, który z kolei poznał ją jako chłopiec od starego szamana Seminolów.

Cole zacisnął palce na szklance, chcąc uniknąć ich drżenia, i przepłukał gardło dużym łykiem piwa.

- Jeżeli drugiego sztormu nikt nie przeżył - powiedział, kiedy już opanował wewnętrzny chaos - to od kogo szaman usłyszał tę opowieść?

- Nie wszyscy członkowie plemienia popłynęli na Wyspy Bahama. Mała grupka pozostała i dożyła swoich dni na wysepce w Zatoce Meksykańskiej. Nieco więcej Indian wróciło na kontynent, gdzie musieli pogodzić się z prawami białego człowieka.

Cole wypił do dna i zamówił następne piwo, próbując odzyskać równowagę i pohamować radość. Tak zwana bujna wyobraźnia przodka stworzyła dokładnie historię opowiedzianą przez Juana, z tą różnicą, że według czasopisma jedna osoba, młoda dziewczyna o imieniu Maria, mieszanej krwi hiszpańsko - seminolskiej, została wyrzucona na ową skrajną wyspę w archipelagu Bahama. Tam adoptowała ją litościwa rodzina brytyjska. Później Maria wyszła za mąż za Jankesa z Filadelfii, który przyjechał na wyspę w odwiedziny.

Właśnie artykuł napisany przez syna Marii skłonił Cole'a do podjęcia poszukiwań, przede wszystkim żeby potwierdzić prawdziwość historii, ale częściowo także z powodu skrzyni złota i klejnotów. Maria zaklinała się, że widziała ją na wyspie. Przez całe życie utrzymywała, że skrzynia została zakopana przez Indian dokładnie tam, gdzie ją znaleźli. Nikt jej nie wierzył. Historię zdyskredytowano jako chorobliwe rojenia dziewczyny, która przeszła ciężkie chwile na morzu.

„Jeżeli opowieść Juana nie mija się z prawdą” pomyślał Cole z mocno bijącym sercem, "to może i reszta artykułu nie jest fikcyjna". Może projekt realizowany na wyspie nie jest wcale szaleńczym wytworem chorego umysłu.

Cole stwierdził jednak, że utrzymanie tajemnicy jest teraz ważniejsze niż przedtem, opanował się więc i powiedział lekko:

- Bardzo ciekawa historyjka, Juan, ale nie chwytam, co ma wspólnego ze skarbem. Cokolwiek pozostawili na wyspie Seminole, miałyoby to bardzo małą wartość, oczywiście poza historyczną.

Juan uśmiechnął się i podrapał po brodzie.

- I tutaj, przyjacielu, jest sęk, z którym nie mogę się uporać.

- Rozmawiałeś o tym wszystkim z miłośnikami lokalnych nowin? - spytał Cole z wymuszonym uśmiechem.

- Tylko z tobą - odparł Juan. - Skarb mnie nie interesuje.

Barman oszczędził Cole'owi konieczności powiedzenia czegoś więcej, stawiając przed nim duże piwo. W następnej instancji wspomógł go Bilardówa, który wtoczył się do baru bocznymi drzwiami. Wlepił wzrok w Juana i Cole'a, spokojnie do nich podszedł, okręcił sąsiednie krzesło i usiadł na nim okrakiem, kładąc ręce na oparciu i wciąż gapiąc się na Cole'a.

- Co nowego?

„Dość stereotypowe pytanie” pomyślał Cole. Ale czy na pewno? Czy Bilardówa miał własną teorię na temat skarbu? A może Bilardówa interesuje się tylko Morgan, jako jeden z samozwańczych członków jej gwardii przybocznej?

- Nic specjalnego - odparł Cole. - Odebrałeś harleya z naprawy? Nie widziałem, żebyś ostatnio na nim jeździł, zdaje się że miałeś z nim problemy.

Bilardówa polizał oba palce wskazujące i wygładził nimi swoje bujne brwi.

- Będzie gotowy chyba jutro. Lepiej żeby był. Bez dwóch kółek czuję się kiepsko. Szaleję za jazdą. A gdzie jest kapitan?

Jakby na zawołanie Cole zobaczył Morgan w głównym wejściu od Daval Street. Miała na sobie jasnobrzoskwiniową sukienkę, prawie w odcieniu włosów. Jak zwykle, Cole poczuł gwałtowne przyspieszenie pulsu i uderzenie krwi. Morgan potrafiła w nim obudzić pożądanie szybciej i z większą mocą niż którakolwiek ze znanych mu kobiet.

- Hej! - powiedziała miękko, obejmując uśmiechem wszystkich trzech mężczyzn. Czowała się zawstydzona wobec Cole'a, przypominając sobie ich intymne chwile. Zastanawiała się, czy Cole myśli o tym samym i nie wiedziała, jak się w stosunku do niego

zachowywać. A ponieważ miejsca przy nim zajmowali Juan i Bilardówa, nie mogła usiąść dostatecznie blisko, by uspokoić się jego ciepłem. Zamiast tego wybrała krzesło naprzeciwko.

- Jesteś zmęczona? - spytał Cole. Skinęła twierdząco głową.

- Miałam męczący dzień. Trening jest zawsze bardzo intensywny. Ale Georgina ma dryg, szybko się nauczy.

Ta porcja informacji nie zrobiła na Cole'u wrażenia.

- Chcę z tobą minutę porozmawiać - powiedział Bilardówa do Morgan, pokazując głową wolny stolik obok.

Z przepaszającym uśmiechem skierowanym do Cole'a Morgan przesiadła się, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia motocyklista. Cole zachował obojętny wyraz twarzy, ale zastanawiał się, czego Bilardówa chce.

W kilka minut później zobaczył, że Morgan kiwa głową i szeroko się uśmiecha. Potem wymieniła z Bilardową żywiołowy uścisk dłoni.

Wrócili na miejsce.

- Zgadnijcie, co się stało - powiedziała Morgan z radosnym uśmiechem. - Bilardówa zgodził się w końcu zostać piratem. W przyszłym tygodniu zaczyna ćwiczyć na „Annie”. Czy nie będzie znakomity?

Ku zdziwieniu Cole'a motocyklista naprawdę się zaczerwienił.

- Dajcie spokój, chłopaki - powiedział, próbując trzymać fason. - Kapitan namówił mnie w końcu, żebym zmienił mój mały kolczyk na wielkie kółko. No jak, chłopaki? A widzieliście Georginę Lund? Jak zacznie dowodzić brygantyną, powinna się nazwać kapitan Raven, takie ma czarne włosy, mówię wam. Miła jest i ma swój styl, ale będzie musiała sporo sztuczek wymyśleć, żeby ludzie zgodzili się na taką podmianę oryginału - niczym guru marketingu Bilardówa zaczął z zapalem sypać pomysłami na utrzymanie barwnej reputacji, którą wyrobiła „Annie Indyjskiej” kapitan Morgan.

Cole'owi nagle wszystko się ułożyło. Wiedział bez najmniejszej wątpliwości, że kocha Morgan. Kocha nie za jej wspaniałomyślność, za to, że pomaga ludziom, cierpliwie pokazując jak mogą pomóc sobie sami i dając im na to szansę. Za te cechy i wiele innych Cole ją podziwiał.

Miłość pochodziła z głębszego źródła. Cole nie umiał go nazwać, ale w żadnym wypadku nie zwątpiłby w jego istnienie.

Słuchając Bilardowy, Cole czuł nie znany dotychczas ból. Myślał o dniu, w którym Morgan przestanie być częścią Key West, częścią jego życia.

Rozdział 9

Mniej więcej po godzinie co najmniej pół tuzina osób starało się przyciągnąć uwagę Morgan. Cole miał dziwne uczucie, że dziewczyna jest w tej chwili bardzo daleko, jakby zaledwie sobie uświadamiała jego obecność. A może tylko mu się zdawało? Może przenosił się myślą w przyszłość, kiedy Morgan go opuści, chyba że Cole znajdzie sposób, żeby ją zatrzymać.

Morgan odebrała dziwne wibracje od Cole'a i poczuła, że ogarnia ją panika. Pokonała już w życiu wiele chwil strachu i miała wrażenie, że powinna zwalczyć okropne doznanie, które opanowało ją, gdy miała wątpliwości, co myśli lub czuje Cole.

Nieprzyzwyczajona do tak silnego wiązania uczuć z jedną osobą, była przerażona nieodpartą, intensywną potrzebą upewnienia się, że Cole'owi na niej zależy, że weekend, który spędzili razem, nie był dla niego jedynie miłym przerywnikiem. Jednocześnie wyrzucała sobie zaangażowanie uczuciowe, w które wplątała się tak szybko.

Poczuła nagle, że ma ochotę uciec i nie potrafi się przed tym powstrzymać.

- Czas na mnie - stawiając na stole do połowy opróżnioną szklankę odsunęła krzesło i wstała. Obdzieliła wszystkich niedbałym skinieniem, rzuciła zwyczajowe „cześć”, po czym wyszła.

Cole przeżył szok, który natychmiast zamienił się we wściekłość. Juan nachylił się do niego i powiedział spokojnie:

- Goń ją, przyjacielu. Cole potrząsnął głową.

- Ona wyraźnie tego nie chce.

- Wyraźnie tego chce - powiedział Juan z lekkim uśmiechem.

- Ja w to nie gram - powiedział Cole z pasją. Uśmiech Juana rozszerzył się.

- Nie? No to ją goń.

Cole wahał się, ale w końcu cisnął kilka banknotów na stolik, wstał i energicznie wyszedł z baru.

Zrównał się z Morgan właśnie gdy skręcała z Duval Street.

Chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Cześć? - powtórzył. - I to wszystko? Morgan wbiła w niego wzrok. Drżała na całym

ciele. Zastanawiała się, dlaczego tak trudno jej zorientować się, jak ma postępować wobec Cole'a. Nigdy nie miała tego problemu z nikim innym.

- Hej! - szepnęła z gardłem ściśniętym przez emocję.

Widząc jej napięcie, Cole zrozumiał, że Morgan w nic nie gra. Po prostu nie wie, czego po nim oczekiwać, albo czego on oczekuje od niej. Otoczył ją ramionami i mówił dalej, już spokojniej:

- Nie powinnaś wychodzić sama, Morgan. Chciałem przynajmniej odprowadzić cię do domu. Wiesz, że przyszedłem do tego przekłętego baru tylko po to, żeby cię spotkać.

Morgan z trudem przełknęła ślinę.

- Nie byłam pewna... Nie chciałam robić... hm.. bezzasadnych założeń.

Cole roześmiał się i ukrył twarz w pachnącym jedwabiu jej włosów.

- Ja też nie - powiedział. Zrozumiał, że był za ostrożny, nie chcąc przyjąć własnych bezzasadnych założeń. - Unikniemy tego problemu w przyszłości, wyjaśniając sobie sytuację między nami - chociaż czuł, że jeszcze za wcześnie, by odkrywać głębię uczuć, jakie ma dla Morgan, to jednak mógł zrobić początek. - Dopóki obie strony nie postanowią inaczej, jesteś moją dziewczyną, okay? Będę odprowadzał cię do domu i przychodził po ciebie. Będziemy spędzać czas z twoimi przyjaciółmi w barze, ale siedząc obok siebie. Będziemy razem chodzić na kolację, czasem do kina, będziemy wspólnie leniuchować w niedziele i całować się na dobranoc. A kiedy uznasz, że przyszła pora, będziemy się kochać.

Morgan zamknęła oczy i przytaknęła.

- Chciałabym bardzo - odpowiedziała z głębokim westchnieniem.

Cole przyciągnął ją do siebie i trzymał z namiętnością, wprawiając oboje w oszołomienie.

- O co właściwie nam chodzi, Morgan? Dlaczego wciąż chodzimy ogródkami?

- To pewnie moja wina - powiedziała Morgan. - Nigdy nie byłam... - przerwała w ostatniej chwili, nim jeszcze padła z jej ust nierozsądna, bo przedwczesna, deklaracja. - Nigdy nie odczuwałam czegoś takiego, jak w twojej obecności - powiedziała w końcu, chowając twarz w ciepłym zagłębieniu jego szyi.

Cole uśmiechnął się. Trzymał ją jeszcze przez chwilę, nieczuły na mijające ich ze świstem samochody i motocykle, świadom tylko, że kiedy trzyma Morgan w ramionach, wszystko jest tak, jak powinno być.

Przez następne tygodnie było im dobrze. Niewiele zbłąkanych dusz zwracało się do Morgan o pomoc, a wszyscy szybko nauczyli się, że Cole ma równie dużo wyrozumiałości. Zarówno Bilardówa, jak Juan, zdawali się akceptować fakt, że Morgan jest dziewczyną Cole'a, i w konsekwencji reszta jej rozlicznych przyjaciół i znajomych nieco się usunęła.

Cole polubił wieczory w barze z towarzystwem Morgan i stwierdził, że podobają mu się jej przyjaciele. Dotyczyło to również Bilardówy, który jako pirat stanowił najnowszą atrakcję przejażdżek „Anną Indyjską”.

- Pożyczyłaś Bilardówie pieniądze na naprawę harleya - powiedział Cole do Morgan w czasie lunchu, który jedli na pikniku w Smathers Beach, spędzając trzecią wspólną niedzielę. Cole leżał na boku, czując ciepło piasku i słońca nagrzewające ciało. Patrzył na Morgan, która dawała upust znakomitemu apetytowi.

- To nie była pożyczka - odparła Morgan, spróbowawszy kurczenia w ziołach, które przyrządził Cole. - Boże, ale jesteś fantastycznym kucharzem - dodała ze szczerym entuzjazmem. Jedyne, co wydawało jej się bardziej fascynujące niż ten rozkoszny lunch, to rozkoszne ciało Cole'a, śniade, umięśnione i obezwładniająco kuszące w bardzo krótkich bawełnianych spodenkach. Morgan zdecydowanie nie była zainteresowana zaległym długiem Bilardówy. - Wprost fantastycznym - powtórzyła, oblizując się. Cole nie dał się jednak zbić z tropu pochwałą ani zmysłowością dziewczyny.

- Co masz na myśli, mówiąc że to nie była pożyczka?

- Mam na myśli to, że przyjaciołom nie pożyczam. Jeśli się mogę obyć bez pieniędzy, których ktoś potrzebuje, to nie ma o czym mówić, a jeśli nie mogę, to nie daję. Ale Bilardówa upierał się, że zwróci, i zwrócił.

Cole roześmiał się.

- To dlatego zaczął u ciebie pracować.

- Prawdopodobnie. Ale ja próbowałam go na to namówić od pierwszej chwili, jak go zobaczyłam. Wiedziałam, że będzie znakomity. A on naprawdę miał dość życia na koszt rodziny.

Cole dowiedział się od samego Bilardówy, że motocyklista jest czarną owcą w rodzinie. Regularnie dostawał czeki od ojca za to, że trzymał się z dala od domu.

- A więc jeszcze jedna osoba, której pomogłaś odzyskać godność
- mruknął Cole.

- Bilardowa sam odzyskuje własną godność - podkreśliła Morgan. - Ale cieszę się, jeżeli mogłam w tym pomóc. Wprawdzie śmiał się z zachowania swojej rodziny, ale tak naprawdę był nim urażony. Bilardowa jest bardzo wrażliwy, wiesz przecież.

Usta Cole'a skurczyły się w stłumionym uśmiechu.

- Oczywiście, że wiem. Wystarczy rzut oka na Bilardowę, żeby wyczytać wrażliwość z całej jego postaci. Dosłownie. Motyle, róże, serca, imiona dziewczyn. Poza tym jest patriotą. Widziałaś kiedyś takiego orła, jak ten na piersi Bilardowy?

Morgan zachichotała.

- Trochę przesadził z ozdabianiem ciała, prawda?

- Troszeczkę - Cole postanowił skończyć rozmowę o Bilardowie.
- Natomiast ozdoby twojego ciała to zupełnie co innego - powiedział. Jego spojrzenie powoli, starannie przesunęło się po długich, opalonych nogach Morgan i przeszło na krągłość bioder, tak ślicznie podkreślaną przez skąpe białe szorty. Potem zatrzymało się na smukłym brzuchu, pełnych piersiach, które obiecująco kusily, jakby miały wyskoczyć z czerwonego opalacza, na miękkich wargach, złotych, śmiejących się oczach i jedwabistych lokach.

- Przez ciebie czuję się naga - zaprotestowała łagodnie Morgan, tak naprawdę nie mając nic przeciwko temu wrażeniu.

Cole uśmiechnął się do niej.

- Nic na to nie poradzę. Poza tym sama powiedziałaś, że dorastałaś cudownie wolna od wstydu, którego większość dzieci uczy się, zanim skończy pięć lat. Dlaczego więc miałabyś się przejmować, że przeze mnie czujesz się naga.

- Bo przez ciebie czuję się... naga - powiedziała Morgan, niepewna, czy potrafi wyjaśnić różnicę.

Nie musiała wyjaśniać. Cole zrozumiał. I patrzył na nią w szczególny sposób, podkreślając tę różnicę.

Wyczuwał, że Morgan jest już przygotowana, by się z nim kochać, bez względu na to, czy się tego przed sobą przyznaje. Chciał stworzyć nastrój, który ułatwiłby jej zrobienie kroku naprzód.

Prawie nadludzki wysiłek, który Cole musiał zrobić, by okiełznać swe uczucia, został nagrodzony w nieoczekiwany sposób: namiętność stała się głębsza, zamieniła się w przenikającą wszystko energię

erotyczną, rozchodzącą się w nim tak, że każdy kawałek ciała, nawet najciemniejszy zakamarek jego istoty, został napełniony żądzą posiadania Morgan, dania jej przyjemności, stopienia się z nią. Cole był jak włączony elektromagnes, wsysający Morgan w pole przyciągania, pokonujący jej opór, rozkładający wolę, stopniowo łączącą się w jedność z jego wolą.

- Znowu to robisz - powiedziała Morgan bez tchu. Jej ciało odpowiedziało na spojrzenie Cole'a rosnącym ciepłem i dziwną ociężałością opanowującą ręce i nogi. - Ty nie patrzysz na mnie, ty patrzysz we mnie.

Cole uśmiechnął się i wziął kawałek kurczaka, odrywając na chwilę spojrzenie od dziewczyny. Mimo tego ustępstwa przez cały dzień, a potem wieczór, czuł siłę, z jaką jego wewnętrzne „ja” przyciągało Morgan, sypało ku niej iskrami. Siła ta objawiała się w każdym szczególnym spojrzeniu, każdym pozornie zwyczajnym dotknięciu, każdym niewinnie brzmiącym, lecz znaczącym słowie.

Cole wiedział, że Morgan jest jego. Musiał tylko ją wezwać do siebie. Cierpliwość stała się teraz łatwiejsza.

Późnym wieczorem w następną sobotę Morgan opowiadała Cole'owi w jego ogrodzie historię podróży odbytej w dziecięcych latach, jedną z tych, które Cole zawsze chciwie z niej wyciągał.

Morgan siedziała wyciągnięta na fotelu, a Cole leżał na trawie koło basenu. Dziewczyna spojrzała na niego i nagle zobaczyła, naprawdę zobaczyła, jak w świetle księżyca jego dziwnie pogańskie rysy i mocne, wspaniale uformowane ciało układają się w pełną dramaturgii płaskorzeźbę.

Cole miał na sobie tylko obcisłe czarne kąpielówki. Z rękami splecionymi pod głową, z zamkniętymi oczami słuchał jej opowieści. Wyglądał jak portret piękna, siły i nęcącej zmysłowości. Był wszystkim, czego Morgan mogłaby pragnąć lub potrzebować.

- I co się stało, kiedy Buszmeni zauważyli aparat twojego ojca? - spytał Cole, otwierając oczy, żeby sprawdzić, dlaczego Morgan nagle zamilkła.

Morgan miała trudności z przypomnieniem sobie, o czym właśnie mówiła.

- Co się stało?... Spodziewaliśmy się kłopotów - powiedziała w końcu. Kiedy skrzyżowała spojrzenia z Colem, w głowie zaczęły jej się rodzić erotyczne myśli.

Cole usiadł i wbił w nią wzrok, przyciągnięty wyrazem oczu. Czuł, że ich chwila nadeszła.

- Jakich kłopotów? - zapytał spokojnie.

- Myśleliśmy, że mogą zabrać aparat, nawet go rozbić... Niektórzy ludzie wciąż jeszcze wierzą, że robiąc zdjęcie, kradnie się ich dusze - jej oddech stał się ciężki, a puls rwany i o wiele szybszy niż normalnie.

Uśmiechając się delikatnie na widok świetlistej miękkości w oczach Morgan, Cole wyciągnął do niej rękę.

Ich palce splotły się i Morgan poczuła, jak wlewa się w nią moc Cole'a, jak niezemska radość rozbija jej obronę, zwycięża lęk przed poddaniem.

- Połóż się koło mnie, kochanie - powiedział cicho Cole, przekręcając się na bok i opierając na łokciu.

Morgan skwapliwie usłuchała, wiedząc, że miękkość w kolanach nie dałaby jej ustać. Pod plecami miała soczystą i chłodną trawę. Dziewczyna poczuła wielką ochotę, żeby ściągnąć z siebie skąpe bikini, ale przeszło jej przez myśl, że to Cole powinien dyrygować chwilami ich miłości.

Jego spojrzenie przesuwalo się cal po calu wzdłuż jej ciała. To milczące świadectwo posiadania rozbudziło głęboko we wnętrzu Morgan ulotne wrażenie, które narastało, stawało się coraz silniejsze.

Uśmiechając się, Cole pogładził ją po włosach i poprowadził rękę po łagodnej wypukłości policzka, ruchem delikatnym jak bryza nad powierzchnią oceanu.

Palce Cole'a osunęły się na wygiętą w łuk szyję Morgan i jej ramiona, na wewnętrzną stronę rąk, pagórki piersi i przełęcz między nimi. Cole pochylił głowę i dosięgnął jej ust z taką subtelnością, że wewnątrz Morgan przeniknął ból. Wargi dziewczyny rozchyliły się w walce o złapanie tchu.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na policzku Cole'a, zastanawiając się, czy woli, gdy jest świeżo ogolony jak teraz, czy drapiący, jak zwykle kiedy spotyka się z nią po powrocie z wyprawy łodzią.

Morgan wciąż wiedziała o Cole'u tak mało, wciąż był dla niej zagadką. Nie dbała o to. To, co wiedziała, znaczyło więcej niż suche informacje.

Cole zgrabnie rozwiązał węzeł na szyi, który przytrzymał górę bikini, potem rozpiął haczyk trzymający je z przodu. Jego usta były

tymczasem coraz bardziej spragnione, język parł, raz po raz uderzając w poszukiwaniu jej języka.

Dłoń Cole'a otoczyła jedną z piersi Morgan i dziewczynie wydało się, że od zawsze czekała na to ciepłe, kojące doznanie, które ogarnęło ją bez reszty. Zaraz jednak poczuła, że pragnie więcej. Zaczęła pieścić ręce i ramiona Cole'a, wyprężyła ciało, chcąc lepiej czuć jego dłoń. Z rozkoszą czuła, że pocałunki są coraz głębsze. Ciągłe jednak miała go jeszcze za mało. Rozpoczęła powolną wędrówkę palcami wzdłuż jego pleców, dotarła do szyi, potem zeszła na pierś, odkrywając po drodze jego kształty, sprężyste wzgórza mięśni i twarde równiny.

W końcu Cole uwolnił jej usta, schylił głowę i zaczął obwodzić językiem nabrzmiąły sutek. Z cichym, lecz ostrym okrzykiem rozkoszy Morgan wbiła palce w jego ciało.

W nowym przyptywie męskiej siły Cole czuł, jak pod jego dłońmi i wargami ciało Morgan porusza się, błagając, by nie zanieczyścił żadnej z piersi, nie zapomniał o jej wargach.

Morgan była doskonałym ucieleśnieniem jego marzeń, ciepła i pragnąca, nie nasycona nim tak samo, jak on nią. Zaczął przesuwać ręce w dół jej ciała, dziewczyna uniosła się na ich spotkanie, dociskając do jego dłoni łagodne wzniesienie swego wzgórza, głośno oddychając i okrywając pocałunkami jego ramiona i szyję. Palce Cole'a rozprawiły się z jej bikini i zaczęły badać jedwabiste sekrety kobiecości.

Morgan płonęła. Ciepło zgromadziło się w środku, a płomienie lizały jej skórę. Krzyknęła, ale Cole dalej rozniecał żar, czekając aż ogień żądzy ją spopieleni.

Przez ostatnie tygodnie przeszedł próbę cierpliwości. Korzystał z tego teraz, powstrzymując własny głód, zanim ciała Morgan nie objęły gwałtowne eksplozje. Zaczął uspokajać pulsujące ciało kojącymi pocałunkami i delikatnymi pieszczotami, dopóki jeszcze mógł wytrzymać.

Morgan właściwie nie zauważyła, kiedy Cole pozbył się ostatniej dzielącej ich przegrody - materiału, poczuła jednak jego twarde ciepło prące na jej uda i przesunęła rękę w dół, chwytając je pożądliwie. Odkryła swą własną siłę w nagłym poddaniu się rytmowi Cole'a.

Pieścili się, roznamiętniali i całowali, ucząc się wzajemnie dróg do ekstazy. Nie padło ani jedno słowo i ani jedno słowo paść nie mogło; mowa byłaby intruzem.

Nagle Cole całą istotą zapragnął wniknąć głębiej, z jeszcze większą pasją. Jego ramiona otoczyły Morgan i ścisnęły jak stalowa taśma.

Niczym nie skrepowana odpowiedź Morgan przejęła ciało Cole'a serią spazmatycznych skurczów. W jego wnętrzu dojrzewał gwałtowny wybuch. Ale wciąż jeszcze go powstrzymywał, wciąż nad nim panował.

W końcu, gdy wyrafinowana pieśczoła wyzwoliła w niej gigantyczny dreszcz przyjemności, Morgan bez słowa przyciągnęła Cole'a, nie chcąc dłużej czekać. Całe jej ciało rozżarzone niepewnością dygotało jak w gorączce. Mocno objęła szyję Cole'a i znalazła usta, próbując zwabić jego język swoim. Wypreżona w łuk, mocniej ścisnęła udami jego biodra i ruchami ciała ściągnęła go w siebie, dopełniając jedności, która wydawała się nieunikniona od pierwszego ich spotkania.

Morgan zamknęła oczy i pozwoliła się Cole'owi nieść, jakby był wiatrem i oceanem, a ona statkiem torującym nieprzetarty szlak. Jego rytm był jej rytmem, jego siła - jej siłą. Wchodził w nią coraz głębiej i coraz szybciej. Morgan płynęła na falach jego pożądania, a każdy grzbiet fali, napotkany w tej szaleńczej żegludze, był wyższy i dzikszy niż poprzedni.

Cole zaczął tracić kontrolę nad sobą; porwany energią wznosił się razem z Morgan na sam szczyt. Zawisli tam w chwili trwającej wieczność, a potem spłynęli do spokojnej zatoki i Cole objął Morgan z czułością, o którą nie podejrzewałby się nigdy.

Wargi Morgan wygięły się w uśmiechu wyrażającym doskonałe spełnienie, dziewczyna jakby pograżyła się w półśnie, ukołysana w całkowicie bezpiecznym schronieniu ciała Cole'a. Minał czas, który wydawał się chwilą, i oto ponad nimi ptak zagwizdał etiudę, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś prócz niego czuwa.

Morgan poruszyła się w ramionach Cole'a.

- Już prawie świt - szepnęła, patrząc na szarawe niebo obramowane lekko kołyszącymi się liśćmi palmy, figowca i poinciany.

Cole pocałował ją w czoło.

- Chciałabyś wejść do domu?

- Niekoniecznie - wymruczała. - Tutaj jest tak przyjemnie.

- Nie chcę, żebyś się przeziębila - Cole pocałował ją w czubek głowy i ociągając się, wstał. - Poczekaj, przyniosę płaszcze kąpielowe - w pół drogi zatrzymał się, bo nawiedziła go zbląkana myśl. - A właśnie, Morgan, co się stało z Buszmenami i aparatem?

Przez chwilę Morgan nie wiedziała, o czym Cole mówi.

- Z czym?

Cole wyszczerzył zęby.

- Nie dokończyłaś swojej historii.

Z opóźnieniem dotarło do Morgan, o co chodzi. Roześmiała się.

- Rzeczywiście, nie.

- No więc, co się stało?

Morgan roześmiała się znowu, odzyskując pamięć.

- Pozowali, robili miny i w ogóle się wygłupiali, a potem pytali tatę, czy na pewno przyśle im ozdobione autografem egzemplarze czasopisma, które zamówiło artykuł.

Cole przecesał ręką włosy, roześmiał się i poszedł po płaszcze, myśląc, że minie jeszcze bardzo, bardzo wiele czasu, zanim znudzi mu się słuchanie Morgan i jej historii dziwnych, lecz prawdziwych.

„Tak, naprawdę” dodał w myślach „musi chyba minąć całe życie...”

Chociaż Cole nie znosił przyznawać się do porażek, to wiedział, że przyszedł czas i musi powiedzieć Morgan o swoim rozwodzie.

Siedząc na plecionej kanapie w ogrodzie, Morgan spoglądała na Cole'a defilującego przed nią w tę i z powrotem.

- Więc byłeś żonaty? Skinął głową.

- Dzieci nie mieliśmy, co okazało się błogosławieństwem. Do rozwodu doszło po kilku latach, a Angela, moja była żona, wyszła drugi raz za mąż - odetchnął głęboko i spokojnie powiedział wszystko do końca. - Nie chciała mieć ze mną dzieci. Teraz jest w ciąży z nowym mężem.

Morgan usłyszała w jego głosie głęboki ból. Stwierdziła, że ciekawi ją kobieta, którą Cole musiał kochać tak bardzo, żeby planować z nią wspólne życie. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wyglądała była pani Jameson i na próżno starała się domyślić, dlaczego nie chciała urodzić Cole'owi dziecka. Co mogło przeszkodzić w takim szczęśliwym zakończeniu? Morgan pomyślała smutno, że dużo jest takich nieszczęśliwych zakończeń. A czy nie wszystkie pary zaczynają z wielkimi nadziejami?

Nagle, nietypowo dla siebie, Morgan stchórzyła. Nie chciała znać żadnych szczegółów.

- No dobrze, opowiedziałeś mi o rodzicach, braciach, o przyjaciółach w Filadelfii, o... - westchnęła ciężko - o Angeli. Więc mam pełny obraz twojej rodziny - Morgan mówiła szybko i bezładnie, nie chcąc, by Cole zauważył, że jej gardło ściśnięte jest z żalu. - Ale zdaje mi się, że nie znam jeszcze członków twojej liściastej gromadki. Na przykład tego drzewa, które wygląda jak sklepowa choinka. Jak się nazywa?

Cole wybrał odpowiedź pozwalającą zyskać na czasie.

- Jak się nad tym zastanowić, rzeczywiście wygląda jak sklepowa choinka - powiedział, domyślając się, o którym drzewie mowa. - Ale jest najprawdziwsze z prawdziwych. Nazywa się sosna chilijska. Byłaś kiedyś w Chile?

- Przez pół roku. Miałam wtedy może dwanaście lat.

- A pamiętasz stoiska ze sztuczną zielenią?

- Przykro mi, ale nigdy nie interesowałam się drzewami - stwierdziła Morgan. Prawdę mówiąc, istnieją dla mnie tylko dwa rodzaje drzew: te, na które można się wspiąć, i te, na które nie można. Przyroda nigdy nie była moją mocną stroną.

- Moją też nie - przyznał Cole. - W każdym razie dopóki nie przyjechałem do Key West. Tu mam powód, żeby się trochę zainteresować florą i fauną.

- Florą i fauną? - powtórzyła Morgan, wciąż starając się nie myśleć o poprzednim małżeństwie Cole'a. - Flora i fauna to brzmi, jakby chodziło o dwójkę małych dzieci, które wstrętna macocha zostawiła w lesie.

- Nie dziwię się, że przyroda nigdy nie była twoją mocną stroną - powiedział Cole z wymuszonym uśmiechem. - Nie mogłaś oprzeć się pokusie robienia niemądrych uwag na lekcji.

„Co za głupia rozmowa” pomyślał. Po co ją ciągnie? Dlaczego nie powiedział Morgan zwyczajnie, że wie, jak głęboko zranił ją ten niespodziewany cios. Dlaczego nie zapytał wprost, czym się tak bardzo przejęła? Czyżby obawiał się, że dziewczyna posłucha własnego lęku? Przecież jeśli Cole przeżył już miłosny zawód, to może tak być i tym razem. Zmusił się, żeby z powrotem zejść na obojętny temat drzew.

- Sosna chilijska - powiedział, starannie cedząc sylaby - jest znana również jako zagadkowe drzewo małp. A ja chętnie dołożyłbym się z własną nazwą: drzewo matrymonialne.

- Naprawdę? Czemu? - spytała Morgan, drząc w środku na myśl, że Cole zachęca ją do zmierzenia się z własnymi uczuciami.

- Ponieważ nikt nie może dojść, jak małpy, które uparcie ciągną do jego gałęzi, mogą się ich trzymać, nie nadziewając się na ostre igły.

Morgan ustąpiła.

- Czy igły w twoim małżeństwie były bardzo ostre? - zapytała spokojnie.

- Nieszczególnie. Przede wszystkim w ogóle nie powinno było dojść do małżeństwa, i już. Ale dlaczego tak przejmujesz się moim rozwodem?

- Bo nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że małżeństwo się rozpada, że miłość, ot tak, po prostu... odchodzi. To straszne. Ale jest jeszcze coś. Nie potrafię uwierzyć, że mógłbyś podjąć takie zobowiązanie, a potem się z niego wycofać. I nie potrafię sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego kobieta porzuciłaby cię z własnej woli. Albo... Albo nie chciała mieć z tobą dzieci.

Musiała minąć spora chwila, zanim jej słowa dotarły do Cole'a.

- Dziękuję za zaufanie - powiedział po długiej przerwie - ale Angie porzuciła mnie z własnej woli. Chciała tego. I nie mam do niej pretensji, bo po prostu zabrakło nam tego, co powinno być w małżeństwie.

- Od początku?

- Od pierwszego dnia. Nie było ani oczarowania, ani namiętności. Angie powiedziała mi po rozwodzie, że wyszła za mnie, bo wszystkie jej przyjaciółki wychodziły za mąż i nie chciała czuć się opuszczona. Nie mówiłem jej tego, ale i ja poszedłem do ołtarza z głupiego powodu: miałem dosyć umawiania się, nagłych i krótkich spotkań. Pomyślałem, że miło będzie zacząć śnić amerykański sen: dom na przedmieściach, dzieci... no, cały ten obrazek. „Dzięki małżeństwu miłość dojrzeje” tak sobie mówiłem - wstał i przeszedł do końca ogrodu, z roztargnieniem ściągając z drzewa odstające kawałki kory. - Nie jestem zbyt dumny z moich motywów.

- Znasz nazwę tego drzewa? - spytała Morgan.

- Okra - powiedział Cole. - Zwana także „drzewem - turystą”, bo ma czerwoną i złuszczoną korę, jak opalenizna.

- Dla mnie to jest drzewo Cole'a Jamesona - powiedziała Morgan. Wstała i podeszła do niego z tyłu, obejmując go w pasie i przytulając do pleców. - Musisz ściągnąć wiele warstw kory, nim dostaniesz się do jego serca.

- Ale czy chcesz tego? - spytał z krzywym uśmiechem. - Popatrz, co wychodzi, kiedy oderwiesz zewnętrzną powłokę. Wygląda to niezbyt ładnie.

- Myślę, że nie - szepnęła Morgan. Obeszła Cole'a i stanęła przed nim, wciąż obejmując go w pasie. - Myślę, że wygląda pięknie.

Cole ujął jej twarz w dłonie i pieszczotliwie zakołysał. Pragnął powiedzieć, jak bardzo ją kocha, ale nie mógł zerwać trzymających go hamulców emocjonalnych. Czy wiesz, Morgan, jaka jesteś słodka? Wszystko jest słodkie: to co robisz, to co mówisz, to jak smakujesz - musnął ustami jej wargi i pozwolił, by język dopowiedział resztę pieszczotami.

Morgan miała kompletną pustkę w głowie. Kiedy Cole ją całował, była doznaniem w stanie czystym.

- Koniec widzenia, wszyscy do cel - powiedział Cole, pozwalając im złapać oddech.

Śmiejąc się, Morgan ochoczo wróciła z nim do sypialni, skąpanej w promieniach wieczornego słońca. Parkiet błyszczał jak polerowane złoto, witało ją ogromne dębowe łóżko. Wślizgnęła się pod cudownie męską, granatową pościel i odkryła jeszcze trochę z sekretnej wiedzy o Cole'u, sobie i o miłości.

Dopiero w kojącym postludium, wygodnie ułożona w ramionach Cole'a, zamyśliła się głęboko. Czy potrafi zobojętnieć na blizny, które pozostaną, jeśli okaże się, że Cole nie umie kochać jej tak, jak Morgan jego?

Słowa, na które czekała, nie padły, a bez nich wszystko, co dzielili, tak niewiarygodnie piękne jak rzeczywistość, stanowiło tylko odrobinę więcej niż niespełnioną obietnicę.

Rozdział 10

Mijały dni i, jeśli nie brać pod uwagę wątpliwości gryzących Cole'a i Morgan, którzy nie mogli się zdobyć na rozmowę o nich, to oboje promienieli zadowoleniem.

Któregoś wieczoru jedli kolację w restauracji koło doku, pod baldachimem gwiazd, który wydawał się tak bliski, że Morgan miała zamiar wyciągnąć rękę i zrzucić garść na ziemię. Kryształowa zastawa mieniła się na śnieżnobiałych obrusach, migotały świece, szampan czekał przy stoliku na srebrnym barku.

Cole uśmiechnął się do Morgan przez szkło swojego kieliszka, uznając, że od początku nie mylił się co do niej. Była aniołem, a w zmysłowo spływającym białym jedwabiu, z włosami uczesany do góry, wyglądała bardziej na europejską arystokratkę niż pirata z Zatoki Meksykańskiej.

- Więc w końcu udało mi się wyrazić wdzięczność kolacją - powiedział cicho. - Mam na myśli wdzięczność za ratunek.

Ratunek, o którym mówił, odnosił się nie tylko do dnia, kiedy „Anna Indyjska” znalazła jego łódź z zepsutym silnikiem. Wraz z Morgan po raz pierwszy odkrył miłość i było to jak nowa szansa na życie.

Morgan uśmiechała się do niego. W czarnym wieczorowym garniturze i białej koszuli mocno kontrastującej ze śniadą skórą, Cole pokazał się przed nią z całkiem nowej strony. I zakochała się również w tym wytwornym nieznanym.

Innego wieczoru Cole przyszedł po Morgan do doku, gdzie dziewczyna właśnie zostawiła brygantynę. Znów miał na sobie wygnieciony kapelusz, dzinsy i luźną bawełnianą koszulę. Nic jeszcze nie wspominał Morgan o wyspie, ale właśnie stamtąd wrócił i był bardzo głodny.

Poszli do niepozornego bistro, które polecił im Juan. Morgan tak objadła się znakomitym kubańskim chlebem, że zostało jej niewiele miejsca na pieczeń wieprzową, czarną fasolę i żółty ryż. Mimo to była zadowolona.

- Wzięłabym pudding chlebowy na deser. Juan mówił, że jest najlepszy ze wszystkiego.

- A ja chciałem sobie dogodzić ciastem cytrynowym. Ale możemy tu jeszcze wrócić - rozsądnie zauważył Cole.

Morgan uśmiechnęła się. Poprzestała na mocnej kawie. Nie chciała psuć nastroju wzmianką, że kapitan Raven jest gotów do przejęcia dowództwa na „Annie Indyjskiej”, ani że według jej planów wyjazd do Nassau zbliża się z alarmującą szybkością.

Cole nie pytał jej o przyszłe plany i mówił o namiętności, nie o miłości, toteż Morgan uznała, że jest przygotowany, by we właściwym czasie pogodzić się z jej odjazdem.

Ktoregoś ranka, po cudownej nocy w wielkim łóżu, Morgan wyszła od Cole'a, wiedząc, że popłynął ku swemu tajemniczemu przeznaczeniu. W domu czekała ją papierkowa robota, a tymczasem Georgina po raz pierwszy samodzielnie dowodziła całodniową przejażdżką na brygu.

Nie zdążyła jeszcze pobyc w domu nawet dziesięciu minut, kiedy odezwał się telefon.

Dzwonił T.J. Carriere, mąż Stefanii, żyjący z nią w separacji.

- Twoi rodzice wpadli w tarapaty - powiedział, wyraźnie starając się ukryć niepokój. - Trafili do paki w jakiejś zapadłej dziurze Ameryki Środkowej. Myślę, że uda mi się wydostać ich stamtąd bez większego problemu, ale potrzebuję trochę pomocy. Jak u ciebie z czasem? Możesz wyjechać?

Morgan nie wahała się ani chwili.

- Wynajmę awionetkę. Znam tu faceta, który poleci wszędzie i w każdej sytuacji, jeśli mu się odpowiednio zapłaci. Dzwoniłeś do Stefanii?

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza. W końcu T.J. odpowiedział:

- Wolałbym nie. Napięcie między nami mogłoby przeszkadzać w tym, co mamy zrobić. Twoja pomoc będzie wystarczająca.

Morgan nie podobało się pominięcie Stefanii, ale rozumiała stanowisko T.J.

- Czy jest jakieś ryzyko? - spytała dziarsko, już planując dalej.

- Do diabła, mam nadzieję, że nie - odparł z przejęciem T.J.

„Co oznacza” pomyślała Morgan „że na pewno jest duża szansa na różne niemiłe wydarzenia”.

- Powiedz mi jeszcze, gdzie się spotkamy, i ruszam w drogę - zakończyła, biorąc do ręki ołówek i bloczek spod telefonu.

Wkrótce wynajęła pilota i była gotowa do odlotu. Krótco wyjaśniła sytuację Juanowi, prosząc by zawiadomił Cole'a, co się

stało, i zapewnił go, że nie ma powodów do zmartwienia. Gdyby przez trzy dni nie dała znać o sobie, Juan miał zadzwonić do Stefanii.

Morgan postarała się jednak nie zdradzać żadnych szczegółów o miejscu, do którego się udaje. Ten kłopot był jej rodzinną sprawą. Nie chciała, żeby Cole leciał za nią. A gdyby Steffie miała się włączyć, to wiedziała, gdzie szukać.

Cole wrócił wieczorem pełen podniecenia. Miał teraz zamiar codziennie spędzać trochę czasu na wyspie, pracując z Danem Cypressem i jego ludźmi. Wyglądało na to, że w końcu uda się coś znaleźć. I nareszcie nie musiał robić z projektu tajemnicy przed Morgan. Cole odbył długą rozmowę z Danem, zapewnił go, że dziewczynie można wierzyć, zachowa informacje dla siebie, i Dan się zgodził.

Nie znalazłszy Morgan w domu, gdzie miała przez cały dzień pracować, Cole sprawdził kilka miejsc w centrum. Ze zdziwieniem znalazł Juana siedzącego samotnie.

W chwilę po rozmowie z Juanem Cole w zamroczeniu wracał do pustego domu.

Był chory. Morgan zostawiła wiadomość, żeby się nie martwić. Ładowała się po uszy w być może niebezpieczną sytuację, a on miał się nie martwić. Nie zwróciła się do niego o pomoc. Zgoda, nie miała okazji, przez jego piekielną tajemniczość nie wiedziała przecież, gdzie go szukać. Ale czy poprosiłaby o pomoc, gdyby mogła? Tego nie wiedział i prawdopodobnie nie miał się nigdy dowiedzieć.

Była teraz zdana na łaskę wynajętego pilota, który leciał z nią do Ameryki Środkowej w nieznane miejsce, gdzie przy próbie wydobywania rodziców z kłopotu mogło ją spotkać dosłownie wszystko.

Cole wszedł do ciemnego domu i usiadł w kącie kuchni z twarzą schowaną w dłoniach. Jedyнным pocieszeniem dla niego były te nieznośne słowa: nie ma powodów do zmartwienia.

Morgan wróciła do Key West na trzeci dzień wczesnym przedpołudniem i poszła prosto do Cole'a, nie tracąc czasu nawet na zmianę podróżnych spodni. Miała nadzieję, że znajdzie go w domu.

Cole'a nie było.

Pojechała taksówką na przystań.

Łodzi też nie było. Pomyślała, że oczywiście Cole znów wypłynął w tajnej misji, nie wiadomo po co. Równie oczywiste było, że wziął sobie do serca radę, by się nie przejmował. No cóż, nie chciała go

martwić. Czy nie dlatego przekazała Juanowi taką właśnie informację?

Czemu więc tak ją zraniło to, że Cole przeszedł nad tym do porządku dziennego?

Poszła do Juana, do sklepiku z cygarami, z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Hej!? Wróciłam.

Stary człowiek podniósł głowę od lady i skinął, nie okazując żadnej emocji, ale Morgan wiedziała, że widząc ją, odżył.

Czemu nie mogła być tak pewna uczuć Cole'a?

- Nie wyglądasz na szczęśliwą, maleńka - powiedział Juan.

Morgan uświadomiła sobie, że wyjeżdżając z Key West straci Juana. A wyjazd się zbliżał miał nastąpić prawdopodobnie w ciągu kilku dni. Pomyślała, że straci sposób, w jaki Juan mówi do niej „maleńka”, mimo iż Morgan nad nim góruje. Straci jego spokojną opiekę, fascynujące historie z okolicy i dyskretną, dającą bezpieczeństwo przyjaźń.

Juan wstał, obszedł kontuar i położył rękę na ramieniu Morgan, widząc, że jej oczy napełniły się łzami.

- Nie udało ci się znaleźć rodziców? - zapytał delikatnie.

Morgan potrząsnęła głową.

- Z mamą i tatą wszystko w porządku. Poszło jak w zegarku.

- Opowiedz mi o tym - poprosił Juan.

- Rodzice protestowali, najzupełniej zgodnie z prawem i bez użycia siły, przeciwko wycinaniu dżungli przez międzynarodową firmę drzewną - powiedziała Morgan z ciężkim, zakłopotanym westchnieniem. - Nadgorliwy urzędnik opłacił kilku skorumpowanych policjantów, żeby ich uwięzili. T.J. umiał się dowiedzieć, gdzie, a potem skorzystał z mojej pomocy. Zająłem strażnika, poczęstowałam go kilkoma ucziwymi drinkami i zabrałam mu klucz. Wyciągnęliśmy rodziców z tej parszywej celi. Wtedy T. J. poszedł do firmy i wyjaśnił, na czym polega złe publicity - uśmiechnęła się lekko. - T.J. jest dziennikarzem. Wie, jak korzystać z potęgi prasy.

Nagle łzy okazały się silniejsze od Morgan. Popłynęły jej po policzkach, a dolna warga dziewczyny zaczęła drżeć. Morgan przeraziła ta dziecinada.

- T.J. jest wspaniałym człowiekiem, wiesz przecież. I kocha moją siostrę. Nie przypuszczałam, że jest tak samo przybity i zagubiony z

powodu ich problemów, jak Steffie. Przegadaliśmy w dżungli godziny. Powiedział mi, że chce wrócić do Steffie, ale... - Morgan pociągnęła nosem, a łzy wciąż płynęły jej ciurkiem - ale... ale nie wie, jak zacząć. Nie dlatego, że ma to w nosie, tylko dlatego, że zupełnie pogubił się myśląc, jak powinien... - Morgan nie mogła mówić dalej.

Marszcząc brwi, Juan poprowadził ją do krzesła.

- Dlaczego miałabyś się tak gnębić tymi nowinami, maleńka? Nie powinnaś być szczęśliwa?

- Byłam szczęśliwa - Morgan znowu pociągnęła nosem i z wdzięcznością przyjęła od Juana paczkę chusteczek. - Nie tylko z powodu nadziei na lepsze u T.J. i Steffie. Wracalam z myślą, że dzięki rozmowom ze szwagrem lepiej rozumiem Cole'a. Stwierdziłam, że mu na mnie zależy, tak samo jak T.J. kocha Steffie, chociaż mi o tym nie powiedział. Cole, oczywiście. Ale nie ma go w mieście. Wyjechał dokądś... nie wiadomo dokąd. Ani trochę się o mnie nie martwił.

Juan powstrzymał uśmiech.

- Cole cię bardzo kocha, Morgan.

Skoczyła na równe nogi i zaczęła przechadzać się wielkimi krokami, wciąż trzymając paczkę chusteczek i wyciągając jedną po drugiej.

- Nigdy mi tego nie powiedział.

- Ale okazuje to, maleńka. Na tysiąc sposobów, przez cały czas.

- Ale tego nie powiedział. Nie dał mi słów. Ocierając rękawem brew, Juan opadł na krzesło zwolnione przez Morgan.

- Słowa! Zawsze słowa! Dlaczego słowa są dla ciebie takie ważne?

- Bo to jedyny sposób, żeby być pewnym - odparła Morgan, wyszarpując z paczki cały zapas chusteczek i gniotąc go w kulę. - Poza tym Cole wie doskonale, że zamierzam wkrótce opuścić Key West i zacząć pracę w Nassau. Nawet jednym słowem nie wspomniał, że nie chce, żebym wyjeżdżała.

- Pewnie sądzi, że nie ma prawa - zwrócił uwagę Juan. - Pewnie wyrobiłaś w nim przekonanie, że twój biznes i życie w doskonałej wolności są ważniejsze niż on.

Morgan przerwała przechadzkę i wlepiała wzrok w Juana.

- Skąd ten człowiek miałby wziąć taki głupi pomysł?

- Od ciebie, maleńka? - podsunął Juan z lekkim uśmiechem. Wstał i podszedł do pociętego rysami, malowanego biurka w kącie.

Przekopał zawartość szuflady, wyciągnął pogniecioną, zżółkłą mapę i wrócił do lady. - Myślę, że masz rację, Morgan. Między tobą i Colem potrzeba wielu, wielu słów. Musisz z nim porozmawiać. Nie czekaj, aż wróci wieczorem. Płyn do niego od razu.

- Nie wiem, gdzie jest - wymamrotała Morgan, kiedy Juan rozłożył mapę na kontuarze.

- Ale ja wiem - powiedział krótko Juan i zakreślił kółko wokół wysepki bez nazwy.

Morgan zamrugła, łzy zaczęły wysychać.

- Skąd wiesz?

Juan uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Jestem starym kubańskim conchem, maleńka. Czy nie mówiłem ci wiele razy, że wiem o wszystkim, co dzieje się w Key West - stuknął kościstym palcem w miejsce zakreślone na mapie. - Płyn do niego. Powiedz mu wszystko.

- A jeśli się mylisz? Jeżeli wyjdę na głupią? Śmiejąc się cicho, Juan zwinął mapę i wręczył ją

Morgan, potem obrócił się i stanowczo wypchnął ją za drzwi.

- A bo to pierwszy raz, maleńka? Nawet Morgan musiała się roześmiać.

Rozdział 11

Cole siedział na składanym krzeselku przy stoliku wystawionym przed namiot, ukryty w cieniu małego gaju palmowego. Trzymał w dłoni pióro i zapisywał w notesie przedmioty wydobyte z ziemi. Wprawdzie utkwiał spojrzenie w oddalonym o półtora metra wykopie, ale myślami wrócił do Key West, a jego serce było razem z Morgan. Wyjechała na trzy dni i nie odezwała się ani słowem.

Spędzanie dni na wyspie działało na niego zabójczo. Niecierpliwie czekał na zmrok, żeby wrócić do miasta i zapytać Juana, czy Morgan wróciła lub dzwoniła.

Cole nie znał jednak żadnego sposobu, żeby ją znaleźć ani żeby przyspieszyć jej powrót, więc z lojalności wobec Dana i projektu postanowił włączyć się do pracy i pomóc w decydujących chwilach.

Zaledwie zwrócił uwagę, że robotnicy przerwali na chwilę pracę i pochylili głowy nad czymś, co wręczyli Danowi.

Dan wyprostował się. Jego wysoka, ciemna sylwetka rysowała się na połyskującym szafirze nieba, wokół czoła biegła wąska, skrecona opaska. Spokojnie powiedział coś do robotników, a kiedy wrócili do pracy, energicznie podszedł do Cole'a.

Zastanawiając się z roztargnieniem, co się dzieje, Cole czekał na Dana. Tymczasem przyszło mu do głowy, że ten czystej krwi Seminol, starszy swojego plemienia, wygląda, jakby wyszedł z minionego stulecia, mimo krótkich włosów, bawełnianych spodni i koszuli bez rękawów.

Dziwne, ale Cole'owi wydawało się niekiedy, że wygląda bardziej jak Dan, niż Doug czy Adam. I zawsze też miał chyba więcej wspólnego z Danem niż z braćmi. Niezwykłe poczucie więzi, którego doświadczył, kiedy po raz pierwszy spotkał go w college'u, wywołało z pamięci Cole'a przekazywaną w rodzinie legendę Seminolów. Już bardzo dawno mówiono, że któregoś dnia trzeba dostać się na wyspę i sprawdzić.

- Co jest grane? - spytał Cole, gdy Dan dopasował swoje patykowate kształty do krzesła naprzeciwko.

Z czarnych jak węgiel oczu Dana przeblyskiwała satysfakcja. Położył na notesie Cole'a coś niewielkiego.

Cole wpatrywał się przez kilka chwil, niezupełnie doceniając znaczenia przedmiotu.

- Czy to jest to, co mi się wydaje? - spytał w końcu.

- Hiszpańskie złoto - powiedział spokojnie Dan.

Cole przesunął na tył głowy wytarty kapelusz i niedowierzająco gapił się na monetę. Nie wiedział, cieszyć się czy kłać. „Dlaczego teraz?” zadawał sobie pytanie. „Dlaczego nie tydzień wcześniej? Albo tydzień później?” Ale oskarżanie losu nie miało sensu. Cole był zły na siebie. Dlaczego już dawno nie dogadał się z Danem? Mógłby wyjaśnić Morgan cały projekt. A gdyby to zrobił, wiedziałaby, jak go znaleźć. Nie byłaby nie wiadomo gdzie bez jego ochrony. A Morgan potrzebuje ochrony, czy się z tym zgadza, czy nie. Sama umie troszczyć się o wszystkich, tylko nie o siebie.

- Niewykluczone, że moneta jest przypadkowym znaleziskiem - przestrzegł Dan. - Mógł ją upuścić Hiszpan, który zabłąkał się na wyspę, mógł ją tu przyciągnąć z kontynentu któryś z Seminolów.

- Albo zgubił ją ktoś, kto wcześniej znalazł skrzynię opisaną w artykule - dodał Cole.

Dan uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń.

- Ale mamy teraz dowód, że przynajmniej część historii jest prawdziwa, a więc witaj bracie w plemienu. Zdaje się, że w żyłach płynie ci także parę kropel krwi seminolskiej, obok hiszpańskiej, szkockiej i nie wiadomo jakiej jeszcze.

Przyjmując uścisk dłoni z wymuszonym uśmiechem, Cole wstał.

- Zajrzyjmy, co się dzieje w wykopie. Dan zrobił krok i stanął, nasłuchując.

- Łódź - powiedział po chwili i ruszył w stronę brzegu, wychodząc z palmowego gaju osłaniającego wykop.

Cole chwycił lornetkę i pobiegł za Danem. Stojąc na przystani spojrzał przez szkła na zbliżający się jacht z kabiną i mruknął coś o pechu. Intruz podpływał właśnie w chwili, gdy najważniejsze znalezisko wydawało się tuż, tuż.

Łódź zwolniła na płyciźnie i rzuciła kotwicę. Cole dalej patrzył przez lornetkę, czekając aż z burty zostanie spuszczone ponton.

Niespodzianie serce podskoczyło mu do gardła. Na pokładzie ukazał się dobrze znany złocisty kształt w białych szortach i koszulce na ramiączkach.

- Morgan - szepnął. Przeżył szok. Co ona tu robi?

Nagle jego świat się scalał. Cole nie wiedział, dlaczego Morgan przyплыnęła i nie obchodziło go to. Zamierzał, gdy tylko będzie mógł,

powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha. I musiał to zrobić z wielką ostrożnością.

Morgan schyliła się, zdjęła czerwone plastikowe sandały, wsunęła je z tyłu za pasek od szortów, założyła i dopasowała okulary do pływania. Postąpiła przez chwilę na rufie, wykonała miękki, płytki skok do wody i zaczęła płynąć do brzegu.

Cole opuścił lornetkę i patrzył, jak Morgan bez wysiłku pokonuje fale.

- Weź to - powiedział, wsuwając okulary Danowi. Błyskawicznie zbiegł na brzeg i wpadł do wody na spotkanie Morgan.

Morgan płynęła z przyjemnością, chociaż była przekonana, że na tej wysepce Cole'a nie znajdzie. Co by tu robił? Juan nie tracił czasu na wyjaśnianie tej części swojej domniemanej wiedzy.

Linia brzegowa wyginała się w zatoczkę i Morgan zauważyła tam łódź za kabiną, niepodobną jednak do jachtu Cole'a. W co się pakowała?

Mając okulary, Morgan widziała całkiem dobrze pod wodą, mimo to dopiero tuż przy brzegu zdała sobie sprawę, że ma towarzystwo. Tumany piasku w wodzie stanowiły pierwsze ostrzeżenie. Zaraz potem, zaskoczona, dojrzała parę nóg kierującą się dokładnie na nią. Chwyciła za jedną nogę i z całej siły pociągnęła. Jednocześnie wstała i wykonała gwałtowne pchnięcie do przodu. Ręce mężczyzny zatrzepotały i śniade ciało poleciało w tył. Kątem oka Morgan dostrzegła drugiego mężczyznę na brzegu i przyjęła pozę stosowaną w karate, gotowa stawić czoła tyłu przeciwnikom, ilu ich będzie.

Ale mężczyzna na brzegu odchylił głowę do tyłu i głośno się śmiał. Coś w jego postaci mgliście przypomniało Morgan o...

Spojrzała w dół, zobaczyła dobrze znany zgnieciony kapelusz unoszący się na pofałdowanej powierzchni wody i ściągnęła okulary.

- Cole!

Cole podniósł się z wysiłkiem, prychając dookoła wodą.

- Wydaje mi się - zdołał powiedzieć potrząsnawszy głową i przetarłszy oczy - że tę scenę zawsze ćwiczymy na mokro.

Morgan przyglądała ociekające wodą włosy i wlepiła wzrok w Cole'a, całkowicie zaszokowana.

- Jesteś tutaj! Juan miał rację!

Cole stanął przed nią, wstrząsany na zmianę przyływami wściekłości, troski, ulgi, i radości. Objął Morgan spojrzeniem i poczuł

palącą żądze posiadania. Biały opalacz dziewczyny zrobił się praktycznie przezroczysty, a z szortami było niewiele lepiej. Cole przesunął się, żeby zasłonić ją przed Danem, chociaż, jak zauważył, jego przyjaciel odebrał scenę bardziej jako humorystyczną niż podniecającą.

- Czy musisz wszystko komplikować? - spytał Cole, kładąc jej ręce na ramionach. - Nie znasz tych wód. Dlaczego nie wzięłaś pontonu, żeby dostać się na brzeg? Dlaczego wskakujesz do wody nie myśląc nawet, co może cię spotkać? Gdyby trafiła się barrakuda albo...

- Barrakuda zwykle nie atakuje, jeśli się jej nie sprowokuje - broniła się Morgan. - Oczywiście, o ile ktoś nie jest tak lekkomyślny, żeby nosić coś błyszczącego, co ją wabi.

- Powiedz to przy Kadłubku Brownie - odparł Cole.

Morgan skrzywiła się.

- Kto to jest Kadłubek Brown? Cole zamrugał z rozdrażnieniem.

- Wymyśliłem go. Jako pomoc naukową, rozumiesz? A ty nie zastanawiasz się, Morgan! Po prostu pakujesz się w coś całkiem sama i lekceważysz sobie potencjalne niebezpieczeństwa.

- Z tego, co mówisz, wychodzę na porywczą idiotkę - wstrząs, jaki Morgan przeżyła, odnajdując Cole'a, zaczął ustępować miejsca irytacji i rozczarowaniu. Zdecydowanie nie wyglądało na to, że widząc ją, Cole się ucieszył.

- Nie było żadnego niebezpieczeństwa - oświadczyła pewnie. - Bardzo dobrze pływam, a woda jest tu tak przejrzysta, że cały czas widać dno.

- Ale mnie nie widziałaś aż do ostatniej chwili. Morgan nie odezwała się, myśląc, czy musi podkreślać, kto z nich lądował na plecach.

Cole pojął.

- No, dobrze... Ale gdyby Dan cię zaatakował?

- Była na to przygotowana, Cole - krzyknął Dan przez tubę z dłoni. - Odniosłem wrażenie, że nie miałbym z nią szans.

- Dziękuję, stary. Ładna pomoc - palce Cole'a wpiły się w ramiona Morgan. - I co mam z tobą zrobić? Równie dobrze mogłabyś być rozebrana.

Morgan uśmiechnęła się cukierkowo.

- Nie wiedziałam, że będę serdecznie wypraszana przez cały komitet.

Cole wydał z siebie kilka barwnych przekleństw, zdjął przemoczoną koszulę khaki i rozciągnął ją nad głową Morgan.

- Włóż to. Jest mokra, ale przynajmniej z wystarczająco grubej bawełny, żeby cię znośniej zakryć.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Morgan, zgodnie wyciągając ręce po koszulę. - Przyjmuję, bo nie jestem ekshibicjonistką, ale czuję się w obowiązku przypomnieć ci, że moim zdaniem jestem całkiem znośna, i to zarówno z dobrodziejstwem stroju, jak bez niego. - krzywiąc się, pozwoliła Cole'owi naciągnąć koszulę.

Uczucie wciskania się w mokre ubranie było przykre.

- Widzę, że tobie wolno paradować z obnażoną piersią. Nigdy nie rozumiałam tej szczególnej asymetrii płci - powiedziała.

- To znaczy, że nigdy nie patrzyłaś w lustro - Cole poprawił dół koszuli, obciągając go jak się da.

- Każdy cal twojej piersi jest równie podniecający, jak mojej - stwierdziła Morgan, uporczywie wracając do sprzeczki. Była to dla niej jedyna obrona przed wzbierającym w niej gwałtownym przyływem uczuć. Dotknięcie Cole'a wciąż działało elektryzująco.

Cole znów położył ręce na ramionach Morgan, tym razem delikatnie, i spoglądał na nią, nagle przestając się przejmować czymkolwiek, poza tym, że dziewczyna stoi przed nim, bezpieczna, pełna czaru i piękniejsza niż kiedykolwiek. Przypomniawszy sobie wszystkie okazje, które dowiodły mu, jak bardzo podniecająca jest jego pierś dla Morgan. Przyciągnął ją do siebie i objął.

- Dlaczego wyjeżdżasz, nie mówiąc dokąd? Wiem, że nie mogłaś nic przekazać natychmiast i mam o to do siebie wielkie pretensje, ale przecież pojechałbym za tobą, pomógłbym.

- To nie był twój problem, Cole - powiedziała niepewnie, topniejąc w jego cudownie silnych ramionach. - To była sprawa rodziny.

- Każdy twój problem jest również moim - powiedział Cole, gładząc jej włosy. - Nie wiedziałaś o tym?

Morgan odchyliła głowę, chcąc spotkać jego spojrzenie.

- Skąd miałabym to wiedzieć? Cole poczuł chwilowy paraliż.

- Punkt dla ciebie - przyznał w końcu, stwierdzając, że nie czas teraz na mówienie jej wszystkiego, co sobie przemyślał. - Co tu robisz? - spytał zamiast tego.

- Szukałam cię, Cole - mówiła cichym, miękkim głosem. - Chciałam powiedzieć ci, że... że nieważne, co czujesz albo czego nie czujesz, ja cię kocham - zmarszczyła brwi, przypominając sobie jeszcze coś ze słów Juana. - I nie uważam, żeby mój biznes albo moja wspaniała wolność były ważniejsze niż ty, jeśli rzeczywiście tak myślisz. Ale nie zrozum mnie źle. Nie będę naciskać na ciebie, jak przyczepna i zależna... baba. Wyjadę do Nassau i nie będę wracać do przeszłości, jeśli chodzi ci właśnie o to - wpadła w panikę. Cole stał, przyglądał się jej i nic nie mówił. - Właśnie tak. Wyjadę... i to zaraz! - wyrzuciła z siebie, próbując uwolnić się z jego ramion.

Cole tylko wzmocnił uścisk.

- Nie sądzisz, kapitanie, że mógłbym objąć przewodniczenie tej dyskusji? - i z cichym, ochryplym śmiechem dodał: - I spróbuj nie wyglądać tak buntowniczo. Nigdzie nie wyjeżdżasz, Morgan. Skoro przyplłynęłaś na tę wyspę, to musisz tu teraz trochę zostać.

- Po co? Po co mam trochę zostawać? Mówisz zagadkami, Cole! Jeżeli przyplłynęłam tam, gdzie nie powinnam, to odpływam i już. I nie będę wspominać...

Cole wybuchnął śmiechem, chwycił ją i zaczął nieść w stronę brzegu.

- Przepraszam, kochanie - powiedział, uśmiechając się do niej szeroko. - Powiedziałem ci już, że nigdzie nie wyjeżdżasz. W każdym razie nie beze mnie. W tej chwili kapitan Morgan jest druga po Bogu. Zgadnij, kto jest pierwszy.

Morgan nie starała się opierać. Zatopiła w nim wzrok.

- Mam tylko jeden sposób, żeby zmusić cię do postawienia mnie, ale nie zastosuję go, bo musiałabym cię zranić. Dlatego ładnie proszę, Cole. Czy zechcesz być dżentelmenem, tak jak sobie kiedyś wyobrażałam, i postawić mnie?

Uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, mój mały, kochany charakterku - powiedział, stawiając ją na piaszczystym brzegu i władczo obejmując w talii. Tymczasem Dan spokojnie do nich podchodził.

Dan wciąż radośnie szczyrzył zęby, kiedy wręczył Cole'owi zmoczony kapelusz.

- Znalazłem to coś, chociaż chciałbym, żeby ktoś mi powiedział, po co.

Cole zrobił grymas, zaskoczony, że nie pomyślał o ukochanym, starym kapeluszu, od czasu gdy Morgan przewróciła go w wodzie.

- Dziękuję - wymamrotał. - Jestem twoim dłużnikiem.

Dan wyciągnął dłoń do Morgan.

- Dan Cypress do usług, kapitanie. Morgan uścisnęła mu dłoń. Znowu zwróciło jej

uwagę, że Dan ma w sobie coś z Cole'a, chociaż jest ciemniejszy i odznacza się grubszymi rysami.

- Hej, Dan - powiedziała, uśmiechając się. - Może ty mi powiesz, co tu się dzieje.

- Oczywiście - odparł uprzejmie i zaczął bardzo szczegółowo wyjaśniać cel wykopalisk oraz omawiać postępy, jakie zrobili.

- Ej, Dan - przerwał mu Cole z wymuszonym uśmiechem. - Sprawiłoby mi przyjemność, gdybym mógł wyjaśnić to mojej dziewczynie sam, okay?

Dan wesoło wzruszył ramionami i poszedł z powrotem do wykopu.

- Oczywiście. Pójdę poszukać następnych hiszpańskich monet.

Morgan mrugnęła i wpatrzyła się w Cole'a.

- Kierujesz poszukiwaniem skarbów? Osobiście? Cole drgnął.

- Niezupełnie poszukiwaniem skarbów. Mamy bardzo twórcze plany względem przedmiotów, które znajdziemy. Zbudujemy replikę wioski Seminolów, na przykład. Będzie gustowna i historycznie wierna, świetna jako cel całodziennych przejażdżek łodzią z Lower Keys. „Anna Indyjska” mogłaby tu nawet przystawać - Cole stwierdził, że wyprzedza własne myśli - Okay, wiem, że to brzmi dość wariacko, ale sądzimy, że może się udać.

- Myślę, że to fantastyczne - powiedziała spokojnie Morgan. - Trzymanie tego w tajemnicy w takim miejscu, jak Key West, musiało być trudne.

„Żadnych wyrzutów” pomyślał Cole. „Morgan zrozumiała”. Czy nie zdradzał się z miłością do niej, ryzykując, że ją straci, z powodu starych blizn pozostawionych przez rozwód? Może bardziej przez nuby - małżeństwo, które kazało mu czuć wdzięczność dla Angie, że odeszła? Cóż to za idiotyzm z jego strony.

- Kocham cię, Morgan - powiedział czule, postanawiając nie czekać z tym ani sekundy dłużej.

Oczy Morgan napełniły się łzami.

- Kochasz mnie?

- Kocham cię bardzo, bardziej niż bardzo. Nie przypominam sobie, żeby kiedyś mogło być inaczej - szeptał Cole, biorąc ją za rękę.

- Powinienem był ci powiedzieć, co czuję. Chciałem ci powiedzieć. Ale nie wiedziałem, jak sobie poradzić z twoimi obyczajami wolnego ducha. Przez cały czas, gdy martwiłaś się, że mnie do czegoś przymuszasz, ja bałem się, że przymuszam cię. No, i był też paraliżujący lęk, że skoro mi się raz nie powiodło z małżeństwem, to może się nie udać po raz drugi.

Nie mogłem wytrzymać myśli, że cię zawiodę. A prawda jest taka, że jestem w stanie ofiarować ci bardzo niewiele. Nic z tego, na co zasługujesz.

- Co masz na myśli, mówiąc „ofiarować”? - spytała łagodnie. - Nie musisz mi nic ofiarować.

- Wiem - powiedział Cole z pełnym żalu uśmiechem. - O to właśnie chodzi. Nie mogę ci dać nic, czego nie mogłabyś zdobyć sama i nie mogę zrobić dla ciebie nic, czego sama nie mogłabyś zrobić.

- Polemizowałabym z tą ostatnią kwestią - powiedziała Morgan z przewrotnym błyskiem w wilgotnych, brunatnych oczach. Zaczynało do niej trafiać, że przed chwilą Cole mówił o małżeństwie. Ale czy rzeczywiście? Jak zwykle nie była pewna.

Cole zaśmiał się.

- Okay, może jest parę... hm... przyjemności... Mam nadzieję...

Całkiem bez zapowiedzi Morgan rzuciła się ku niemu, objęła go i ukryła twarz w zagłębieniu szyi.

- Kocham cię, Cole. Nikt inny nie może mi dać tego, czego naprawdę pragnę, czego potrzebuję. Tylko ty. Właśnie ty.

Ramiona Cole'a objęły ją mocniej.

- Wiesz, nie chcę, żebyśmy się zanadto spieszyli, ale nie mogę się powstrzymać przed pytaniem. Czy mogę dać ci... Czy możemy sobie dać... jeszcze coś, kochanie? Nie od razu, ale za trochę - musnął wargami jej usta. - To znaczy, jak już odrobinę pobędziemy małżeństwem - nawet nie zauważył, że tego wcześniej nie proponował. W każdym razie nie wyraźnie.

Nie miało to jednak znaczenia. Morgan poddała się zalewającym ją falom szczęścia, potem przytknęła usta do ucha Cole'a i szepnęła:

- Tak bardzo bym chciała. Całą załogę małych, czarnookich rozbójników morskich poszukujących skarbów, którzy wyglądają jak ty...

- I zawadiackich dziewczynek z morelowymi włosami, zupełnie jak u matki - dodał Cole i zamknął oczy, uświadamiając sobie nagle, że trzyma w ramionach wszystko, co jest dla niego najdroższe. - I pokażemy naszym małym piratom wszystkie siedem mórz.

Morgan uśmiechnęła się czule.

- I będziemy ich uczyć o wszystkich kwiatkach i drzewach w ogrodzie za ich cudownym, starym domem concha.

- Kocham cię, najmilsza - szepnął Cole, okrywając pocałunkami zwróconą ku niemu twarz. - Kocham cię. Wybacz mi, jeśli się powtarzam, ale muszę nadrobić stracony czas. Posłuchaj: od teraz zawsze ty i ja będziemy wyruszać razem na spotkanie wszystkim przygodom. Również do Nassau, na wodowanie następnego okrętu. A to dlatego, mój słodki kapitanie Morgan, że nie zamierzam cię już na dłużej spuszczać z oka. Ktoś tak silny, dzielny i wspaniały, jak ty, nie chce chyba, żebym przeżył nawet jedną minutę podobną do tych trzech dni, kiedy byłem chory ze zmartwienia...

Morgan przerwała wymówki szybkim pocałunkiem.

- Masz zamiar być jednym z tych nadopiekuńczych mężów, prawda?

Cole skinął głową.

- Boję się, że tak. Jestem również zaborczy. I to też powinnaś wiedzieć od samego początku.

Morgan objęła Cole'a za szyję i wpatrzona w niego cicho się śmiała.

- Wiesz co, Cole. Na wyspie jest skarb. Ale sądzę, że to ja go znalazłam.

Cole miał właśnie dosięgnąć jej pełnych, słodkich ust pocałunkiem łagodzącym ból, który przez trzy dni był jego częścią, jego usta właśnie dotknęły jej warg, kiedy usłyszał krzyk.

- Cole! - wołał Dan spomiędzy drzew ciągnących się wzdłuż brzegu. - Wracaj tu natychmiast!

Cole spojrzał na Dana zły i nagle coś w gestach współnika przykuło jego uwagę.

- Cole...? - spytała Morgan, słysząc podniecenie w głosie Dana. Szybko założyła plastikowe sandały. - To chyba nie... Czy myślisz...? Cole złapał ją za rękę. Zaczęli biec.

Rozdział 12

- Czy na pewno nie masz nic przeciwko temu, że zaprosiłam T.J. na ślub? - niespokojnie spytała Morgan, bojąc się, że popełniła poważną niezręczność.

Jej starsza siostra wpięła biały kwiat jaśminu w uczesane do góry włosy Morgan.

- Oczywiście, że nie - powiedziała. Szare oczy pozostały nieruchome, a gładkie blond włosy opadły faliście na czoło, jak pukle gwiazdy filmowej z lat czterdziestych. - Tak - stwierdziła spokojnie. - Moim zdaniem kwiat będzie doskonałym dodatkiem.

Morgan zobaczyła swoje odbicie w stołowym lustrze i uznała, że efekt ją zadowala. Wstała i wyjrzała przez okno. Uśmiechnęła się na widok Juana z cygarem przyklejonym do ust, który sprawdzał, jak Liza, Heather, Bilardówa i Dan rozwiesili latarnie japońskie w ogrodzie Cole'a.

Ojciec i bracia Cole'a, ubrani w prawie jednakowe garnitury z kamizelkami, rozstawiali krzesła ogrodowe, podczas gdy matka w pięknej sukni z ostatniej kolekcji Oscara de la Renty gawędziła z wszystkimi i przyglądała się tej dziwnej zbieraninie ludzi z pełnym zaciekawieniem rozbawieniem.

- Tatus i mamusia są chyba w kuchni, pomagają przygotowywać jedzenie - powiedziała Morgan, odwracając się do siostry akurat w chwili, gdy Stefania ocierała łzy. - Przepraszam, Steffie. Jesteś przygnębiona.

- Nie bądź śmieszna - burknęła Stefania z pokoju gościnnego, otwierając zabytkową skrzynię z drzewa różanego i wyciągając suknię Morgan. Zaczęła rozpinać guziczki na plecach. - Trudno mi uwierzyć, że moja siostra - łotrzyca wychodzi za mąż, to wszystko. Poza tym zawsze kiedy widzę rodzinę w komplecie, jestem lekko wzruszona. Teraz nie zdarza się to często. Lepiej chodź i załóż suknię, to cię zapnę.

Stefania rozprawiła się z ostatnim guziczkiem, położyła ręce na ramionach Morgan i obróciła ją.

- Wielkie nieba, wyglądasz prześlicznie. Morgan spojrzała w wielkie lustro koło skrzyni i oczy jej zabłyśły.

- Dziękuję za pomoc przy wyborze sukni, Steffie. Ładna, prawda?

Stefania potrzęsnęła twierdząco głową. Znowu pociekły jej łzy. Przyglądała się delikatnej jak pajęczyna sukni do kostek z jedwabnego szyfonu w kolorze kości słoniowej, wykończonej falbanami z koronki, o prostej choć bardzo kobiecej linii, zapożyczonych z pierwszych lat dwudziestego wieku.

- Cole dziękował mamie i tacie, że dali mu anioła - powiedziała Stefania z drżącym uśmiechem, po czym roześmiała się głośno. - Nie do końca wiedzieli, o co chodzi, bo nigdy nie myśleli o tobie w ten sposób. Ale kiedy dzisiaj wszyscy cię zobaczą, to chętnie zgodzą się z Colem - z nagłym błyskiem w oczach Stefania ciągnęła. - Gdybyś jeszcze potrafiła zachowywać się jak anioł i spróbowała nie siłować się na rękę, nie uprawiać szermierki słownej... Morgan roześmiała się.

- Zrobię, co będę mogła. A ty też dzisiaj wyglądasz fantastycznie - Morgan nie dodała, że Steffie wybrała prostą, lecz elegancką sukienkę, zdaje się, akurat w ulubionym odcieniu T.J., intensywnym różu.

Stefania podeszła do komody i wydobyła aksamitne pudełeczko.

- Cole prosił mnie, żebym ci to dała - podniosła wieczko, wyjęła duży perłowy wisior w kształcie łzy zawieszony na sznureczku diamentów i stopniowo malejących pereł. Do kompletu były małe, perłowo - diamentowe kolczyki.

Z wrażenia Morgan zaparło dech, kiedy Stefania zapinała na niej naszyjnik, znakomicie dopasowany do dużego, kwadratowego dekoltu sukni ślubnej.

- Wiedziałaś o tym świecidełku, gdy wybierałaś tę właśnie suknię? - spytała Morgan, dochodząc powoli do siebie i zakładając kolczyki.

- Cole pokazał mi je zaraz po moim przyjeździe. Powiedział, że to jedyne, co ci się podobało w skarbie, który wykopaliscie, wyzwariowani ludzie.

Morgan podniosła do góry lewą rękę, tak że romb diamentu na jej środkowym palcu zaczął mienić się w późnopołudniowym świetle.

- Perły i ten pierścień - powiedziała miękko. - Były znacznie misterniejsze przedmioty, ale ten komplet ma tyle uroku. Żal mi było tej damy, której kiedyś z pewnością zabrali go piraci. Wierzę, że nie ma teraz żalu do niby - pirata o noszenie tych świecidełek - westchnęła uszczęśliwiona. - Nie wiedziałam, że wybieram klejnoty, które Cole weźmie ze skarbu.

- Cały udział po odliczeniu wydatków przekazuje na Fundację Seminolów?

Morgan skinęła głową.

- Czy nie jest cudowny?

Stefania roześmiała się i przytuliła siostrę.

- Jest absolutnie cudowny. Więc dlaczego nie zejdiesz wreszcie do ogrodu, żeby za niego wyjść?

Kiedy Morgan z Colem składali sobie przysięgę, rodzice dziewczyny ronili łzy szczęścia. Płakały wszystkie siostry, Bilardowa promieniał, jakby był swatem, a Juana widziano, jak zapala dwa cygara naraz.

Za to Morgan miała suche oczy. Uśmiechała się do Cole'a i płonęła ze szczęścia, wpatrując się w jego ciemne oczy, widząc nieskończoną, bezwarunkową miłość. Po ogłoszeniu, że są mężem i żoną Morgan podała Cole'owi dłoń i mrugnęła do duchownego, który udzielał im ślubu. Ten uśmiechnął się szeroko, zwrócił się do Morgan i powiedział:

- Możesz pocałować pana młodego, kapitanie. Zaskoczona Morgan wybuchnęła śmiechem wraz

z gośćmi, potem podała Stefanii bukiet ogniście czerwonych kwiatów poinciany, ujęła w dłonie mocną, ładną twarz Cole'a i, po raz pierwszy pocałowała swego męża.

Dzień mijał całkiem tradycyjnie. Dla państwa młodych zbliżał się czas podróży poślubnej na łodzi Cole'a. Niektórzy goście, między nimi Bilardowa, ustawili się, żeby złapać bukiet panny młodej.

Morgan odwróciła się ze śmiechem i energicznie wyrzuciła kwiaty przez ramię do góry, po czym okręciła się, żeby zobaczyć, kto je schwyci. Bukiet zawisł na kilka chwil w powietrzu jak piłka i spadł między rozbawionych weselników przed Bilardową i Georginę, jego kapitana Ravena.

Morgan klasnęła nad głową, święcąc swój kobiecy triumf, kiedy bukiet trafił w ręce Georginy.

- Morgan - zawołał Cole. - Morgan, kochanie, uważaj...

Ale było za późno. Morgan poczuła, że zatacza się do tyłu i leci do basenu, przerażona, co stanie się z jej piękną ślubną suknią. Cole skoczył, złapał ją wpół i pociągnął w bezpieczne miejsce.

Przy aplauzie gości Morgan objęła męża za szyję.

- Uratowałeś mnie - powiedziała cicho. Cole uśmiechnął się do niej czule.

- A do czego, twoim zdaniem, służy mąż? Morgan spojrzała na niego znacząco, uśmiechając się szeroko i zmysłowo.

- Chodźmy na łódź - szepnęła. - Zobaczymy.